N. 295.
III. 31.

Z Biblioteki
Adama Ant. Kryńskiego.

PISMA POŚMIERTNE

JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

Tom I.

PISMA POŚMIERTNE

JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

TOM PIERWSZY.

LWÓW.
STARANIEM A. MAŁECKIEGO.
Z DRUKARNI ZAKŁADU NARÓD. IM. OSSOLIŃSKICH.
1866.

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001009826807

I 47. 607

Prawo własności na rzecz mającego się utworzyć stypendyum dla młodzieży zastrzega się.

POEZYE LIRYCZNE
I ULOTNE.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

DUMA UKRAIŃSKA.*)

Czemuś smutny Ruńko młody?
Słyniesz z wdzięków i z urody,
Szybko biega koń twój wrony,
I w pierścienie włos trefiony,
Bystre, czarne twoje oko,
W sercach dziewic tkwi głęboko...

Jesteś paziem wojewody,
Lecz nie ciężka twa niewola;
Na stepowe lecisz pola,
Tam wyścigasz wiatr w zawody,
Lub w przyjaciół wiernych gronie
Spiewasz, brzdąkasz na bardonie...

Ruńko! cóż ci smutek nada,
Jakiéj w życiu płaczesz straty?

*) Powyższa Duma, następujące po niéj cztery Sonety, jako téż zamieszczony daléj poemat Szanfary — są to piérwsze próby poetyckie Juliusza Słowackiego. Były pisane w r. 1826, 1827 i 1828, kiedy autor miał lat 17, 18 i 19. Lubo nie dorównywają wartości późniejszych płodów poety, zdawało mi się jednak, że powinny znaleść pomieszczenie w tym zbiorze. *Przyp. Wydawcy.*

Źle, gdy wiosną liść opada,
Źle, gdy młode więdną kwiaty.
Kozak zrodzon w Ukrainie
Wesołością, męstwem słynie...

Czemuś smutna o dziewczyno?
Czemuś smutna Hanko młoda?..
W cichém szczęściu dni twe płyną,
Jak ta czysta Dniepru woda;
Wśród przyjaciół, wśród rodziny,
Nie doznałaś trosk przyczyny.

Ach! czyliż tylko od burzy
Więdnie kwiatek polnéj róży;
Gdy jéj rosa nie poleje,
Gdy jéj wietrzyk nie obwieje:
Patrz, jak zaraz smutna, blada,
Patrz, jaka bliska skonania,
Listek po listku opada
I do ziemi głowę skłania.

Pod dąbrową, na dolinie
Widna zdala chatka biała;
Przy niéj Dniepr szumiący płynie,
Nad nią brzoza wybujała.
I księżyca światłość blada,
Na samotną chatkę pada;
To się srebrną mgłą zasłoni,
To się kryje za obłoki:
Igra w bystréj Dniepru toni,
Lub wśród cichéj lśkni zatoki.

Siedzi Hanka na kamieniu,
Sercem jéj przeczucie miota,
Lica blade — a w spojrzeniu
Niespokojność i tęsknota.

Znika Ruńko ukochany,
Coraz słabszy tętent dzwoni;
Zniknął i tylko po błoni
Gęste snują się tumany.
Smutna chwila rozłączenia,
Smutna Hanki młodéj dola,
Wzrok jéj tylko i westchnienia
Na samotne lecą pola.

Hanko! słońce szczęścia znika
I na niebie i w twéj duszy,
Smutek serce twe przenika,
Ach któż twoje łzy osuszy.
Znikły, znikły szczęścia ślady,
Lecz widać jeszcze nadzieję,
Choć jéj promień tak jaśnieje;
Taki drżący — taki blady,
Tak słabo błyszczy dokoła,
Jak nieśmiały blask księżyca,
Co ciemne niebo oświéca,
Lecz go rozjaśnić nie zdoła.

Hanko! Hanko! wstań z kamienia,
Słuchaj — czy to szum téj rzeki?
Czyli mnogich rot tętnienia,
Albo ludu gwar daleki?..
Gęsta mgła okrywa błonie,
Księżyc w krwawym kurzu ginie;
Słuchaj, słuchaj, tam w dolinie
Coraz mocniéj chrzęszczą bronie...

Spojrzyj — Hanko nieszczęśliwa!
I spojrzała — cała zbladła,
Do swéj chatki drżąca wpadła,
Ojca, matki z trwogą wzywa. —
Coraz bardziéj rośnie wrzawa,
Głośne „Allach“ grzmi po błoni;

I już dzicz Tatarów krwawa
Leci z wrzaskiem, z rżeniem koni. —
Dzika w sercach ich uciecha,
Przez wyparte lecą wrota.
Zewsząd Tatar ogień miota,
Płonie chaty niska strzecha. —
. . . . . .
. . . . . .
Ledwie błysnął świt na niebie,
Już po stepach, już po błoniu
Leci Ruńko na swym koniu,
Hanko! Hanko! to do ciebie. —
Prędzéj od dnieprowéj wody
Spieszy wrony koń wesoło;
Lecz weselszy kozak młody,
Pogodniejsze Ruńka czoło. —

Czemuż? czemuż tak kozacze
Przez parowy dzikie skaczesz?
Wkrótce gorzko ty zapłaczesz,
Już po tobie Hanka płacze. —

Leci kozak — a dokoła
Smutne stepy, puste pole,
Na niém dzikie rosną zioła,
Chwasty, głogi i kąkole:
Wicher bujną trawą miota
I ponuro w stepach szumi...
Bojaźń jakaś i tęsknota
Radość w sercu Ruńka tłumi...

I już słońca blask na niebie
Złoci stepów puste niwy. —
Cóż, czy czeka Hanka ciebie?
Że tak lecisz niecierpliwy. —
Pędzi, leci pośród błonia,
Włos mu czarny z wiatrem płynie,
Równy, grzmiący tętent konia
Razem z echem zwolna ginie...

Patrz! mogiła i kamienie,
Na mogile krzyż wysoko,
A Ruńko westchnął głęboko —
Powiedz, powiedz, to westchnienie
Czy w tym grobie pozostało,
Czy za Hanką uleciało? —

Rzucił kozak szlak stepowy,
Wziął się w prawo na bezdroże,
Między krzaki i parowy,
Gdzie Dniepr więzi ciasne łoże.
Wyprężony w szybkim biegu
Śmiga koń po krętym brzegu,
Po manowcach i w gęstwinie
To się mignie, to znów ginie,
Tak jak płomień z pod ogniska.
Ze szkarłatu czapka błyska. —
. . . . . .
. . . . . .
Patrz! już Ruńko na dolinie,
Już z rozpaczy łamie dłonie,
Żadna z oka łza nie płynie,
Chociaż serce we łzach tonie.
Patrz, i czegoż on wygląda
Błędném okiem po téj błoni?
Czy wzrok jego spocząć żąda?
Czy za zbiegłém szczęściem goni?..

Ruńko! biédny, nieszczęśliwy,
W złéj rodziłeś się godzinie;
Jak bluszcz dziki w Ukrainie,
Gdy wśród polnéj błyśnie niwy,
Bez podpory w stepach ginie:
Lub go słońca skwar wypali,
Lub, gdy wzrośnie, gdy zakwitnie,
To go z trawą kosa wytnie,
Lub z podporą wiatr obali. —

Pobiegł kozak nad brzeg rzeki...
Ponura cichość na błoni...
Cóż to? słychać jęk daleki,
Ach to bardon w Dniepru toni
Tłukąc się o skały z brzękiem
Konającym zabrzmiał jękiem.
. . . . . .
I już koń powraca wrony
Zadyszany, zapieniony,
Grzywa z wiatrem rozigrana —
Wbiegł pod zamek wojewody. —
Koniu! gdzieżto Ruńko młody,
Gdzieś ty podział twego pana? —

Nad brzeg Dniepru lud się zbiega,
Coraz bardziéj tłum się mnoży,
Smutny okrzyk się rozlega:
„Zginął! zginął kozak hoży!“
Ruńko burką swą okryty
W ponadbrzeżnym leżał piasku,
A włos czarny, wodą zmyty
W hebanowym lśnił się blasku.
Ruńko! świetniałeś jak zorza,
Byłeś chlubą Zaporoża,
Teraz kopią grób dla ciebie;
Teraz zbladły twoje lica,
Tak jak blednie twarz księżyca,
Gdy spotka słońce na niebie. —

Gdzieżeś płynął o kozacze
Z zapienioną Dniepru wodą?...
Czy się złączyć z Hanką młodą,
Która gdzieś w Jassyrze płacze?...
. . . . . .
Tam gdzie dawniéj chatka stała,
Stoi mogiła w dolinie,
Przy niéj Dniepr szumiący płynie,
Nad nią brzoza wybujała. —

Gdzie głos Hance ulubiony
Nieraz głuchą budził ciszę;
Teraz brzozą wiatr kołysze,
Posępnymi jęcząc tony. —
Ani jednéj łzy, wspomnienia,
Ani żalu, ni westchnienia,
Cicho — jak w północną chwilę:
Samo niebo smutne, mgliste
Lejąc krople rosy czyste,
Odświéża darń na mogile. —
Takie tylko łzy niestety,
Skoro świt zabłyśnie złoty,
Roszą smutny grób sieroty,
Grób kozaka — grób poety.

Wilno 1826. 26 sierpnia.

SONETY.

I.

Ledwo słońce na wschodzie odsłoni swe lica,
Ledwo spojrzy po cichéj samotnéj dolinie,
Mgła się mieni w łzy róży i na kwiaty spłynie,
Chyli się pod perłami róża krasnolica.

Zaledwo w serce moje spojrzała dziewica,
Ledwom zaczął żyć dla niéj i dla niéj jedynie,
Szczęście w łzy się zmieniło, mgła omamień ginie,
Błyszczy gorzkiemi łzami zalana źrenica.

Luba! szczęścia nie znajdzie, kto w twém sercu skona,
Imoich cierpień nigdy wątek się nie skończy,
Bo chociaż lotném skrzydłem czas przeminie rączy,

BIBLIOTEKA NARODOWA

Choć nasze dusze przejdą do wieczności łona,
Gdy twoja tak spokojna, moja tak zwichrzona,
W niebie się nawet dusza z duszą nie połączy.

II.

Zwarzyła jesień kwiaty nad brzegiem strumyka,
Wiatr szumiąc zeschłych liści tumanami miota;
Błyszczy dąb koralowy, błyszczy brzoza złota,
A jaskółkę wewnętrzny niepokój przenika.

Już czas lecieć—gdzie? w sercu znajdziesz przewodnika
Już czas lecieć, wewnętrzna uczy cię tęsknota,
Siedzi smutna nad gniazdem, skrzydełkiem trzepiota,
Zrywa się — podleciała — mignęła i znika.

Jaskółka miała wrócić, nim zefir zawionie,
Pod strzechę, któréj nieraz doznała opieki,
Lecz ją w przelocie morskie pochłonęły tonie.

Lauro, — ja nieszczęśliwy idąc w kraj daleki,
Myślę, że wrócę kiedyś spocząć na twém łonie...
Próżne marzenia — żegnam, żegnam cię na wieki.

III.

Duszo! śpij duszo moja, coś cierpiała tyle.
Twój Anioł cię opuścił i szczęście się zmienia.
Śpij! ach śpij, duszo moja, dopóki z uśpienia
Nieśmiertelny głos Boga nie wyrwie cię mile.

Śpij serce, już dla ciebie znikły szczęścia chwile,
I na cóż się masz budzić na same cierpienia?
Śpij lutni! próżne, próżne twoje smutne brzmienia,
Ja sam zasnę niedługo w głębokiéj mogile.

Tak wędrowiec grożącéj śmierci niedaleki,
Choć już do dna wychylił trucizny napoje,
Jednak długo się męczy, nim zawrze powieki.

Ja, co piłem tak słodkie, zgubne szczęścia zdroje,
Piłem śmierć z rozkosz czary i zasnę na wieki;
Lecz nim zasnę — ach biédne, biédne serce moje!

IV.

Czyliż kto duszy mojéj wrócić szczęście zdoła?
Czyliż kiedy z łez gorzkich oschnie ma źrenica?
Ta, którą tak kochałem, anielska dziewica
Litością już nie spędzi smutków z mego czoła.

Może kiedyś na łonie innego anioła
Czoło moje rozjaśni szczęścia błyskawica,
Lecz szczęście to nie potrwa! znów ściemnieją lica,
A serce chwil przeszłości z rozpaczą zawoła.

Choć róża raz na wiosnę kwitnie i opada,
Zdarza się, że w jesieni znowu się rozwija,
Lecz wtenczas taka wątła, wysilona, blada.

Tak choć szczęście nie wraca, gdy raz człeka mija,
Czasem przed zgonem uśmiéch na licu osiada,
Ale i w tym uśmiéchu już się śmierć przebija.

1827 r. Wilno.

SZANFARY.

UŁAMKI POEMATU ARABSKIEGO.

I.

Szczęśliwe stepy, ziemia ta szczęśliwa,
Gdzie dniem tak cicho, jak w północnéj dobie.
Tu jeśli serce snów mych nie przerywa,
Zdala od ludzi zasypiam jak w grobie,
Tu mnie nie budzą Muezinów wrzaski,
Ani mię wiążą ostre Ramazany;
Spojrzę po stepie — widzę, jak przez piaski
Tak jak po morzu płyną karawany —
Patrzę i w sercu dawna chęć odżywa —
Dawniéj z Araby ścigałem je zbrojnie,
Dziś już Szanfary nad grobem spoczywa,
I karawany wędrują spokojnie. —
Nim zajdzie słońce, obaczą zdaleka
Ostre Medyny minaretów szczyty.
Tam na nich rozkosz i zbawienie czeka,
Tam każden z grzéchów zostanie obmyty.—
Lecz Arab prędko témi modły syty
W swoje pustynie i skały ucieka;
Bo tam choć ludzie dążą dla pokuty,
Lica ich zdradne i oddech zatruty.
Tam człowiek nędzny bardziéj nikczemnieje
I czołem prochy meczetów zamiata,
Prosi proroka o rozkosze świata,
Bo wyżéj sięgnąć nie śmieją nadzieje.

II.

Ach! któż opisze ten cud niepojęty,
Cud, który nawet u niewiernych słynie,

Możeś był kiedy i widział w Medynie
Grób Mahometa odwieczny i święty?
W tym grobie ciało proroka spoczywa,
A trumna jego, z ciężkiéj kuta stali,
W lekkiéj powietrza unosząc się fali
Wśród nieba, ziemi waha się i pływa.
Chcąc w cud ten wierzyć, widzieć go potrzeba;
Ale któż zdoła dojść przyczyny cudu?—
Pewnie gdy anioł niósł trumnę do nieba,
Modły wiernego wstrzymały ją ludu...
Są w świecie serca, które w młode lata
Straciwszy szczęście w samym życia kwiecie,
Nie mogąc w niebo ulecieć ze świata,
Żyją, a przecież nie żyją na świecie:
Lecz nim śmierć więzy cielesne rozkruszy,
Pomiędzy niebem a ziemią się ważą,
Tworzą świat nowy, świat serca i duszy;
W tym świecie żyją, kochają i marzą.

III.

Motyl błyszczący skrzydłami bławatu
Piérwszy dzień, piérwszą godzinę na świecie
Usiadł na łąki najpiękniejszym kwiecie,
Usiadł — i nigdy nie uleciał z kwiatu.
Krótka niestety jego szczęścia chwila,
Zatruty napój pije z kwiatów łona;
Piérwszy raz stałym widziano motyla,
I wiecznie stały, bo na kwiecie kona. —
Ty, co jak motyl nad kwiatów kobiercem
Do jednéj przylgniesz i duszą i sercem,
Strzeż się; bo ona, choć ma lica cudne,
Nie mając duszy*) ma serce obłudne,
A okiem swojém tak prędko zabija,
Tak prędko truje ustami z koralu.

*) Mahomet kobiétom w Alkoranie duszy odmówił.

Że życie twoje jak chwila przemija,
A potém wieczność pełna mąk i żalu.
Bo smutne gorzkiéj miłości ofiary
Podług proroka nie idą do raju —
Raj tylko dla tych, co bronią swéj wiary,
Co życie łożą dla swojego kraju;
A ci, co żyją w istocie bez duszy,
Co ją kochają nad kraj i nad wiarę
I nad proroka, ci za zbrodni karę
Wiecznych Eblisa doświadczą katuszy.

IV.

Patrz, jakie bole z przyrodzenia ręki
Ponosi ślimak w muszli swéj zamknięty:*)
Owocem cierpień, owocem téj męki
Są drogie perły, dla dziewic ponęty.
Skoro im w oczach perła zajaśnieje,
Oddadzą za nią i cnotę i serce,
Byle dogodzić téj dumy iskierce,
Co wiecznie skryta w sercach kobiét tleje. —
Ale są jeszcze, są pereł rodzaje,
Które dziewica zręcznie łudzić umie;
Perły te równie cierpienie wydaje,
I równie dziewic pochlebiają dumie:
Są to łzy, które leje nieszczęśliwy,
Gdy sercem w sercu dziewicy utonie,
I tak silnemi związany ogniwy,
Nim zerwie łańcuch, wprzód duszę wyzionie...

V.

W ustawnéj burzy nieszczęsny Szanfary
Zasnąć nie może lub zasnąć się boi,

*) Wielu z pisarzów historyi naturalnéj dowodzi, że tworzenie się pereł, tak jak innych ciał narośli, jest skutkiem choroby, a témsamém cierpienia zawartego w muszli ślimaka.

Bo we śnie straszne snują mu się mary;
Lub gdy się serce chwilę uspokoi,
Wtenczas téj chwili, tak rzadkiéj w mém życiu,
Snowi za żadne nie poświęcę skarby:
Bo wtenczas w sercu, jak w niebios odbiciu,
Młodość żywemi maluje się farby;
Gwiazda młodości znów błyszczy nademną —
Niegdyś jéj promień w sercu się objawił,
Chwilę oświécił duszę moję ciemną,
Zagasł i jeszcze ciemniejszą zostawił. —
Widzę ją: — płynie, jak postać anioła,
Od słońca skryte musselinem lice,
Lecz z pod zasłony widna białość czoła
I czarnych oczu jasne błyskawice,
A lekki smutek, jak ranna mgła maju,
Długiemi rzęsy kryje blask jéj oka...
Jeszczebym teraz przysiągł na proroka,
Że Zara była jedną z dziewic raju,
Które wygnane za swe lekkie winy
Są tak jak obce dla ludzi i świata;
Zmuszone błądzą wśród ziemskiéj krainy,
Lecz ich myśl ciągle do nieba ulata.

VI.

Brylant największy w koronie Mogoła
Świetnie jaśnieje, pali się i błyska;
Rzekłbyś, że z łona te płomienie ciska ,
Których śmiertelne oko znieść nie zdoła.
Jednak pomimo takiéj ognia mocy,
Pomimo tego, że świéci tak jasno,
Gdy słońce zgaśnie, gdy pochodnie zgasną,
I brylant niknie tonąc w cieniach nocy. —
Tysiącznym ogniem oko Zary świéci,
I blaskiem całe olśniło oblicze;
Rzekłbyś, że z serca ten ogień się nieci,
Lecz spojrzyj w serce, a serce zwodnicze!
W łonie piekielne skrywały się jędze,
I zwodnym blaskiem źrenica się lśniła;

Naprożnom wierzył miłości przysiędze:
Żeby kochała, toby nie zdradziła...
Nie!—jam tak często patrzał w Zary lica,
Śledząc najmniejsze jéj poruszeń ślady,
Kiedy miłością jaśniała źrenica:
Jabym tam dostrzegł najmniejszy cień zdrady.
Nie! szczére były jéj słodkie wyrazy,
Serce mówiło jéj oka spojrzeniem:
Brylant, co błyszczy tak silnym płomieniem,
Musi być czysty i bez żadnéj skazy. —
Potém te ognie zgasły po iskierce,
Potém zwodnicze zmieniło się serce.

VII.

Kiedy dopieką słońcem skwary letnie,
Ożywa w stepach szarańcza skrzydlata,
Wzbija się w chmurę i migocąc świetnie
W inne, żyźniejsze krainy ulata;
Bo te pustynie i te dzikie skały
Dały jéj życie, lecz żywić nie mogą.
Tak i my nędzą przemożeni srogą,
W oszczepy, w strute uzbrojeni strzały,
Spadliśmy nagle na łąki Iranu;
Zadrżeli Persy, bladą zdjęci trwogą,
W haremach trwożne dziewice zadrżały,
Zadrżał sam dumny władca Ispahanu.—
O jak dla serca, dla ucha był miły
Jęk, który wróg mój wydawał przed zgonem!
Arab obfitym ucieszył się plonem,
A Pers zapłakał nad swemi mogiły.

VIII.

Miotany szczęściem, trwogą i nadzieją
Spieszę do Zary niecierpliwym krokiem.
Czyż te łzy jeszcze w oku jéj jaśnieją,
Co przy rozstaniu lały się potokiem?

Ach! usta moje zapytać się boją.
Oto już widzę mą rodzinną ziemię:
Gdzież moja Zara? — „Zara już nie twoją,
Zara niewierna w Sudana haremie.“ —
Czarna ta zbrodnia nie uszła bezkarnie;
Ale ją karząc jakie czułem bole,
I jakie teraz ponoszę męczarnie,
Czytaj je wszystkie, czytaj na mém czole! —
Świadczy ta bladość, co jéj lica kryje! —
Więc wiész już wszystko — już ona nie żyje —
Ostatnia strzała, co była w kołczanie,
Gorzkie dla Zary niosła pożegnanie.

IX.

Noc tę pamiętam. — Jak cicho w haremie! —
Czyste łzy nocy leją się na ziemię;
Jak pełna róża, tak w pełni rozwity
Fingari*) niebios przebiega błękity;
Dusza i oko w zachwyceniu ginie,
Widząc szczyt nieba gwiazdami zasiany.
Tak nieraz błyszczą piaszczyste pustynie,
Gdy na nich dużne staną karawany
I palą ognie: błyskają płomyki,
Ani ich rosa, ani wiatr nie niszczy;
Spojrzyj zdaleka, a cały step dziki
Tak, jako niebo, cały w iskry błyszczy. —
Cicho w haremie: — palmy się kołyszą,
A mgły śrebrzyste na ich szczytach wiszą;
Pomiędzy palmy dwie meczetu wieże
Aż pod szczyt nieba sięgają wysoki,
Tak jak modlitwy, jak wiernych pacierze
Rzucając ziemię, lecą pod obłoki.
Księżyc oświéca złoty szczyt meczetu;
Patrz na téj gwiazdy migające lica:
Widząc ją sądzi złudzona źrenica,
Że tkwi na ostrym szczycie minaretu. —

*) Księżyc.

Śpiewa dla róży słowik zakochany,
Bo zakochany nie zna, co sen cichy;
Tam znów w murawie błyszczą tulipany
I pełne rosy schylając kielichy
Płaczą, bo nazbyt łzami obciążone:
Tak nieraz ciche przy blasku księżyca
Łzy długo skryte i długo tajone
Upuszcza z oczu nieszczęsna dziewica.
Nad kwiaty nocnych motylów tysiące,
Nocy spokojnym ucieszone cieniem,
Błyszczą światłości błękitnym płomieniem,
Tak jak po stepach gwiazdy latające.

X.

Téj nocy — rozpacz porywa mię wściekła! —
Te oczy były świadkami jéj zdrady,
Świadkami gwiazdy, świadkiem księżyc blady,
I blade duchy Edenu i piekła.
Tam pod palmami Sudan i dziewica,
Oboje w rajskiém zachwyceniu toną;
Widzę, jak ogniem palą się ich lica,
Widzę, jak usta łączą się i płoną. —
Cóż to? — czy zbytkiem rozkosz przesycenī
Blednieje Sudan i Zara pobladła,
Głowa jéj zlekka na łono opadła,
I lica z wrzących pogasły płomieni?
O nie! ta bladość jest bladość śmiertelna,
Jak zemsta moja czarna i straszliwa:
Pocisk zatruty powietrze przeszywa,
Pociskiem siła kieruje piekielna;
W zwodnicze serce swe jady wysączył
I w chwilę lice od jadu skościało...
Chcąc ich rozłączyć, jam ich silniéj złączył,
Dwa serca jedną przeszywając strzałą...
To mię zawiodła ręka moja mściwa...
Obudź się! obudź Zaro nieszczęśliwa:

Jam chciał Sudana wtrącić w grobu cienie,
A ciebie z ludźmi zostawić dla kary:
Z ludźmi i w piekle jednakie cierpienie,
Piekła na ziemi doświadczył Szanfary.

XI.

Patrz, jak ogniowéj podobne kolumnie
W tysiącznych światłach błyszczą minarety;
Lud do meczetów gromadzi się tłumnie,
I brzmią pobożnym odgłosem meczety.
Muezin wstąpił na wieżę wyniosłą,
Allaha święte rozpoczyna pienie;
Naprzód je niebios odbiło sklepienie,
A potém echo na ziemię odniosło,
I daléj drżące, melodyjne śpiewy
Na skrzydłach wiatru po powietrzu płyną,
Brzmią tak jak w palmach zefiru powiewy,
Tak jak westchnienia tłumią się i giną.
Wszakże się jeszcze Bejram nie zaczyna?
Ni Ramazana nocne nabożeństwa? —
Hymn śmierci głoszą usta Muezina,
I na zabójcę miotają przekleństwa.
Próżno przeklina: ja nie żądam raju;
Bo gdy mnie grono hurysek*) otoczy,
Lękać się będę nawet w niebios kraju,
Żeby kobiéce nie zdradziły oczy.
Nie chcę ja raju, lecz proszę proroka:
Niech da méj duszy taki step bez końca,
Step dziki, pusty, bezbrzeżny dla oka,
I wiecznie wrzący promieniami słońca;
A gdy zapragnę, wśród dzikiego błonia
Na me skinienie niech źródło wypływa;
Niech mi tam prorok wróci mego konia,
Który gdzieś w piaskach ruchomych spoczywa;

*) Piękne dziewice, które w raju Turkom usługują.

Niech dla rajskiego duszy zachwycenia
Step ten okryją mych wrogów mogiły,
Niech mi się wrócą méj młodości siły,
Lecz nie wracają młodości cierpienia!
O takiém szczęściu serce moje marzy,
Ach! wtenczas będę zupełnie szczęśliwy;
Niech tylko żaden, żaden człowiek żywy
Téj samotności przerwać się nie waży!

XII.

Patrz, jak te twarde dzikich skał ogromy
Nad fale groźne wysuwają czoła;
Próżno nad niemi ryczy wiatr i gromy,
Grom ich i fala poruszyć nie zdoła!
Każda ta skała złożona z korali,
A każdy koral pod wody ukryciem
Niedawno jeszcze obdarzony życiem,
Czuł jak najlekkie poruszenie fali:
Lecz później wszystkie te cząstki żyjące
Szukając wsparcia przylgnęły do skały,
Wśród zimnych głazów wiecznie czuciem drżące
Pośród kamieni same skamieniały. —
Tak, kiedy na świat rzucisz szybko okiem,
Ileż serc zimnych oko napotyka:
Ten patrzy na świat obojętnym wzrokiem,
Ten zimnych ludzi jak gadzin unika. —
A jednak każde, każde z tych serc biło
Żądzą wielkości, potęgi i sławy,
Albo z wojennéj ochłonąwszy wrzawy,
Wrzącym się ogniem miłości paliło.
W przyjaźni stałe, w miłości niezmienne
Długo cierpiały na téj nieszczęść ziemi,
Ale trafiając na serca kamienne,
Same się wkrótce stały kamiennemi.

XIII.

W haremie zdala wśród cyprysów cieni
Róża samotna innych róż unika:
Nie jestto czuła kochanka słowika,
Co na słowika pienia się rumieni;
Nie płonie ona tak, jak miłość płonie,
Ani niewinność białym znaczy kwiatem,
Lecz tak, jak ogień przy Eblisa tronie
Błyszczy naprzemian złotem i szkarłatem.
Środek téj róży, pozbawionéj liści
Tak czczy i próżny, jak serce dziewicy.
Wszystko w niém mija lotem błyskawicy:
Choć los najsłodsze życzenia uiści,
Nowe i śmielsze powstaną nadzieje;
Zawsze zajęte nowych marzeń snuciem —
I nigdy serce, co tak słabo tleje,
Jedném się stałém nie napełni czuciem. —
Chociaż ta róża tak świetnie się płoni,
Nikogo do niéj nie zwabią jéj wdzięki,
Bo każden pozna, że róża bez woni
Kolce nastawia dla przyjaznéj ręki;
Sam nawet czuły słowik od niéj stroni
I leci daléj rozwodzić swe jęki. —
To godło serca, co serce zdradziło,
Nad smutną Zary błyszczy się mogiłą.

XIV.

Weź zimną muszlę, którą wody siła
Z ciemnéj głębiny na brzeg morza miota.
Chociaż już dawno nie żyje istota,
Która w jéj łonie mieszkała i żyła,
Choć nic kamienna muszla nie ukrywa,
A jednak, słuchaj, coś w jéj łonie szumi;
Szum się ten wiecznie dla ucha odrywa,
Żadna go siła nie zniszczy, nie stłumi; —

Tak jako w gwarze zmięszane wyrazy,
Tak brzmi coś wiecznie wśród téj muszli łona.
I chyba wtenczas głos ten wnętrzny skona,
Gdy samą muszlę rozbijesz o głazy.—
Patrz, jak to serce skrzepłe, lodowate,
Które już płakać i cierpieć przestało,
Choć już przeżyło wrzących ogniów stratę,
I chociaż wszelkie czucie w niém wywrzało —
Jednak głos jakiś, choć serce z kamienia,
Przedłuża cierpień albo szczęścia wątek.
Ten głos — to smutne wyrzuty sumienia,
Ten głos — to echo przeszłości pamiątek. —
Któż tego głosu skrytości przeniknie?
Stłumić go niemasz rady ni sposobu,
Głos ten nas wiernie prowadzi do grobu
I razem z życiem umiéra i niknie.

Wilno 1828 roku. 10 lutego.

ROZŁĄCZENIE.

Rozłączeni — lecz jedno o drugiém pamięta:
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągłe wieści. Wiém, kiedy w ogródku,
Wiém, kiedy płaczesz w cichéj komnacie zamknięta.

Wiém, o jakiéj godzinie wraca bolu fala,
Wiém, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska.
Tyś mi widna, jak gwiazda, co się tam zapala
I łzą różową leje i skrą siną błyska.

A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać,
Znając twój dom i drzewa ogrodu i kwiaty,
Wiém, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
Między jakiemi drzewy szukać białéj szaty.

Ale ty próżno będziesz krajobrazy tworzyć,
Ośrebrzać je księżycem i promienić świtem:
Nie wiész, że trzeba niebo zwalić i położyć
Pod oknami i nazwać jeziora błękitem;

Potém jezioro z niebem dzielić na połowę,
W dzień zasłoną gór jasnych, w nocy skał szafirem;
Nie wiész, jak włosem deszczu skałom wieńczyć głowę,
Jak je widzieć w księżycu odkreślone kirem.

Nie wiész, nad jaką górą wschodzi ta perełka,
Którąm wybrał dla ciebie za gwiazdeczkę-stróża;
Nie wiész, że gdzieś daleko aż u gór podnóża,
Za jeziorem, dojrzałem dwa z okien światełka.

Przywykłem do nich, kocham te gwiazdy jeziora,
Ciemne mgłą oddalenia, od gwiazd nieba krwawsze;
Dziś je widzę, widziałem zapalone wczora,
Zawsze mi świécą — smutno i blado — lecz zawsze...

A ty wiecznie zagasłaś nad biédnym tułaczem;
Lecz choć się nigdy, nigdzie połączyć nie mamy,
Zamilkniemy na chwilę i znów się wołamy,
Jak dwa smutne słowiki, co się wabią płaczem.

Nad jeziorem Leman d. 20. lipca 1835. r.

PRZEKLEŃSTWO.

DO **

Przeklęta! Ty wydarłaś ostatnie godziny
Szczęścia mego na ziemi, ty żądłem gadziny
Wygnałaś na samotność. Bądź wiecznie przeklęta! —
Każdy mój jęk zna ciebie, każda łza pamięta!

Bo kiedy nieszczęśliwy zaklinałem ciebie,
Abyś mi dała nieco przyjaźni i ciszy:
Toś ty mi łzy w powszednim podawała chlebie
I jęcząc, z jękiem w sercu mówiłaś: Niech słyszy!

Cierpiałem i uległem. — Dziś samotny jestem,
Lecz wiédz, że w samotności, okryty żałobą
Oczy błędne obracam za każdym szelestem:
Czekam — ale nie ciebie, tęsknię — nie za tobą.

Téj czekam omamiony, téj samotny płaczę,
Która mi była siostrą na wygnania ziemi,
Myśląc, że kiedyś duszy oczyma zobaczę
Tę, co w duszę oczyma patrzy anielskiemi,

A nigdy serca mego nie umiała krwawić;
A tak się ze mną duszą i myślami dzieli,
Że już dziś sami boscy nie wiedzą anieli,
Czy ją dla mnie potępić, czy mnie dla niéj zbawić.

A ty! a ty, co lałaś żółciowe gorycze,
Skoro się otwiérała serca mego rana,
O gorzéj, niż przeklęta — widmo tajemnicze
Złéj przeszłości — przeklęta bądź i zapomniana!

STOKRÓTKI.

Miło po listku rwać niepełną stokroć
I rozkochanych słów rożaniec cedzić,
Miło przy ludziach było raz powiedzieć,
Że się kochamy i mówić po stokroć.

Miło zabłądzić pod lipowe cienie
Z kwiatkami w ręku — i patrząc ukradkiem.
Wzajemnie mówić obrywanym kwiatkiem:
Kochasz!... i pani kochasz mnie szalenie...

Gdy nas różowa poróżniała sprzeczka,
A zgody ciągłe zabraniały świadki,
Pamiętasz luba, jak te białe kwiatki,
Jeden mówił: nie — a drugi: troszeczka.

Dzisiaj samotny, dzisiaj bez nadziei
Błądząc po skałach, wszystkie moje smutki
Zbiegły się razem do białéj stokrótki,
Co była siostrą stokrótek w alei.

Rwałem ją: listki leciały w błękicie
Aż na jezioro ze skały, gdziem siedział;
I wiész, co listek ostatni powiedział?—
Luba, że jeszcze kochasz mnie nad życie.

Veytoux d. 21. lipca 1835. r. rano.

CHMURY.

Do was chmury
Wzrok ponury
Skrą i łzami,
Sam na ziemi
Pod czarnémi
Chmur wiankami.

Jak duch trumny,
Smutkiem dumny
Nad szmer domów

Trzymam skronie
Tam — w koronie
Chmur i gromów.

Gdzie wam droga,
Chmury Boga,
Mnie weźmiecie:
Bo ja ciemny,
Mgłą tajemny
Sam na świecie.

Tam, za wami,
Gdzie wichrami
Burza kręci, —
Łzą do łzawic,
Do błyskawic
Skrą pamięci.

Lecę! błyskam!
Skrami ciskam,
Jutro zmarły;
Patrzcie na mnie,
Żyjcie za mnie,
Ludzie! karły!

Tu wam, ludzie,
Na ziem grudzie
Mogił grzędy:
Gdzie chmur droga,
Z wichrem Boga
Mnie tamtędy!

Veytoux 21. lipca wieczór 1835. r.

OSTATNIE WSPOMNIENIE
DO LAURY.

Dawniéj bez serca — dziś bez rozumu —
O biédna Lauro — nim zginę,
Tobie śród głuchych pamiątek szumu
Wianek Ofelii uwinę.
Ty go drżącemi weźmiesz rękoma,
Jak wąż ci czoło okręci:
Oto bławatki, ruta i słoma,
A to są kwiaty pamięci.

Burza żywota nad nami mija,
Przeminie, lecz głowę zegnie:
Śmiéch nie pociesza, ból nie zabija,
Pamięć i rozum odbiegnie:
Cicha spokojność nigdy nie wróci,
Zniszczenia wicher nie wionie;
Słońce nie cieszy, księżyc nie smuci,
Cieniami śmierć nie pochłonie...

Za cóż tak zimny nieczucia kamień
Na serce moje się wali?
Żeśmy się kiedyś w kraju omamień
Na jednéj drodze spotkali?
Że cię tak długo dźwiękami lutni
Budziłem i do snu kładłem?
A ty smutniejsza, niż ludzie smutni,
Biegłaś za inném widziadłem.

I coraz wyżéj w niebo lecąca
Niknęłaś w marzeń lazurze,
I roztopiona w blasku miesiąca
Zwiędłą rzuciłaś mi różę.

Nie wiém, czy róża z twojego czoła,
Czy twoją skropiona łezką,
Czy mi jakiego ręka anioła
Rzuciła różę niebieską.

Ciemność twéj duszy, jak dżumy plama
Od ciała przeszła do ciała:
Widzisz jad w sercu? — to łza tasama,
Którąś ty w serce nalała;
Widzisz, jak zagasł dziecka rumieniec,
Gdzieś ty ustami przebiegła?..
A ten na głowie płonący wieniec
Tyś skrami oczu zażegła.

Dziś, gdy mi włosy burza roztarga,
Ogniami czoło mam sine,
A jakąś dumą drży moja warga,
Że w tych płomieniach nie ginę.
Lecz gdy do szczęścia świat mię zawoła,
Nie biegnę szczęśliwych śladem;
Przeklinam ciebie ogniami czoła,
Serca przeklinam cię jadem.

Więc niech mię prędko chmury czarnemi
Porywa wicher nicości,
Bo już przekląłem wszystko na ziemi,
Wszystko — z aniołem przeszłości...
Tam, gdzie tłum ludzi huczy, ucieka
I falą powraca ciemną,
Nic mnie nie żegna, nic mnie nie czeka,
Nic za mną, i nic przedemną.

Gdy bracia moi, gdy wędrownicy
Lecieli z szumem po niebie,
Ja nieruchomy, gwiazdą źrenicy
Patrzałem w przeszłość, na ciebie.

Dziewice ziemi nieraz postrzegły
Łzawymi oka błękity,
Że oczy moje za tobą biegły,
Żem był na sercu zabity.

Okruszynami nikłéj miłości
Karmiłem blade widziadła,
Ale łza taka, jak łzy przeszłości,
Na żadne serce nie spadła.
Jak oczy moje topią się, mdleją,
Jak myśli rzucają ze dna,
Jak iskry sypią, jak łzami leją,
Ty wiész! — lecz tylko ty jedna.

A teraz — smutny przeszłości echem,
O ludzie, idę za wami,
Choć śmiech wasz dla mnie — szalonych śmiechem,
Łzy wasze — szalonych łzami;
Lecz gdy się znudzę łez zimnych rosą
I zimnych uściskiem prawic,
Duszę mi od was wichry uniosą,
Lecz wichry pełne błyskawic.

Veytoux d. 30. lipca 1835. r.

RZYM.

Nagle mię trącił płacz na pustém błoniu:
„Rzymie! nie jesteś ty już dawnym Rzymem.“
Tak śpiewał pasterz trzód, siedząc na koniu.

Przedemną mroczne błękitnawym dymem
Sznury pałaców pod Apeninami,
Nad nimi kościół ten, co jest olbrzymem.

Za mną był morski brzeg i nad falami
Okrętów tłum, jako łabędzie stado,
Które ogarnął sen pod ruinami.

I zdjął mię wielki płacz, gdy tą gromadą
Poranny zachwiał wiatr i pędził daléj,
Jakby girlandę dusz w błękitność bladą.

I zdjął mię wielki strach, gdy poznikali
Ci aniołowie fal, a ja zostałem
W pustyni sam, z Rzymem, co już się wali.

I nigdy w życiu takich łez nie lałem,
Jak wtenczas, gdy mnie spytało w pustyni
Słońce, szydzący Bóg, czy Rzym widziałem?..

SUMIENIE.

Przekląłem — i na wieki rzuciłem ją samą
I wzburzony, nim księżyc zabłysnął wieczorem,
Jużem się od niéj długiém rozdzielił jeziorem;
A gdy się toń jeziora księżycową plamą
Ośrebrzyła, gdy wichry zawiewały chłodniéj,
Jam jeszcze jechał, jeszcze uciekałem od niéj.

I możebym zapomniał, bo koń leciał skoro,
Bo mi piosenkę grały tętniące kopyta,
Gdzie ona... oszukana... przeklęta — zabita...
Patrzę na niebo — księżyc — na gwiazdy — jezioro —
Wszak jęk tu nie doleci... wszak łez nie zobaczę,
To jezioro — to fala — to nie ona płacze.

I możebym zapomniał .. lecz gdy to spostrzegła
Blada światłość księżyca — krok w krok za mną biegła.

Próżno się zatokami wężowemi kręcę,
Wszędy mnie księżycowa kolumna dopadła,
Jakby się ta kobiéta do stóp moich kładła,
I niema płaczem za mną wyciągała ręce.

Rzym d. 1 maja 1836. r.

UŁAMKI.

Na ustach moich węgiel położył czerwony,
Obrócił na północ twarzą,
I kazał prorokować hymn wrący, szalony:

Narody ziemskie! kiedy was porażą,
Kiedy stracicie nadzieję,
Słuchajcie wieszczów — byście wiedzieli, co każą.

A naprzód temu, co krew waszę leje,
Przez usta, piersi i skórę i oczy,
I znużony jest zemstą i nie mdleje,

Trzy przekleństwa posyłam, i duch proroczy,
Co ma jak szatan szpony ogniste i skrzydła,
I robaczliwy ząb, co trupy toczy.

Miałem lutnię, co siedem strun miała i widła,
Na nich był patyk złoty, gdzie łabędziowi
Duszy mojéj spoczynek był — lecz mi obrzydła:

Bowiem nie mogła wydrzéć nic grobowi,
Nawet pamiątek tych, co nieśmiertelne
Powinny być — a są podobne snowi.

A więc zerwałem naprzód dwie weselne
Struny na lutni téj, i nigdy więcéj
Już nie obudzę ich: — bo są bezczelne.

Zerwałem drugie dwie, co sto tysięcy
Wyrazów słodkich, miłych, miłosnych umiały,
I uśpić smutne serce umiały najprędzéj.

Zerwałem trzecie dwie, jak echo skały
Powtarzające wszystko, co słyszą dokoła: —
Albowiem wszystko płacz, co usłyszały.

Została jedna ta, co teraz woła:
O wy! co w prochu myśli mażecie i serca,
Z tych serc otrzyjcie rdzę — podnieście czoła!

HYMN
O ZACHODZIE SŁOŃCA NA MORZU.

Smutno mi Boże! Dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą;
Przedemną gasisz w lazurowéj wodzie
Gwiazdę ognistą.
Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze,
Smutno mi Boże!

Jak puste kłosy z podniesioną głową,
Stoję rozkoszy próżen i dosytu;
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową,
Ciszę błękitu.
Ale przed Tobą głąb serca otworzę,
Smutno mi Boże!

Jako na matki odejście się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu bliski
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski,
Choć wiém, że jutro błyśnie nowe zorze,
Smutno mi Boże!

Dzisiaj na wielkiém morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem
Spotkałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi Boże!

Żem często dumał nad mogiłą ludzi,
Żem nie znał prawie rodzinnego domu,
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu,
Że nie wiém, gdzie się w mogiłę położę,
Smutno mi Boże!

Ty będziesz widział moje białe kości,
W straż nieoddane kolumnowym czołom,
Alem jest jako człowiek, co zazdrości
Mogił... popiołom.
Więc że nieznane gotujesz mi łoże,
Smutno mi Boże!

Kazano w kraju niewinnéj dziecinie
Modlić się za mnie codzień, a ja przecie
Wiém, że mój okręt nie do kraju płynie
Płynąc po świecie.
Więc, że modlitwa dziecka nic nie może,
Smutno mi Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli twoi w niebie rozpostarli,

Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie,
Patrzący, marli...
Nim się przed moją nicością ukorzę,
Smutno mi Boże!

d. 20. paździer. dopływając do Alexandryi, 1836.

DO TEOFILA JANUSZEWSKIEGO.

Gdzie dziś Neapol jasny? Kto zasiadł nasz ganek?
Kto patrzy na rybackich sklepów złoty wianek?
Gdzie koczujące światła w pół okręgu zwite,
Od wiatru żagielkami białymi nakryte,
Jak te, o których prawi gdzieś Szecherazada,
Ptaków z ognistą piersią, z białém skrzydłem stada?
Nad błękitami siedzą. Przy świetle światełko,
Każde ma białe sobie dodane skrzydełko:
Rzekłbyś, że gwiazd znudzonych lazurami plemię
Bóg skrzydłami uzbroił — i przysłał na ziemię.
Lubiłeś taki widok — ludu ruchy — migi —
Krzyk — życie — otwiérane nożami ostrygi —
Z polipów i gwiazd morskich malownicze wzorki —
Siarczaną wodą z hukiem wystrzelone korki —
Falę ludu, co z sobą po ulicach niesła
Osoby — granem widok płacące i krzesła...
Lubiłeś na to patrzeć, lecz poważnie — z tronu —
Z drżącego nad falami morskiemi balkonu,
Którym architekt tkanki podrzéźniał pajęcze. —
Ja tymczasem, kolorów przeleciawszy tęczę,
Patrzałem na Wezuwiusz, aż po lawy ścianie
Drący się księżyc wejdzie, na kraterze stanie
I stamtąd białe czoło obróci do świata.
Tak zrodzone na grobie dziecko twego brata,
Któremu piérwsza grobu lilia rówieśniczką,
Zamyśloną na ludzi spojrzało twarzyczką

Z cichéj ojca mogiły... Gdzie nasz lazurowy
Golf? i ciche przy białym księżycu rozmowy?
Jak się wieniec związanych ludzi prędko kruszy!
Wczoraj widziałem wróble spłoszone na gruszy;
Cała hurma na bliskie uniosła się drzewka
Tak zgodnie, że raz biała skrzydełek podszewka
Ku słońcu, to znów cała chyli się ku roli,
Jak podśrebrzone liście rozchwianéj topoli.
Lecz ludzie, piorunową spłoszeni ulewą,
Nigdy razem na bliskie nie usiędą drzewo,
Ale niezgodnym lotem rozchodzą się błędnie.
Ani tam listek róży, gdzie liść lauru więdnie...

Już miesiąc, jak z jednego wyjechawszy grodu,
Ty pod strzechę własnego domu, w cień ogrodu,
Ja w nieznane uciekam krainy południa
Przed ścigającą myślą i mrozami grudnia.
A gdy mi już na opak idą roku pory,
Gdy zima kwiatowymi ubrana kolory
Ani po górach lekkim płatkiem śniegu sypie,
Ani w kryształ ubiéra brzozy, ani skrzypie
Pod saniami wieśniaka, ani pod stodoły
Zgania wróble, ni smutno zielone jemioły
Różami świegocących osypuje gilów,
W kraju porzniętym wstążką jasną siedmiu Nilów
Mógłbym o spokojnikach zapominać wiejskich,
Pijąc muł Etyopów zamiast wód letejskich.
Lecz ja przeciwnie — wszystkie widziane obrazy
W myśl kładę, jak na wielkie zwierciadło bez skazy,
I chciałbym wam, gdy noc was zimowa zaskoczy,
Tém zwierciadłem Egiptu słońce rzucić w oczy.

Obłąkany nasz okręt zawołał o świcie:
Ziemia! I ziemia wyszła na morza błękicie,
Jak złocistego piasku dzierzgany obrąbek.
Rzekłbyś, że biały siedzi na piaskach gołąbek,
Przypatrując się sobie w zwierciadlanéj fali...
A to był pałac wielki Mohameda-Ali.

Rzekłbyś, że przed nim resztki wieśniaczego płota
Stérczą... to była Ali-Mohameda flota.
Nad tym brzegiem, a z twarzą, jak ją widzę co dnia,
Leżała niesplamiona purpura przedwschodnia;
Na niéj stada gwiazdeczek bladego lazuru —
I jedna tylko palma na prawo z marmuru,
Otoczona rojami nieśpiących wiatraków.
W przezroczu nieba stada wędrujące ptaków,
Tak jak je ręka Boża w jeden łańcuch sprzęże,
Przedemną w czarne, długie wiązały się węże...
Tak mi się ukazały afrykańskie brzegi
Smutne, obumarłymi południka śniegi
Zasypane, pod nieba sklepionego łuną,
Długą i rozciągniętą położone struną.
Z niéj jak z boskiego łuku na niebieskie stropy
Strzał słonecznych wiązane wypadały snopy.
Chciałbym się teraz zbliżyć teleskopu szkiełkiem
Do brzegu — spoić z tęczą kolorów i zgiełkiem.
Tu przeszywany złotem, przetkany bławatem
Chce być człowiek bawiącym oczy twoje kwiatem;
Nawet w ubiorach ludu taka rozmaitość,
Że cię wkrótce dusząca opanuje sytość,
I szukasz znużonemi oczyma błękitu,
Lecz próżno! — bo dom szczytem przyrasta do szczytu;
Bo ledwo się oglądniesz, zaraz ciebie horda
Oślarzy za złotego zwąchała milorda
I osiołkami drogę zwężoną przegradza —
Chwyta — piastuje — z ziemi podnosi — i sadza
Na szybkolotnym ośle, razów mu nie szczędzi,
Aż biegnąc pod złotego orła cię zapędzi.
Szczęśliwy, kto tak gnany, pod rozsądek ścisły
Oczy podda i wszystkie razem zwiąże zmysły!
Nieszczęsny, kto na boczne bramy się ogląda!
Schyl głowy!.. osioł wleciał pod juki wielbłąda —
Patrzysz... nad tobą arka tłómoków i skrzyni —
Rozbiłeś się na lądzie — a okręt pustyni
Popłynął. — I znów idzie całunem nakryta
Jakaś trumna, szeroka, czarna — to kobieta!

Płaszczami rozszérzona na całą ulicę,
Z oczami błyszczącemi jako dwie gromnice
Przez dwa białe otwory, z jedwabiu szelestem
Biegnąca... zda się tobie, że pyta: kto jestem?
W łokciach ufaj, jak ryba pływająca w skrzelach,
Rozpychaj tłum — błękitny ustępuje felach.
Tu pilnująca głową równowagi dzbanka,
Wyprężona przy murach staje Egipcyanka,
Podobna Karyatydzie w ścianę wmurowanéj;
Jéj koszula, posłuszna piersi z brązu lanéj,
Nad łonem się podnosi i na dół opada,
O każdy kształt jak wodna łamiąc się kaskada.
Tu europejski ubior, wielki równacz stanów,
Daléj żebrzące stado postaci bocianów
Goni za tobą, prośbą grzechocącą klaszcze —
Czarne, wychudłe, w białe obwinięte płaszcze.
Ledwoś wyrobił w tłumie ulicowym szczerby,
Ledwoś dopadł do bramy: — przy bramie, jak herby,
Żywe wielbłądy okiem przerastając kratę,
Wodą w skórzanych workach zamkniętą skrzydlate,
Stają ci się przed progiem domowym zagrodą,
Odstraszając sączącą się przez skóry wodą.

Nim się myślą o wiekach ubiegłych zasępię,
Bawi mię to, co widzę i słyszę na wstępie:
Dziś ludzi, kolorami rozkwiecone klomby —
Jutro ujrzę pomniki — trumny — katakomby —
Wszystko, co pozostało na tym piasku z wieków
Od Egipcyan przez Rzymian podbitych i Greków.
Dosyć już... dziś znużony arabskimi gwary
Siędę w oknie i będę patrzał na port stary
Wielkiego Alexandra, gdzie się jeszcze trzyma
Latarnia morska, świécąc puszczyków oczyma.

Alexandrya 22 października 1836.

ODWIEDZINY PIRAMID.

Wyjechałem z Kairu dziś ze słońca wschodem.*)
Mgła biała nad palmowym Kairu ogrodem
Kryła mi złote słońce... i łzy brylantowe
Zawieszała na palmach; a gmachy różowe
Zorzą mglistą, tysiącem wieżowych promieni
Przesuwając się w tajnéj ogrodu zieleni,
Odchodziły gdzieś na wschód. Oślątko me chyże
Leciało, aż się w starym oparłem Kairze.
Łódka stała u brzegu, wsiadłem do niéj — płynę.
Za Nilem widać było zieloną równinę;
Po obu stronach domki białe, pełne krasy;
Za domkami dwa wielkie daktylowe lasy,
Między lasami przestwór i na tym przestworze
Trzy piramidy — daléj żółte piasków morze
I niebo blade — czyste, jak Ptolomeusza
Krąg z kryształu... Na oczach usiadła mi dusza...

Przez Nil cichy prędkiemi przeprawiony wiosły
Wysiadam... już zbliżone daktyle przerosły
Czoła dumne piramid — zniknęły pomniki
I tylko las błędnymi pocięty promyki,
Wystrzelony pod niebo, koronami szumny,
Jak przysionek piramid bogaty w kolumny
Przy ludzkich dziełach ręką zasadzony Boga...
I trzy godziny trwała pełna dumań droga
I więcéj, bo Nil jeszcze nie wrócił do łoża.
Przepływałem jeziora — aż na piasków morza
Wyniosło mię oślątko... Na piaskowym wale
Stały przedemną gmachy błyszczące wspaniale,
Twarzami obrócone do słońca — i do mnie.
Patrzałem na nie — potém na siebie... Jak skromnie

*) Wyjazd ten miał miejsce d. 2 listopada 1836.

Wyglądałem przy grobach takich! na osiołku,
W pustyni piasku w każdym topiący się dołku.

Bliżéj — z pokorą wszystko opisywać muszę —
W dolinie piasku stoją trzy drzewa: dwie grusze,
A we środku spleciona z kilku palma jedna.
Chociaż w piasku, zieloność je kryje nie biédna;
Jak szmaragdy się błyszczą stojące na straży
Przy dolinie piramid. Szczęśliwy, kto marzy
Pod liściem rozłożystém téj szerokiéj gruszy,
Gdy lawiną kamieni grobowiec się kruszy
I spada z wielkim hukiem.

Na białym kamieniu
Siadłem strudzony w drzewa szerokiego cieniu;
Myślałem, jak ten wąwóz cały piasków przebrnę?
Co czuć będę? i oto... jakieś mrówki śrebrne
Pod nogami ujrzałem grzebiące się w piasku.
Wziąłem do rąk stworzenie perłowego blasku
I bawiło mię małe, jak ziarenko żyta...
A domek ich, jak ślady końskiego kopyta,
Obłożony wałami w budowę półkolną,
Przejrzałem cały — potém puściłem je wolno
Obie do rozbitego sarkofagu żłobu,
I wstawszy szedłem prosto do Cheopsa grobu.
A kiedym był u piasków przebytych połowy,
Wzniosłem czoło — spojrzałem górą ponad głowy,
I nie mogłem oczyma dolecieć do szczytu
Grobów, co uleciały w krainę błękitu.
A więc oczy ogromem piramid odparte
Spuściłem... W koło były grobowce otwarte,
W których i proch umarłych dawno powymierał.
Sfinx czarną Kopta twarzą nad piasek wyzierał.
I straszna była dzikość grobowéj doliny.

Wtenczas wypadli słońcem wyschli Beduiny,
Brązowi, w białych płaszczach, jak grobowe sępy,
I porwały mię czarnych szatanów zastępy

I wiedli z krzykiem w groby od wieków milczące,
Paląc pochodnie — blado na słońcu płonące.

Nim doszedłem zaściennéj piramid ulicy,
Schyliwszy się podniosłem kamień soczewicy,
Która dawniéj karmiła królów robotniki
I stała się pomnikiem pomiędzy pomniki;
Ta-sama kształtem, tylko wosku wziąwszy białość,
Dziś — różniąca uczone głowy — skamieniałość!
Postrzegłszy, żem krainę głazów ruszał senną,
Jakby mi chcieli w piaskach zadać śmierć kamienną,
Araby mię w grobowcach otoczyli gęściéj,
A każdy trzymał granit ważony na pięści —
Od nowéj się napaści obroniłem skoro
Głaz pamiątek kupiwszy za para pięcioro.
I szedłem z Arabami w piramidy łonie
Szukając drzwi -- te były na zachodniéj stronie.
Przed drzwiami do niskiego podobną pagórka
Piramidę maleńką ma Cheopsa córka.
Stanąłem — tak pokornie tu się położyła
Przy mogile ojcowskiéj dziécięcia mogiła,
Że łzy miałem na oczach...

W piramidy ścianach
Jest otwór, gdzie do grobu wchodzisz na kolanach.
Arab z pochodnią wpełznął i zniknął. Musiałem
Synom stepów się oddać i z duszą i z ciałem.
Dwóch zaprzęgło się do mnie, dłonie wzięli w kleszcze,
Trzeci lazł rakiem świécąc, a czwarty mię jeszcze
Popychał — i w ciemnościach mnie gmachu pogrzebli
I śliskimi kominy, bez schodów i szczebli
Wiedli w górę, aż wreszcie mogłem podnieść głowy,
Obaczywszy się żywym w Komnacie Królowéj.
I daléj korytarzem trumnianego ula
Pełznąc, obaczyłem się w Sali trupa Króla.
Blask pochodni się lekko po ścianach rozpłonił.
Sarkofag próżny — ręką uderzyłem — dzwonił,
Jak rzecz pusta...

Wyszedłem z granitowéj skały
Jak senny, zadziwiony dniem, co świécił biały,
Palm zielonością, piasków oświéceniem złotém.
Westchnąłem z głębi piersi... za niczém... a potém
Obróciwszy się czarne zapytałem guidy,
Gdzie — którędy się idzie na szczyt piramidy?
Pokazali mi lewy brzeg nierówno zlany
Z ciemnéj i oświéconéj promieniami ściany.
Przemierzywszy, jak czynią podróżni roztropni,
Wielkość każdego — mnogość do przebycia stopni,
Wiedząc jak się grobowce pod nogami kruszą,
Arabom się oddałem ciałem, Bogu duszą.

Z dwóch Beduinów tylko mój orszak się składał,
Każdy na wyższy kamień wskakiwał, przysiadał
I podawał mi ręce... i tak szedłem długo.
Raz mi kamień był stołem, drugi raz framugą.
Trzy a zaledwie z dołu widziane szczelinki
Były jak trzy komnaty, na trzy odpoczynki.
W głowy zawrocie jużem niepomniał, gdzie idę,
I tak wszedłem na piérwszą w świecie piramidę.

Jak dwaj czarni z białemi skrzydłami anieli
Dwaj Arabi na rogach pomnika stanęli,
Ja na głazie najwyższym... Chciałem zebrać wzrokiem
Cztéry ściany spadzistym lecące potokiem
I nie mogłem ogarnąć — bo na to potrzeba
Być słońcem — i na królów groby patrzeć z nieba.
Arabi stali cicho — za nimi zwierciadłem
Był sklep błękitu — w niebo spojrzałem i siadłem,
Patrząc na różnych w koło napisów kobierce.
Cicho — zegarek słyszę idący — i serce...
Czas i życie. — Spojrzałem na błękit rozciągły,
Świat przybrał kształty Bogiem widziane — był krągły.
Z dala Kair... Nil... łąki... daktylowe laski...
Bliżéj — pustynia... złotem oświécone piaski...
Bliżéj — trzy drzewa, figa, pod nią cienia chłodnik,
A w nim stał mój osiołek i Arab przewodnik.

Patrząc na nich, myślałem o mrówce ze śrebra...
Bliżéj — dolina piasku, cała w równe żebra
Wichrem zmarszczona — i Sfinx, i grobowce białe —
Ziemia widoma... wszystko dojrzane, lecz małe...

Inny widok na prawo, inna była scena:
Naprzeciwko Cheopsa stał pomnik Cefrena,
Tak że orzeł po równéj krainie błękitu
Mógł płynąć od jednego do drugiego szczytu.
Dwie piramidy wąwóz tworzyły głęboki,
A zachodniego słońca czerwone potoki
Jakby falami ognia płynęły tamtędy,
Lejąc się przez grobowców utworzonych rzędy.

Ale większy był jeszcze widok z innéj strony:
Pustynia — i ogromny krąg słońca czerwony
Chylił się do zachodu...
I większy był jeszcze
Widok — w myślach — na wieki, lecące jak deszcze
Po granitowych ścianach; na pożarów łuny,
Na ogromnych wypadków bijące pioruny...
Kiedym to wszystko wstawił i w grobie pochował,
Zdało mi się, że Mojżesz krwią Nil zafarbował
I że płynął czerwony wypadków posoką;
A tak myśląc, po głazach obłąkane oko
Padło na jakiś napis — strumień myśli opadł,
Ktoś dwudziesty dziewiąty przypomniał Listopad,
Polskim językiem groby Egipcyanów znacząc...
Czytałem smutny — człowiek może pisał płacząc.

PIEŚŃ NA NILU.

Nie szumi liść, nie szumi gaj,
Jakie niebo, jaki kraj!
Z cegieł stoją wielkie góry,
A na cegłach leżą chmury.

I jam cierpiał i jam żył.
Jam w letejskich wodach pił,
Dziś w Nilowe fale mętne
Patrzą oczy moje smętne.

Patrzę smutny, patrzę w dół,
Czy kto moje serce struł.
Że śpi teraz jak łabędzie,
Że mu wszystko jedno wszędzie...

Łódko, łódko, daléj nieś!
Tu na brzegu stoi wieś,
Tu gołębi jakby śniegu,
Chmura ptaków, wieś na brzegu.

Daléj łódko od tych kras!
Tu palmowy stoi las
I gliniana chata w głębi
Z wiankiem ciernia i gołębi.

Arab.

O! nie zazdrość szczęścia im,
Patrz, nie idzie z chaty dym.
Nieszczęśliwy los lepianek,
Choć z gołębi mają wianek.

Może tam zarazy strup,
Może w chacie leży trup,
Dzieci płaczą przy tapczanie,
Trup nie słyszy i nie wstanie.

Trupa trzeba ziemi dać,
I gołębie będą spać,
Gdy wychodzi trup nędzarza.
Gdy powróci syn z cmentarza.

Poeta.

Jeśli tak, to łódko tam
Te błękitne fale łam.
Do téj chaty nieś mię, łodzi!
Wejdę tam, skąd trup wychodzi.

Arab.

Co zamyślasz? czy ty śnisz?
Gdy uczują ptaki krzyż,
Świty białe, wschodu róże,
Rozlecą się po lazurze.

Allach! wicher będzie wiał
I przyniesie czworo skał,
I położy grób na grobie
Na gołębiach i na tobie.

Poeta.

Jeśli tak, ha! jeśli tak,
Niechajże śpi wichr i ptak!
Ja nie spocznę w głębi chaty,
Lecz polecę jak skrzydlaty.

Jak od młodych moich lat,
Ja polecę lotem w świat.
Daléj łodzi!

Arab.

Nocleg tobie
W Ramazesa starym grobie.

Poeta.

Tam przynajmniéj jednę noc
Odzyskam sen, odzyskam moc,
I spać będę z cichą twarzą
Pod gołębi sennych strażą.

Czy daleko stąd ten grób,
Gdzie ja będę spał jak trup
Umęczony?

ARAB.

Niedaleko!
Za tą palmą, tam, nad rzeką;
Lecz go teraz kryje mgła.

Mówił tak, a łódka szła.

ROZMOWA Z PIRAMIDAMI.

Piramidy, czy wy macie
Takie trumny, sarkofagi,
Aby miecz położyć nagi,
Naszę zemstę w tym bułacie
Pogrześć i nabalsamować,
I na późne czasy schować?
— Wejdź z tym mieczem w nasze bramy,
Mamy takie trumny, mamy.

Piramidy, czy wy macie
Takie trumny, grobowniki,
Aby nasze męczenniki
W balsamowéj złożyć szacie,
Tak by każdy na dzień chwały
Wrócił w kraj choć trupem cały?
— Daj tu ludzi tych bez plamy,
Mamy takie trumny, mamy.

Piramidy, czy wy macie
Takie trumny i łzawice,
By łzy nasze i tęsknice
Po ojczystych pól utracie

Zlać tam razem i ostatek
Czary dolać łzami matek?
— Wejdź tu, pochyl blade lice,
Mamy na te łzy łzawice.

Piramidy, czy wy macie
Takie trumny zbawicielki,
Aby naród cały, wielki,
Tak na krzyżu, w majestacie
Wnieść, położyć, uśpić cały
I przechować — na dzień chwały?
— Złóż tu naród, nieś balsamy,
Mamy takie trumny, mamy.

Piramidy, czy zostanie
Jeszcze jaka trumna głucha,
By schowała mego ducha?
By jak naród zmartwychwstanie
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Z LISTU DO KSIĘGARZA

(Eustachego Januszkiewicza).

Jeszcze chodzą przed oczyma
Róże, palmy, wieże, gmachy,
Kair, Teby, Tyr, Solima,
Mój Eustachy.

Jeszcze głowa dyabła warta,
Jeszcze morskie czuję strachy,
Wycia hyjen, lwa, lamparta,
Mój Eustachy.

Jeszcze długo spocząć trzeba,
Nim przywyknę widzieć dachy
Zamiast płócien, palm i nieba,
Mój Eustachy.

Lecz ty wyrwiesz mnie z letargu,
Ty pomięszasz róż zapachy
Księgarskiego wonią targu,
Mój Eustachy.

Będę tobie wdzięcznym za to,
Przypomnisz mi kraj i Lachy
Zniechęceniem, troską, stratą,
Mój Eustachy.

Ty napiszesz mi, jak stoją
Poetycznéj muzy gachy,
I co piszą i co broją,
Mój Eustachy.

Dla nich rosły świeże laury
I szczękały druku blachy,
Gdym ja gonił Kofty, Maury,
Mój Eustachy.

Niech śpiewają więc „Te Deum“,
Żem rok zgubił, budząc Grachy
I Scypiony w Koliseum,
Mój Eustachy.

Lecz się wmięszam do antyfon,
Na egipskie klnę się ptachy,
Na kościoły, gdzie Bóg Tyfon,
Mój Eustachy.

Klnę się tobie i na Ator,
Co w Tentyrze ma swe gmachy.
Że się porwę, jak gladyator.
Mój Eustachy.

D. 9. lipca 1837. w kwarantannie Livorno.

DO ANIELI M.

I.

O tak, zaprawdę, że wybrałaś świetne
Oczy, ażeby je łzami zaprószyć!
O tak, zaprawdę, że chcąc serce skruszyć
Wybrałaś dzikie, smutne i szlachetne.

Lecz go łzy dotąd nie otruły setne,
Bo serce moje jest losu i Boga,
A wprzód, niż miałaby je zdeptać noga,
Prędzéj je zimném żelazem rozetnę.

I próżno powiész, bo nikt nie uwierzy,
Abym twój nosił znak u lewéj strony:
Bo moje serce jest w płaszczu rycerzy,
Którzy na bieli mają krzyż czerwony;
A nad niém jeszcze jest pancerz stalony,
A ono jeszcze głębiéj — w trumnie leży.

Październik 1838. Florencya.

DO TEJŻE.

II.

Ogniem, żałością wre zamknięte łono;
A kiedy zacznę się na serce dąsać,
Chciałbym je wyrwać z mych piersi i skąsać
I precz odrzucić tę rzecz tak zhańbioną

Twoją miłością, że ognie, co płoną,
Dotąd nie mogły go uczynić czystém!
A ty myślałaś, że ja z tém ognistém
Sercem — nazwę cię kochanką i żoną?

O! piérwéj piekło, niżby czoło dumne
Na twojém zimném sercu kiedy spało!
A niż całować twe usta rozumne,
I twoje białe, marmurowe ciało
Owionąć ogniem i żyć z taką skałą,
Jaka ty jesteś, zimna, — lepiéj w trumnę!

NA SPROWADZENIE ZWŁOK NAPOLEONA.

I wydarto go z ziemi — popiołem,
I wydarto go wierzbie płaczącéj,
Gdzie sam leżał — ze sławy aniołem,
Gdzie był sam — nie w purpurze błyszczącéj,
Ale płaszczem żołnierskim spowity,
A na mieczu, jak na krzyżu, rozbity.

Powiédz, jakim znalazłeś go w grobie,
Królewiczu, dowódco korabli? —
Czy rąk dwoje miał krzyżem na sobie,
Czy z rąk jednę miał przez sen na szabli?
A gdyś kamień z mogiły podźwignął,
Czy trup zadrżał? — powiédz — czy się wzdrygnął?

Bo on wiedział, że przyjdzie godzina,
Co mu kamień grobowy rozkruszy;
Ale myślał, że ręka go syna
W tym grobowcu podźwignie i ruszy,
I łańcuchy zeń zrzuci zabójcze
I na ojca trup — zawoła: Ojcze!

Ale przyszli go z grobu wyciągać —
Obce twarze zajrzały do lochu —
I zaczęli prochowi urągać,
I zaczęli nań wołać: „Wstań prochu!“
Potém wzięli tę resztkę zgnilizny
I spytali: „Czy chcesz do ojczyzny?“—

Szumcie, szumcie więc, morza lazury,
Gdy wam dadzą nieść trumnę olbrzyma!
Piramidy! wstępujcie na góry
I patrzajcie nań wieków oczyma!
Ta na morzu mew girlanda szara
Jestto flota z popioły Cezara.

. . . . patrzą szatany występne,
. . patrzy blady z poza lodów:
Orły siedzą na trumnie posępne,
I ze skrzydeł krew sączą narodów —
Orły niegdyś skrzydlate i dumne
Już nie patrzą na słońce, lecz w trumnę.

Prochu! prochu! o leż ty spokojny,
Gdy zagrają trąby śród odmętu,
Bo nie będzie to hasło do wojny,
Ale hasło pogrzebne lamentu:
Raz ostatni hetmanisz ty roty!
Duch zwycięży — lecz zwycięstwem Golgoty.

Ale nigdy, o nigdy, choć w ręku
Miałeś berło, świat i szablę nagą,
Nigdy, nigdy nie szedłeś śród jęku
Z taką straszną królewską powagą,
Z takiém straszném na przyszłość obliczem,
Jak dziś, prochu, gdy wracasz tu — niczém.

W czerwcu 1840.

POGRZEB KAPITANA M.

Braliśmy biédną trumnę ze szpitalu,
Do żebrackiego mieli rzucić dołu;
Ani łzy jednéj, pamiątki i żalu,
Ani westchnienia nad garstką popiołu!
Wczoraj — był pełny młodości i siły!
Jutro — nie będzie nawet i mogiły! —

Gdyby przynajmniéj przy rycerskiéj śpiewce
Karabin jemu pod głowę żołnierski —
Tensam karabin, w którym na panewce
Kurzy się jeszcze wystrzał belwederski!
Gdyby miecz w sercu, lub zabójcza kula! —
Lecz nie! — szpitalne łoże i koszula!

Czy on pomyślał — śród nocnych błękitów,
Gdy Polska z grobu powstająca jękła,
Gdy leżał smętny w trumnie Karmelitów,
A trumna w chwili zmartwychwstalnéj pękła,
Gdy swój karabin przyciskał do łona,
Czy on pomyślał wtenczas, że tak skona?!

Dziś przyszedł do nas szpitalu odźwierny,
I przyszły wiedźmy, które trupów strzegą,
I otworzyły nam dom miłosierny,
I rzekły: „Brata poznajcie waszego! —
Czy tensam, który z wami się po świecie
Kołatał wczora? — czy go poznajecie?“

I płachtę z głowy mu szpitalną zdjęto
Nożem pośmiertnych rzeźników czerwoną;
Źrenicę trzymał na blask odemkniętą,
Ale od braci miał twarz odwróconą;
Więceśmy rzekli wiedźmom, by zawarły
Trumnę, bo to jest nasz brat ten umarły.

I przeraziła nas wszystkich ta nędza,
A jeden z młodszych spytał: „Gdzież go złożą?“
Odpowiedziała mu szpitalna jędza:
„W święconéj ziemi, gdzie przez miłość Bożą
Kładziemy poczet nasz umarłych tłumny
W jeden ogromny dół, na trumnach trumny.“

Więc ów młodzieniec męki czując szczére
Wydobył złoty jeden pieniądz drobny,
I rzekł: „Zaśpiewać nad nim „miserere“!
Niechaj ogródek ma i krzyż osobny...“
Umilkł, a myśmy pochylili głowy,
Łzy i grosz sypiąc na talérz cynowy.

Niech ma ogródek — i niech się przed Panem
Pochwali tém, co krzyż na grobie gada:
Że był w dziewiątym pułku kapitanem,
Że go słuchała rycerzy gromada,
A dziś ojczyźnie jest niczém niedłużny,
Chociaż osobny ma kurhan — z jałmużny.

Ale Ty, Panie, który z wysokości
Patrzysz, jak giną ojczyzny obrońce,
Prosimy Ciebie przez tę garstkę kości,
Zapal przynajmniéj na śmierć naszę słońce!
Niechaj dzień wyjdzie z jasnéj niebios bramy,
Niechaj nas, Panie, widzą, gdy konamy!

DO MATKI.

Zadrży ci nieraz serce, miła matko moja,
Widząc powracających i ułaskawionych:
Kląć będziesz, że tak twarda była na mnie zbroja,
I tak wielkie wytrwanie w zamiarach szalonych.

Wiém, że wróceniem mojém lat-bym ci przysporzył;
Wszakże gdy się spytają, czy twój syn powraca,
Mów: syn twój na sztandarach jak pies się położył,
I choć wołasz, nie idzie; oczy tylko zwraca,

Oczy zwraca ku tobie... więcéj nic nie może,
Tylko spojrzeniem tobie smutek swój tłómaczy;
Lecz woli tutaj konać, niż iść na obrożę,
Bo woli zamiast hańby... pić czarę rozpaczy!

Przebaczże mu, o moja ty piastunko droga,
Że się tak zaprzepaścił i tak zaczeluścił;
Przebacz... bo gdyby nie to, że opuścić Boga
Musiałby — toby ciebie pewno nie opuścił.

DO LUDWIKI BOBRÓWNY.

Gdy na Ojczyznę spojrzą oczy Lolki,
Karmione złotem i tęczową czczością,
Niechajże spojrzą tak, jak oczy Polki,
Spokojnie — ale z ogniem i miłością.

Kiedy je patrzeć na smutek przymuszą,
I na lud, który gdzieś w łańcuchach pędzą,
Niechaj te oczy łzami się zaprószą —
Lecz niech się nigdy nie zamkną przed nędzą.

Kiedy z tych oczu łez opadnie rosa,
A ludzie będą chciwie w nie patrzali,
Niech oczy całe pokażą niebiosa
Aż do błękitu dusz i jeszcze daléj.

A kiedy przyjdą porwać naród z trumny
I rzucić w ogień tych, co skry się boją,
Niech w oczach będą takie dwie kolumny,
Jak ognie, które na wulkanie stoją.

Wtenczas ja powiém srodze rozkochany,
I nawet w rymy to zamknę królewskie:
Że choć widziałem w oczach cztéry zmiany,
Prawdziwie Lolka ma oczy niebieskie.

DO PASTERECZKI,

SIEDZĄCÉJ NA DRUIDÓW KAMIENIACH W PORNIC NAD OCEANEM.

Jak ty mi jesteś wdzięczna,
Duszeczko moja mała,
Słoneczna i miesięczna,
Prawie bez krwi i ciała.
Gdyś wysoko siadała
Z główką w zorzy pierścieniach,
Na Druidów kamieniach,
Śród jałowcowych krzaków:
Ćwieki twoich chodaków
Błyskały mi na lice
Jako dwa półksiężyce
Czerwoną zorzą ranną;
Ty byłaś mi zarazem
Chłopeczką i Dyanną,
Zjawieniem i obrazem,
Kochanką i dziécięciem —
Smutkiem i wniebowzięciem...

Włoski twoje jak zboże
Złote i przezroczyste
Wiatr unosił na morze,
A we włoskach ogniste
Ranunkuły z doliny,
Jak maki Ukrainy,
Zdawały się ogniami,
Które tobie do lica
Przypięła upiorzyca
Śpiąca w grobie — pod nami...

Za tobą — szafir mórz
Dzielił kibić na dwoje:
Nad głową — jak zawoje
Jutrzenki pełne róż,
I chwasty w dyamentach
Około ciebie skrzyły,
A ty na monumentach —
Stróżka i duch mogiły,
Z niewinnością na licach,
Z nóżkami na księżycach...

W PAMIĘTNIKU ZOFII ***

Niechaj mię Zośka o wiersze nie prosi.
Bo kiedy Zośka do ojczyzny wróci,
To każdy kwiatek powie wiersze Zosi,
Każda jéj gwiazdka piosenkę zanuci.
Nim kwiat przekwitnie, nim gwiazdeczka zleci,
Słuchaj — bo to są najlepsi poeci.

Gwiazdy błękitne, kwiateczki czerwone
Będą ci całe poemata składać.
Jabym to-samo powiedział, co one,
Bo ja się od nich nauczyłem gadać;
Bo tam, gdzie Ikwy srebrne fale płyną,
Byłem ja niegdyś, jak Zośka, dzieciną.

Dzisiaj daleko pojechałem w gości
I daléj mię los nieszczęśliwy goni.
Przywieź mi Zośko od tych gwiazd światłości,
Przywieź mi Zośko z tamtych kwiatów woni,
Bo mi zaprawdę odmłodnieć potrzeba.
Wróć mi więc z kraju taką — jakby z nieba.

13 marca 1844. Paryż.

WSPOMNIENIE PANI de St. MARCEL Z DOMU CHAUVEAUX.

Staruszko moja, o staruszko moja!
Twoje mieszkanie, takie wonne tobą,
Na murach jego jak z obrazów zbroje,
A każdy obraz był jakąś osobą!
Dziś raz ostatni widząc pożegnałem
Wszedłszy do domu — bym poszedł za ciałem.

Dawno bez męża i bez towarzysza,
Który niedawno ciebie odszedł stary,
Przycichłaś w domu: dziś tasama cisza
W domu, a w bramie stoją twoje mary.
Gdym wszedł, myślałem: twa szata szeleszcze,
Ogień się palił, zegary szły jeszcze.

Lecz jakaś ciemność, dziwne jakieś mroki
Nad twym kominem, nad twoją kotarą,
Jakby te duże śmiertelne obłoki,
Które zmieniają dzień w godzinę szarą,
A człowiekowi bronią słów i ruchów,
Bo są z poważnych i ze smętnych duchów.

Lat dziewięćdziesiąt ciałoś ty nosiła:
Przez krew — szły twoje panieńskie nóżeczki,
Przez smutek — starość szła twoja pochyła,
A w trumnie leżą już tylko kosteczki.
Wszystkoś wybrała ze skarbów żywota:
Czemuż po tobie ta wielka tęsknota?

Może dla tego, że gdym twoje ściany
Odwiédzał, dawno światem niezabawne,

To spotykały mnie republikany,
I wielkich imion dawne duchy sławne,
I wszystkie stały z odkrytemi głowy
Słuchając we mnie grzmiącéj polskiéj mowy.

Gdym nieraz siedział przy twoim kominie,
A ty myślałaś, że ja sobie drzymię,
Jam na mownicy stał w tych duchów gminie
I brałem sobie między nimi imię —
Od głów zaczynał, aż do serc im sięgał
I znów na wielką'm ich sprawę sprzysięgał.

A ty jak trupek w krześle pod zamętem
Cicha, podobna do Park, życia matek,
Byłaś jakby tych sejmów prezydentem: —
Dzisiaj próchenko ciała i opłatek,
Bo miejsca duch lat dziewięćdziesiąt bronił,
A nie ustąpił — aż Pan Bóg zadzwonił.

Dla tegom ja cię czuł pod suchą kością
Dobrą, choć ludzie o złość oskarzali;
Tyś sławne imię nosiła ze złością,
A ja sam takie noszę, co mnie pali,
Gdym jest wielkiemi burzami natchnięty,
A w burzach nawet czuję się, żem święty.

Wszystko to w głębi twojego pokoja
Czułem dziś patrząc na złoconą ścianę.
Żegnajże cicha staruszeczko moja,
A pamiętaj mi na sejmy zerwane
I poszlij zgrają twoich duchów tłumną
Mnie, który szedłem dziś jeden za trumną.

14 stycznia 1846.

TESTAMENT MÓJ.

Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami;
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny:
Dziś was rzucam i daléj idę w cień — z duchami —
A jak gdyby tu szczęście było — idę smętny.

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica,
Ani dla mojéj lutni, ani dla imienia:
Imię moje tak przeszło, jako błyskawica,
I będzie jak dźwięk pusty trwać przez pokolenia.

Lecz wy, coście mnie znali, w podaniach przekażcie,
Żem dla ojczyzny stérał moje lata młode;
A póki okręt walczył, siedziałem na maszcie,
A gdy tonął, z okrętem poszedłem pod wodę...

Ale kiedyś — o smętnych losach zadumany
Mojéj biédnéj ojczyzny — przyzna, kto szlachetny,
Że płaszcz na moim duchu był nie wyżebrany,
Lecz świetnościami dawnych moich przodków świetny.

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
I biédne serce moje spalą w aloesie,
I téj, która mi dała to serce, oddadzą —
Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie...

Niech przyjaciele moi siędą przy puharze
I zapiją mój pogrzeb — oraz własną biédę:
Jeżeli będę duchem, to się im pokażę,
Jeśli Bóg nie uwolni od męki, nie przyjdę...

Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec;
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie, przez Boga rzucane na szaniec!..

Co do mnie — ja zostawiam maleńką tu drużbę
Tych, co mogli pokochać serce moje dumne;
Znać, że srogą spełniłem, twardą Bożą służbę
I zgodziłem się tu mieć — niepłakaną trumnę.

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Iść?.. taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiem duchami napełnionéj łodzi,
I tak cicho odlecieć, jak duch, gdy odlata?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi żywemu na nic... tylko czoło zdobi;
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba — w aniołów przerobi.

POEZYE LIRYCZNE
I ULOTNE.

CZĘŚĆ DRUGA.

Uwaga. W téj części drugiej zebrane zostały prawie same rzeczy mające pośredni lub bezpośredni związek ze znaną doktryną Towianizmu, do któréj i nasz poeta w ostatniéj epoce życia pod pewnym względem należał. Poezye te znalazły się między pozostałymi papiérami rozprószone, na luźnych kartach, zwykle nie opatrzone żadnym napisem, i bez oznaczenia miejsca i czasu, kiedy powstały.

I.

Radujcie się! Pan wielki narodów nadchodzi!
Radujcie się, bo prawdy wybiła godzina,
Strach się już Boży rodzi,
Strachem Pan jako mieczem ognistym pościna.

Któż wytrwa, gdy go ognie niebieskie pochwycą?
Któż miecz podniesie, drżący jak listek osiny
Przed Pańską błyskawicą,
W strachu przyjścia Pańskiego i wielkiéj godziny?

Na obłokach się zjawią postaci człowieka,
Święci ogniści staną w chmurzycach za Panem,
Szatan na blask zaszczeka,
Trzody na polach drżące przypadną kolanem.

Pastuszkowie otworzą usta, światłością zdziwieni,
Widząc jasne obłoki i Pana w obłokach;
Świat się cały spłomieni,
Ujrzy swe archanioły na ogniach i smokach.

Chwała Panu, że z ciałem się zjawił rzetelny,
Że dotrzymał — a przyszedł ratować niewinne
Chrystus, Pan nieśmiertelny,
Nasz Pan, który nagrodził swym świętym uczynne.

Podnieście teraz czoła, od wieków trapieni,
A więcéj się nie bójcie żadnego ucisku;
Pan ciała wam przemieni
I miasto swoje złote postawi na błysku.

Pan nasz zamieszka z nami i nigdy już więcéj
Nie zostawi na ziemi, jak teraz, sieroty
Król tysiąca tysięcy
Na stolicy słonecznéj ognisty i złoty!

Król nasz umiłowany — baranek łagodny,
Sędzia nasz sprawiedliwy, ciał naszych przemieńca,
Syn Boży pierworodny
Wołający swe święte do chwały i wieńca...

II.

Los mnie już żaden nie może zatrwożyć,
Jasną do końca mam wybitą drogę,
Ta droga moja: żyć, cierpieć i tworzyć —
To wszystko czynię, a więcéj nie mogę.

Dawniéj miłością różane godziny
I w zorzach jeszcze jaśniejsze pochodnie:
Dzisiaj, przy schyłku dnia, ważniejsze czyny,
Wielkie i smętne, jak słońce zachodnie.

Na nich się zegar życia zastanowi
I puści ducha skowronka w otchłanie;
Pomóż-że Boże temu skowronkowi,
Niech wesół leci, niech wysoko stanie!

III.

PROROCTWO.

Kiedy róża stanie złączona z kamieniem,
A nad nimi się dąb zakołysze:
Cała emigracya zagore płomieniem,
I o pasport do Boga napisze.

I wstanie jako człowiek i mocarze zatrwoży,
I wywróci oddechem bezbożne;
Sam Pan Bóg wyda pasport, Chrystus słońce położy,
A duch piorunem nam da podorożne.

I szable się zapalą, zasłonecznią się znaki,
Serca wszystkie jak lampy zagorą,
Jak miesiące zabłysną nasze biédne chodaki,
Jak w pioruny nas łachmany ubiorą.

I polecą zwiastować w Polsce niebieskie ptaki,
Że idziemy jak chłopki z kijami:
A żelaźni rycerze i brązowe rumaki
Nim zobaczą, już pierzchną przed nami.

Prędzéjże wielki Boże twém ognistém ramieniem
Łam, a przemoż cielesne opory!
Niechaj róża zakwitnie połączona z kamieniem,
Niech dąb Bogiem zabłyśnie z pod kory!

Bo nie prędzéj to będzie, aż się to wszystko stanie,
Co w poety ogniło się słowie,
Aż z duchów będzie chmura, a w téj chmurze błyskanie,
A w błyskaniu, jak Chrystus, wodzowie.

IV.

WIERZĘ.

Wierzę w Boga Ojca Wszechmocnego.
Ojca naszego,
Przez któregom jest duch rodzony,
Twórczością i wolą udarowany,
Abym się objawił światłością.

Wierzę w Chrystusa Pana,
Słowo świata całego,
Który wszelką sprawę czyni,
Żywot ku Ojcu prowadzi,
A urodził się z dziewicy
Przez natchnienie Ducha świętego
Za ścmieniem się ludzkiéj natury.
I rozpięty był na krzyżu;
Trzy dni przetrwał w łonie ziemi,
A po trzech dniach zmartwychwstał,
I niesion jest z ciałem w obłoki,
Skąd przyjdzie rządzić Królestwo Boże.

Wierzę w Ducha świętego,
Trzecią Świętéj Trójcy osobę,
Nieśmiertelną i wszechmocną,
Z Ojca i Syna urodzoną,
Równą Ojcu i Synowi,
Przez którą'm jest napełnion świętością.

Wierzę w Święty Kościół Powszechny,
I w Najwyższego Ducha pastérstwo;
Wierzę w Świętych Duchów związek,
Widzialnych i niewidzialnych —

Wierzę w świata przemienienie,
W ostateczne zmartwychwstanie
Ciała wszelkiego na ziemi.
W Królestwo Boże widzialne,
Przychodzące z promieniem
Natury naszéj cielesnéj,
Z przełamaniem grzechu wszelkiego —
Wierzę i w żywot wieczny. — Amen.

V.

Chór.

Góry się ozłociły — szafiry mórz ciemnieją.

Głos.

Elijasz! Elijasz!

Chór.

Fale wstały od ziemi — wiatr — i koguty pieją.

Głos.

Izrael! Izrael!

Chór.

Miesiąc jak ogień stoi na czerwonym oceanie.

Głos.

Izaak! Izaak!

Chór.

Korab na dalekościach wre w rozognionéj pianie.

Głos.

Samuelu!

Chór.

Korab, wieloryb świata, z ogniami w okienicach...

Głos.

Święty Janie!

Chór.

Ku niemu płyną zdala obłoki, całe w świécach...

Głos.

Święty Pietrze!

Chór.

Uciszyło się morze i ziemia i powietrze —

Głos.

Chwała Trójcy!

Chór.

Złamana jest moc węża, dusz niewinnych zabójcy!

Głos.

Złamana! złamana!

Chór.

W Imię przedwieczne Ojca! W Imię Chrystusa Pana!

Głos.

W Imię Ducha!

Chór.

Pokój na ziemi, wodach i na powietrzu!

Głos.

Chwała
Duchom na ziemi!

Takie słyszano głosy nad morzami,
Gdy Anioł z trzema na czole gwiazdami
Leciał nad złote ogniska pastusze
I budził w ludziach barankowe dusze.
Na trzech pasterzy upadły promienie,
Obmyły ducha duszę — pod imieniem
Jeden był, który ugaszczał natchnienie;
Drugi, który był kwiateczków siemieniem;

Trzeci zaleśne echa wywoływał:
Te zbudził Anioł duchy — ponazywał,
Pomiędzy ludźmi pastuszymi wsławił,
Dał ducha, wieńce, i w drogę wyprawił.
Idźcie! — rzekł — pierwsi wy trzej pastuszkowie,
Aż wam przejasna zastąpi dziewica;
Ta złote słońce Pańskie ma na głowie,
A pod nogami obrączkę księżyca.
Raz na obłokach promiennych widziana
Przez sługę Chrysta — przez świętego Jana,
Przyszłego świata święta monarchini,
Teraz ukryta z dzieckiem na pustyni,
Piękna jak zorza... Długie jéj warkocze
Ciemne ku światłu w złoto się mieniły,
W oczach szafiru światła i przezrocze,
W głosie anielskie nieskończone siły;
Porywać serca ludzkie umiejąca,
A moc miłosnych dreszczów miała w dłoni,
Gdyś odszedł od niéj, a pomyślał o niéj.
Próżno smok, który owładnął narody,
Wypuści na nią rzekę krwawéj wody!
Próżno ostatni ślad jéj ziemski zetrze!
Ona ucieknie z dzieckiem na powietrze
I tam karmiona, aż mróz minie ostry,
W błękitnych światach przez jaskółki siostry,
Dziecinę swoję pośród słońc wychowa,
Prześwięta ludom Matka — Pani Słowa!

VI.

DO AUTORA SKARG JEREMIEGO.

Ojczyzna, twoja święta kochanka,
Chodzi po łąkach, Pani słoneczna;
Ty idziesz za nią, jak duch baranka,
I wołasz: Wieczna!

Jeżeli drogę tęczami znacząc
Wyżéj poleci i tonie w mgłę,
To ty, baranek, stajesz i płacząc
Wołasz: We! we!

Jeżeli z kwieciem ona swawoli,
I dłoń litosną o cierń rozporze,
To ty jak dziécię wiész, co ją boli,
I wołasz: Boże!

Gdy owies polski jak srebro brzęczy,
Grusza szeleści i szumi kłos,
Słyszy Maryja pod bramą z tęczy
Baranka głos.

Słyszy i mówi: Głośniéj niż Święci,
Głośniéj niż luteń anielskich strój,
Woła mnie z Polski od sianożęci
Baranek mój.

Trawki nie skubie, kwiatków nie zrzyna,
Lecz oczy podniósł w słoneczną mgłę,
I wciąż się skarzy jako dziecina:
We! we! — we! we!

Przezeń więc światu moja przytomność
Rozbudza czucie, porusza czynność,
Bo w ustach jego baranka skromność,
W głosie niewinność.

Paryż, w listopadzie 1847 r.

VII.

DO LUDWIKA ~~NABIELAKA~~ Norwida.

Wracają dla nas piękne Chrystusowe
Gwiazdy, a razem korony cierniowe;
Więc że to ciebie, Ludwiku, zasmuca,
Że tam ktoś czapki przed tobą nie zrzuca,
A jać powiadam: niechaj cię to cieszy,
Żeś wyszedł z ludzi pospolitych rzeszy,
Gdzie dobry złego rad nazywa panem
I czci ukłonów fałszywym liczmanem.
Źli ludzie, pełni zabójczego szału,
Złości i żółci, uznali konieczność
Postawić zimną między sobą sprzeczność,
Jakoby ścianę z grubego kryształu:
A tak się widzą i czczą dla zabawki,
Jak napełnione woniami karafki,
Które na drogę kupcy zaszpuntują:
Bo tylko widzą, ale się nie czują.
Gdzie ręka ukłon przez wiatry posyła,
Jeszcze tam z dłoni w dłoń nie przejdzie siła.
Lepiéjże bracie, żeś uderzył śmiało,
A w gwiazdę się szkło rozbiło, spękało,
Bo teraz zawsze powié ci sumienie,
Które miłością będzie pozdrowienie,
A złe zobaczysz twarze niezakryte
Tych, którzy cię klną za zwierciadło zbite,
Które je dzieli, ale nie zasłania —
Stąd idą zimne bez łez pożegnania,
Śluby bez ducha — bez serca przyjaźnie,
Odwaga na świat wyjść poważny — w błaźnie,
Ta sama w podłym i w szpiegu odwaga;
Bo kto nie daje nic — mało wymaga.

VIII.

DO LUDWIKA NABIELAKA
W BRATERSTWIE IDEI ŚWIĘTÉJ.

I.

Bracie Ludwiku, módl się gorąco,
A podnieś ducha wysoko;
Na trzeźwe myśli, na czyste oko
Witajmy prawdę świécącą:
Podwoje wiedzy już otworzyła,
Z miesięcznéj wyszła topieli,
Już jest na ziemi, już się zjawiła,
Myśmy ją pierwsi ujrzeli!

Świat nam duchowy stanął otworem,
Widzim skąd moce te biegą,
Które tu snem są albo upiorem,
Lub ogniem Ducha Świętego.
Widzim, i cali drżym przerażeni,
Gdy nam widzenie ukaże
Powietrze puste, pełne płomieni,
W szkłach wichru lecące twarze.

A cóż, gdy duchy, które przed Panem
Są prawie niczém i ciszą,
Tu nam wybuchną z pod gór wulkanem,
Albo miastami kołyszą,
Cóż, gdy te burze, któremi szklanna
Otchłań się morza porusza,
My widzim w duchu — krzyczmy Hosanna!
Hosanna! żyje już dusza!

II.

Nad wszystkie światа wzleciał szatany
Ocknięty, ze łzą u powiek,
Jeden w Ojczyźnie rozmiłowany,
Cierpiący nędzarz i człowiek.
I trwa na skrzydłach swoich cierpliwie,
Słysząc sąd o globach nocnych,
Które karane są sprawiedliwie,
Bo są dziełem nas — duchów wszechmocnych.

III.

Nieśmiertelność i Wszechmocność —
Oto dwa nowe żywioły!
Dotąd cielesnych czynów bezowocność
Wyżarła ducha stodoły,
Świat był bez plonu— lecz teraz manna
Nową przywraca mu dzielność:
Wszechmocność i Nieśmiertelność!
Hosanna Panu! Hosanna!
Przez nie świat uwiązany do girlandy globów,
Które czas zachwyceniem miłości pożarły;
Przez nie słońca nie umarły,
Przez nie już nie będzie grobów,
Ciało nie uzna skażenia,
Bo już je duch na wiecznotrwanie rozpromienia.

IV.

A ty rozrzuć twoję glinę,
Nieszczęsna formo człowieka!
Już zamieniasz się w ruinę...
Próżno cię piękności twoje,
Jak pasożytne powoje,
Próżno cię mgła cudowną szatą przyobleka;
Próżno cię ręka przychylna
Stroi — stoisz ty żałobna,
Niedołężna, zamogilna —
A choćbyś była podobna

Jowiszowi z brwią zmarszczoną,
Mgłami idejskiemi srebrna,
Nakryta gromów koroną —
Próżno! jużeś niepotrzebna —
Już do piękności zjawionych
Nie wejdziesz na eter lżejszy,
Bo najmniejszy z odrodzonych
Świętszy, niż ty — i piękniejszy!

V.

Lecz w jakimże biednym żłobie
Położym, o mój Ludwiku,
To dzieciąteczko na grobie,
Na Ojczyzny mogilniku
Zrodzone? Czy go nam ptacy
Wykarmią? Czy jeszcze łzy nasze?
Ileż wieków, ile pracy
I starań Bóg nam poruczy?
Kto je tęczami opasze?
Wyniańczy — chodzić nauczy?
Kto poda mądrości czaszę?
Kto mu będzie pierwszym sługą,
Ojcem — kto otworzy ręce?
Jak długo jeszcze, jak długo
Popędy świata zwierzęce
Zepchną glob na dawne tory,
Iść nie pozwolą za blaskiem?
Jak długo krwią okryte na świecie aktory
Będą witane oklaskiem!

VI.

Do pracy! a więc do pracy!
Wy co mi jesteście bracią,
Duchy słoneczne, Polacy!
Najwyższą was inkantacyą,
Najwyższą — własnym aniołem —
Na nieśmiertelność zaklątem.

Oto miesiąc wschodzi blady
Nad Polską — cały już nowy,
Jak dawna lampa Hellady,
Jak obraz Rafaelowy
Piękny i srebrnego łona —
W nim piękność stoi wsławiona,
Kolor wzięty — ton zdobyty.
Teraz co? Daléj w błękity
Pracować na całą wieczność...
Otwarta dla duchów droga —
Skrzydła mamy — daléj w Boga!
Po dar ostatni — Słoneczność.

VII.

Bo patrzcie! tak jak orlice,
Patrzcie na dolinę z góry:
Oto są dzieciątek chmury,
Oto są globu dziedzice.
Każdy za bańką formy, która oczy mami,
Ozwierciadlona form wizerunkami,
Leci z pradziadem i dziatwą,
Głupi i śmieszny na poły...
O jak łatwo! o jak łatwo
Wam, co jesteście anioły,
Zarządzić tą gromadą, ich ruchem, pośpiechem,
Zdjąć im ich ciężar ze skroni!..
Miecza na to nie potrzeba,
Ani piekła, ani nieba;
Miłością dosyć — uśmiechem. —
Patrzcie tylko, jacy oni!
Patrzcie tylko, co je bawi!
Patrzcie, jacy są ciekawi!
Jak patrzą w każdą foremkę,
W każdą jamę oczy włożą,
Każdy proszek biorą w rękę,
Ważą — próbują, czy stworzą;
Cieszą się że piorun pali,
Że gwiazda na czas przychodzi,

Patrzcie — starzy już i młodzi
Krzyczą, że wszystko poznali!
Wyschły im wiedzy strumienie...
O anioły! o anioły!
Czyńcie sobie z nich wesoły
Śmiéch — i pozwólcie czoła stroić w zamyślenie.

VIII.

Lecz wy! wam wszystko nowe rozkwita,
Jaśni się forma na świecie,
Świat szuka, a wy już wiecie.
Wam . . . . . .
. . . . . .
Wam się już listek różany
Tłómaczył z nauki słowa.
Wam już oto noc majowa,
Przez owadów święte Jany
Muszeczki swe jakieś złote,
Apokalipsy śpiewała.
We wszystkiém już myśli chwała,
Zasługa świéci lub wina,
Grzéch widać ducha lub cnotę.
Wam, oto, stoi cytryna
Na strzałki słoneczne, złote,
Jak rycerz przed prochu przyjściem,
Odstrzelająca się liściem,
Kiedy ją Febus obarcza...
A kolor — a światło — a tarcza?
Na to woli błyskawica,
Na to wam myśli kuźnica,
Wulkan duch w globie wystarcza.
A wy w nieśmiertelne końce
Idźcie, a duch je wam kréśli...
Czy kształt? to go macie w myśli,
Czy światło — to w duchu — już słońce.

IX.

Do Boga ręce podnieśmy,
Język rozwięzujmy niemy.

Synowie Boży jesteśmy!
Czém jutro, jeszcze nie wiemy...
Każdy silny, o pół kroka
Ku Bogu świat pchnąć dzisiejszy,
A jutro jeszcze silniejszy! —
Każdy jak przepaść głęboka
Zamiarów pełna gorących,
Przepaści i uwidomień...
O Boże, któż zerwie płomień
Na hełmie pierwo-idących?
Kto tarcze postawi rzędem?
Kto drogę założy dzidą?
Kto strąci? — Duchy w nas idą
Z nieśmiertelności rozpędem.
Dla tego żeśmy Jehowę
Przywołali na ołtarze,
Oto się już potęgi duchów piorunowe
Przy naszym kręcą sztandarze;
A gdy go wiatr odwinie, to tak jako wczora
Ludzi, którzy grobów strzegą,
Przeraził twarzą Boga żywego –
Przestrachem — Boga-upiora.

X.

Ale kto bracia pogardzi słowem,
Siłą u słowa czerpaną,
Komu dziś w ciele błysnąć nie dano,
Kto wierzga dawnym narowem,
Kto dziś nie wstąpi w święte ognisko,
Jeno przez oczy ciekawe:
Taki dziś bracia pójdzie na sławę,
Jutro na urągowisko;
I to mieć będzie, że gdy my wstajem
Zrzucić głaz, co ducha obarczał,
On siedział, głupi, kłamstwa lokajem
I widział prawdę — i warczał.

Dnia 8 lutego 1848.

IX.

USPOKOJENIE.

Co nam zdrady! — Jest u nas kolumna w Warszawie,
Na której usiadają podróżne żórawie,
Spotkawszy jéj liściane czoło śród obłoka;
Taka, zda się, odludna i taka wysoka!
Za tą kolumną we mgły tęczowe ubrana
Stoi trójca świécących wież świętego Jana;
Daléj ciemna ulica, a z niéj jakieś szare
Wygląda w perspektywie sinéj Miasto stare;
A daléj jeszcze we mgle, która tam się mroczy,
Szkła okien — jak zielone Kilińskiego oczy,
Czasami uderzone płomieniem latarni,
Niby oczy cichego upiora z pod darni.

Więc lada dzień, a nędza sprężyny dociśnie:
To naprzód tam na rynku para oczu błyśnie
I spojrzy w Świętojańską na przestrzał ulicę;
A potém się poruszą wszystkie kamienice,
A za kamienicami, przez niebios otchłanie
Przyjdzie zorza północna i nad miastem stanie;
A za zorzą wiatr dziwne miotający blaski
Porwie te wszystkie zemsty i te wszystkie wrzaski;
Wicher jakiś z aniołów urobiony Pańskich,
Oderwany, jak skrzydło z widzeń Świętojańskich,
Przezroczysty jak brylant, a jak ogień złoty,
Który chwyci te zemsty, te światła, te grzmoty,
Zwinie i niemi ciemną uliczkę zalęże,
Jako brąz w niéj zakipi, zaświszcze jak węże
I naprze tak, że będzie trzęsąca się cała
Jako wół sycylijski na miasto ryczała.

Usłyszycie wy wtenczas, serc naszych złodzieje,
Jaki wiatr z téj ulicy na miasto powieje;
Przez harmonikę tonów swój krzyk przeprowadzi,
O kościół katedralny skrzydłami zawadzi,
Porwie królewski zamek, otworzy jak trumnę,
A potém na Zygmunta uderzy kolumnę
I z marmuru wyciągnie jakieś echo skalne,
Jakieś smętne, dalekie muzyki chóralne.
Które ja dziś już chwytam myślą na pół senną
Słysząc ten wiatr i strunę pod wiatrem kamienną.

Więc kiedy kościół zadrży od stóp aż do skroni
I płaczącym się głosem na miasto rozdzwoni,
Więc kiedy ta kolumna w pomroku miesiąca
Zostanie gdzieś na placach, jak harfa grająca...
To wtedy co? — Krzyk jeden jak burza ponura,
Nie wiem, „Niech żyje Polska!“ czyli téż krzyk „hura!“
Wyleci, jak koń śmierci zerwany z wędzidła,
O katedralny kościół otrze głośne skrzydła...
A miasto co? — Słuchając z wyciągniętą szyją
Powie: że tam się ciemni aniołowie biją,
Że tam szatan ogniste przywoławszy moce
Koń swój brązowy ciska i piorun gruchoce;
Że jako Machabeusz pod zwalonym słoniem,
Tak szewcy pod piorunem padają i koniem
Zgruchotani; że księżyc na niebie odkryty
Pokaże tę ulicę pustą, lud wybity,
Piorun zagasły, walkę okropną skończoną,
Ulicę całą ciemną i krwią zadymioną...

Więc kiedy miasto całe przestrachem ogłuchnie,
To znowu ta ulica jednym wiatrem buchnie,
Jednym krzykiem . . . . . .

A potém co? — Stojący uliczce na strychu
Kościół się katedralny odezwie po cichu,
Walkę i krzyk, różnymi wiejący głosami,
Jak organ rzuci miastu — głucho — akordami —
Coraz głośniéj: — i całą tę harmonią senną
Roztrąci o kolumnę, tę strunę kamienną.

Wtém znów jeden z tych wrzasków, od których natura
Wzdryga się — jeden „vivat!“ uliczny i „hurra!“
Jeden z tych krzyków, które czynią, że skrzydlata
Natura ducha w kościach tak jak ptaszek lata;
Że duch na ustach staje i już nie jest zdolny
Zatrzymać śmiéch serdeczny i płacz mimowolny;
Jeden z tych krzyków, który wnikając w człowieka
Tak śpiéwa w nim jak anioł, a jak szatan szczeka;
Jeden z tych krzyków... szumem błyskawic nawalnym
Uderzy, na kościele pęknie katedralnym,
Pójdzie mimo, lecz skrzydłem o kościół otarty
Kamienie w nim wrzeszczące zostawi jak czarty,
I wiele innych głosów, które zmartwychwstanie
Zapieją, jak anioły związane w organie.

I jeszcze ta harmonia nie zamilkła senna,
A już kolumna placu, ta struna kamienna,
Tym samym wichrem bita, z rozwahaném czołem
Prym wzięła przed chóralnie jęczącym kościołem,
I dwa te śpiéwy już bez odpoczynku
Będą miastu ogłaszać lud idący z rynku.
Jeśliż ma ta ulica taką ciasną szyję,
Że z niéj — by słowo wyszło, to jak działa bije;
Jeśliż na każdą formę naszego uczynku
Tak srogo ona patrzy oczyma aż z rynku;
Jeśliż lada noc, a z niéj wystrzeli powstanie,
I w proch tego rozrzuci, kto na rychcie stanie;
Jeśliż jest taka mocna, że przez nocy cieni
Muzykę ciemną strachu wyrzuca z kamieni,

A kolumny na swoje muzykanty stroi:
To człowiek, który zawsze o zdradę się boi
I wszędzie widzi tylko postrachu upiory,
Albo dzieckiem być musi, lub na serce chory.

X.

MATECZNIK.

Bóg, który łono wszelkich tajemnic odmyka,
Do tego ohydnego w duchu matecznika,
Gdzie duch z duchem się bije, a kość trupia z kością,
Pozwolił wejść i oczy oswoić z ciemnością.
I zoczyłem okropną umysłów ruinę,
Oczy krwią zaszłe, twarze ołowiane, sine,
Żywe zwierzę, myślące o knucie i carze,
Daléj trupy i skryte na trupy cmentarze.
Tam jeśli który ludzkiéj nie wytrwa ohydzie,
Pokorny, waryat blady, sam na cmentarz idzie
I kładzie się i kona od braci daleko;
Dla tego nigdy trupów za sobą nie wleką,
Ani się pokazują śród ludzi ze łzami,
Ani krzyku usłyszysz, stojąc pod oknami.

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Któżby rzekł, że ta ciemna tajemnic kotara
Kryła taką straszliwą ucztę Baltazara?

Że tam w nocy, po ciemku, bez gwiazd i miesiąca
Jest ręka straszna, ogniem po ścianach pisząca?
Że przy stole żebrackie zbiérając okruchy
Siedzą ciała, nie swymi napełnione duchy,
Liczba jakaś szatanów, która ciał używa?
Inny, którego przeszłość w siebie zajrzéć znęci,
Spojrzy i cudzą pamięć znajdzie w swéj pamięci;
Inny, gdzieś pod Grochowem naznaczony blizną,
Zapomni się i północ nazywa ojczyzną;
Tamten rozczochra włosy i podniesie pięście,
I wrzaśnie, jak kobiéta: „Boże! o nieszczęście!“
A potém, gdy w szlochaniu pozbędzie oddechu,
Upada w zgrzytającą harmonikę śmiéchu,
Z tonu na ton zlatując, jak czart i kobiéta
I szkło, które pod palcem zajęczy i zgrzyta.

Pośrodku upior — niby zachłyśniony Bogiem
. . . . . .
. . . . . .

XI.

Panie! jeżeli zamkniesz słuch narodu,
Napróżno człowiek swe głosy natęża:
Choćby miał siłę i odwagę męża,
Z niemiłowania umrze tak jak z głodu.

Próżno na ręce rękawice kładnie
I jako szermierz wystąpi zapaśnie:
Lica mu wyschną i oko zagaśnie,
Sprzepaści się pierś i głos w nią zapadnie.

Ale komu ty twoje namaszczenie
Włożysz na czoło, ten bez żadnéj pracy
W powietrzu twojém jak powietrzni ptacy
Pływa, a święte karmią go promienie.

XII.

Krzyczeli: „Polska! Polska!“... lecz jednego razu
Chcąc krzyczeć, zapomnieli na ustach wyrazu;
Pewni jednak, że Bóg im prawo krzyku przyzna,
Szli i krzyczeli jeszcze: „Ojczyzna! Ojczyzna!“ —
Wtém Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka —
I przeraził je wszystkie, zapytawszy: „Jaka?“

A drugi człowiek niby w żebraka postaci
Pomyślał, że mu trzeba w duchu wolnych braci,
I wolności mu trzeba w milionów osobie,
Ziemię bowiem pod sobą ma i Boga w sobie:
A Pan w nim jako ogień i już nie nad krzakiem
Zagrzmiał: „Prosisz się, widzę, być dawnym Polakiem!“

XIII.

Kiedy prawdziwie Polacy powstaną,
To składek zbiérać nie będą narody,
Lecz ogłupieją — i na pieśń strzelaną
Wytężą uszy, odemkną gospody.

I będą wieści z wichrami wchodziły,
A każda będzie serce ludów pasła;
Nieznajomemi świat poruszą siły
Na nieznajome jakieś wielkie hasła.

Nie pojmie Francuz, co to w świecie znaczy,
Że jakiś naród wstał w ciemności dymie,
Choć tak rozpaczny — nie w imię rozpaczy,
Choć taki mściwy — a nie w zemsty imię.

Nie pojmie, jaką duch odbył robotę
W przeświętéj serca ludzkiego ciemnicy,
I przez sztandary jest tłuczony złote,
I przez bój wielki przy dział błyskawicy.

Cóż to — zapyta — są za bezimieńce,
Którzy na dawnym wstali mogilniku?
Bój tylko widać i ogniste wieńce,
A zwierzęcego nic nie słychać krzyku!

Nie, to nie ludzie z krwi i ciał być muszą,
Lecz jacyś pewnie upiorni rycerze,
Którzy za duszę walczą tylko duszą,
I ogniem biją niebieskim w pancerze.

O gwiazdy zimne! o świata szatany!
Wasze mnie wreszcie niedowiarstwo zwali;
Już prawie jestem człowiek obłąkany:
Ciągle powiadam, że kraj się już pali,
I na świadectwo ciskam ognia zdroje —
A to się pali — tylko serce moje!..

Dajcie mi tylko jednę ziemi milę!
— Może, o bracia, za wiele zachciałem —
Dajcie mi jednę bryłę, na téj bryle
Jednego duchem wolnego i ciałem:
A ja wnet z siebie sprawię i pokażę,
Że taki posąg dwie będzie miał twarze.

Dajcie mi gwiazdę mniejszą od miesiąca,
Kometę złotym wiejącą szwadronem —
Niechaj po lasach będzie latająca,
A tylko święta jednym polskim zgonem: —
A ja wnet siły dobędę nieznane,
Skrzydła wyrzucę i wnet na niéj stanę.

O bracia moi! kiedy krzyżem leżę,
A proszę Boga o kraj, o człowieka,
To mi się zdaje, że tętnią rycerze,
A wróg z piorunem przed nimi ucieka:
Chcę biéc — lecz kiedy na blask gwiazd wynijdę,
Gwiazdy mnie drwiące pytają, gdzie idę?!

XIV.

Jeżeli ci Pan nie zbuduje domu,
Próżno składają ci cegły mularze:
Jeśli nie broni miasta od pogromu,
Próżno czuwają po szyldwachach straże.

Naprożno wstajesz przed świtem człowiecze,
A przy świeczniku nad robotą ślęczysz:
Z gorzkiego żyta chléb ci się upiecze,
Bo Ty, o Panie! te, co kochasz, wieńczysz!

Zaprawdę, nie ma hojniejszéj nagrody
Nad narodzone w domu twoim plemię,
Nad syny, które mąż i człowiek młody
Jak winne grona wyprowadza z ziemi.

Synowie jego powadze przystoją,
Potęgę mnożą, miłość k'niemu niecą,
W kołczanie jako złote strzały stoją,
W poselstwa, jako złote strzały, lecą.

Błogosławiony, kto sobie w kołczanie
Takich strzał natknął: taki człowiek śmiało
Wrogowi kraju dotrzyma, gdy stanie,
Wielki u ludzi synów swoich chwałą.

O Panie! rozpuść Twoje wielkie moce,
Przez lud się Twój rzuć ognia strumieniami!
. . . . . .
. . . . . .

XV.

Mój król, mój Pan — to nie mocarz żadny,
Ni ten, na którym trzy koron się piętrzy,
Ale duch pierwszy globu — światowładny.
Chociażby w chłopku, duch świata najświętszy;
Czy on na świecie żyw, czy gdzie nad światem? —
Wiém, że duch taki jest — i dość mi na tém.

Skądkolwiek jego duch na mnie uderzy,
Gdziekolwiek jego wołanie usłyszę,
— Czy to zjawi się w siermiążce pasterzy,
Czy jeszcze w żłobku matka go kołysze —
Gdziekolwiek ono dziecko światowładne
Poczuję, klęknę i na twarz upadnę.

XVI.

Jeżeli kiedy w téj mojéj krainie,
Gdzie po dolinach moja Ikwa płynie,
Gdzie góry moje błękitnieją mrokiem,
A miasto dzwoni nad szmernym potokiem,
Gdzie konwaliją woniące lewady
Biegną na skały, pod chaty i sady —

Jeśli tam będziesz, duszo mego łona,
Choćby z promieni do ciała wrócona: —

To nie zapomnisz téj mojéj tęsknoty,
Która tam stoi jak archanioł złoty,
A czasem miasto jak orzeł obleci,
I znów na skałach spoczywa i świeci.

Powietrze lżejsze, które cię uzdrowi,
Lałem z méj piersi... mojemu krajowi...
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

XVII.

Zakończył śpiewak, a my zasłuchani
W rytm, w oczach mieli tę światłą sielankę,
Aż wstała złota na murawie pani,
Z kwiatów podnosząc uwitą równiankę;
Wszyscy zachodem byliśmy rumiani,
Który oświécił tę cichą polankę,
A las w około szemrał swemi brzozy,
Jakby gdzieś duchów przeszłości obozy.

Helion się piérwszy ocknął, i ocknięty
W duchu się uczuł i rzekł: „Wieczna sława
„Duchowi, który tworzył dyjamenty,
„I myśl dziś tworzy na tesame prawa.
„Śpiéwaj nam daléj dzieje, wieszczu święty!
„Czuję, że idzie na nas burza krwawa;
„Jeszczem nie słyszał, jak gra twoje łono,
„A już myśl czarną mam i chęć szaloną.

„Zda się, że słyszę, jako w Dnieprze biją
„Żelazne słupy, widzę je pod wodą;
„Widzę Rusałki, jak łabędzią szyją
„Wiążą się, grają, taniec skoczny wiodą.

„Powiédz, Bohdanie, czy zdoprawdy żyją
„Królowe twoje pod wodną gospodą?
„Czy mi się tylko śnią w tęczowym dymie
„Jasno dlatego, że błysły w twym rymie?“

Wszyscyśmy na to czekali, co powie
Dumek poeta; lecz on gdzieś ponury
Siedział na stronie i sumował w głowie
I wiązał złote jakieś rytmów sznury.
Seweryn więc wstał, i w ognistém słowie
Tłómaczył duchów podziemnych natury,
A my słuchając, zda się, coraz daléj
Szliśmy z poetą w łono złotéj fali.

XVIII.

Przy kościołku,
Mój aniołku,
Koronka,
Żonka,
Pieczonka;

Przy organku,
Mój Bohdanku,
Szumka
I dumka;

Przy klasztorze,
Mój kączorze,
Świętość,
Wziętość,
Nadętość;

Przy krzyżyku
Na stoliku
Fakta:
Dwa akta...

XIX.

Baranki moje,
Zawitał czas:
Nad piękne zdroje
Powiodę was;
Puszczę was owieczki
Na piękne kwiateczki
I będę pasł.

Baranki z ducha,
Ja pasterz wasz;
Pan Bóg mnie słucha,
Ozłocił twarz:
Bogiem promienny
Odprawiam bezsenny
Anielską straż.

XX.

Pośród niesnasek Pan Bóg uderza
W ogromny dzwon,
Dla słowiańskiego oto papieża
Otworzył tron.
Ten przed mieczami tak nie uciecze
Jako ten Włoch,
On śmiało, jak Bóg, pójdzie na miecze;
Świat mu — to proch!

Twarz jego słowem rozpromieniona,
Lampa dla sług,
Za nim rosnące pójdą plemiona
W światło, gdzie Bóg.
Na jego pacierz i rozkazanie
Nie tylko lud —
Jeśli rozkaże, to słońce stanie,
Bo moc — to cud!

On się już zbliża — rozdawca nowy
Globowych sił:
Cofnie się w żyłach pod jego słowy
Krew naszych żył;
W sercach się zacznie światłości Bożéj
Strumienny ruch,
Co myśl pomyśli przezeń, to stworzy,
Bo moc — to duch.

A trzeba mocy, byśmy ten pański
Dźwignęli świat:
Więc oto idzie papież słowiański,
Ludowy brat; —
Oto już leje balsamy świata
Do naszych łon,
A chór aniołów kwiatem umiata
Dla niego tron.

On rozda miłość, jak dziś mocarze
Rozdają broń,
Sakramentaluą moc on pokaże
Świat wziąwszy w dłoń;
Gołąb mu słowa w hymnie wyleci,
Poniesie wieść,
Nowinę słodką, że duch już świéci
I ma swą cześć;
Niebo się nad nim piękne otworzy
Z obojga stron,
Bo on na świecie stanął i tworzy
I świat i tron.

On przez narody uczyni bratnie
Wydawszy głos,
Że duchy pójdą w cele ostatnie
Przez ofiar stos;

Moc mu pomoże sakramentalna
Narodów stu,
Moc ta przez duchy będzie widzialna
Przed trumną tu.

Takiego ducha wkrótce ujrzycie
Cień, potém twarz:
Wszelką z ran świata wyrzuci zgniłość,
Robactwo, gad,
Zdrowie przyniesie, rozpali miłość
I zbawi świat;
Wnętrze kościołów on powymiata,
Oczyści sień,
Boga pokaże w twórczości świata,
Jasno, jak dzień.

XXI.

Ty głos cierpiący podnieś — i niech w tobie
Krzyknie i naraz poważnie zaśpiéwa
Wszystko, co naród sądził, że śpi w grobie,
Albo się ze krwią ludzką w krew przelewa.
Bo nie ten, który z rdzy pancerz oskrobie,
Albo w mogiły dawnéj zajrzy trzewa,
A prochom dawnym spoczynek naruszy,
Wiek pomknie — lecz ten, kto się dotknie duszy.

Mów, otwórz drogi Świętemu Duchowi,
Mów, a do niebios Bożych pokaż wrota;
Cały się naród z ducha niech wysłowi,
Cały o przyszłość niech się zakłopota;
Niech dusze kładą za siebie, aż nowi
Obaczą się tu, jaśni jak z pod młota

Hamerni złoto wychodzi świécące,
Jagnięta pańskie na słonecznéj łące.

Stój! stój! — gdy przyjdzie w powietrzu ów święty,
Wróci raj, naszą utracony winą,
Liczyć zaczniemy rok nowo zaczęty
Z Panem w jasnościach; pieśni nawet miną,
Poganie ducha pójdą ze zwiérzęty
Otaczać obóz ducha, lecz poginą:
Światłość je miasta świętego uderzy,
Odejmie im głos, wzrost grobami zmierzy.

Nie mów — leniwych duchów nie budź rzeszy,
Bobyś obudził ogień nienawiści;
Kto grzészny teraz, niechaj jeszcze grzészy,
A kto jest czysty, niech się jeszcze czyści.
Czas bliski, który święte z nas pocieszy,
A złymi pogna, jak wiatr chmurą liści;
I będą się jak zwiędły liść sypali,
W czarne jeziora, które duch zapali.

Biada tym, które koniec znajdzie świata,
Że jeszcze ciała takie, jak my, noszą;
Biada tym, które raz przez ogień kata
Dla prawdy Bożéj nie przeszły z rozkoszą;
Biada tym, którzy chcą jednego lata
Owoców, a o męczeństwo nie proszą,
A o dar ducha do nieba kołacą
Jak ty, nie wziąwszy go czynem i pracą!

XXII.

DO FRANCISZKA SZEMIOTHA.

Nie zapominaj, że niegdyś ubogi
Twój przodek, włosy zarosły długiemi,
Miał swoję puszczę i miał swoje Bogi
I swoich duchów opiekę na ziemi.

A kiedy mówił pacierz tajemniczy
I o potomstwo wielkie prosił ducha,
To krzyczał z piersi — tak jak morze krzyczy,
A Bóg go słuchał, tak jak morze słucha.

Dziś, z jego domu rozwalonéj ściany
Na krąg kamieni gdyś trafił w młodości,
Ciekawy byłeś, lecz nie zapłakany,
Nie ducha jego ciekawy — lecz kości.

Dziś, gdy cię ręka prześladowcza losu
Nad morze wiedzie, a tajemnic uczy:
W żywiołach — przodków ty nie słyszysz głosu,
Nie po litewsku tobie bałwan huczy.

Duchy twe jednak wodzą cię na pasku
I niańczą — i dziś to sprawiły rano,
Żem klął przed tobą i pisał na piasku
Te rzeczy, które w puszczy już wiedziano.

Pamiętaj ten dzień, gdy cię duch gołębi
Ostrzegał, własnych zapomniawszy krzyży;
Bo wkrótce w piasku tym ja jeszcze głębiéj
Będę — i u nóg ludzkich jeszcze niżéj...

Ale ci wtenczas tęsknota nakaże
Po mego ducha iść w duchów krainę,
Aż — odświéconych myśli moich twarze
Ujrzysz, i piasek ten i tę godzinę.

Dieppe, w Niedzielę 1846, 23 sierpnia, w dzień moich imienin.

XXIII.

Niedawno jeszcze — kiedym spoczywał uśpiony,
A sen mój się zarzęsnił strzałem pełnym dymu,
I w dymie stanął anioł jak ogień czerwony
I szepnął mi do ucha: „Ja mord — lecę z Rzymu.“

Jam uciekał i tęczę tak za sobą snował
Jak Irys... a po tęczach gnał mnie ów przeklęty,
Tak żem spytać go musiał: „A któż tam mordował?“
A on mi znowu szepnął w ucho: . . . . . .

I znowu uciekałem — i kwiatów kielichy
I róże z ducha mego ciskałem za siebie
Broniąc się — a on za mną jak kurz i wiatr cichy
Gnał i szeptał: „Spełnione tu... osądzą w niebie!“

XXIV.

W ostatni dzień, w ostatni dzień
Wyście podróżne tu ptaki
Spotkały suchy dębu pień,
Co od pioruna miał znaki.

Lecz gdy go śpiéw poruszył wasz
I głos doleciał z Ojczyzny,
Strzeliła z dębu człowieka twarz
Z pod kory, ze spalenizny.

Z pod liści błysnął złoty łuk
I ręka i miecz czerwony;
W dębie słowiański mieszkał Bóg
I wam się pokazał zjawiony.

XXV.

Na drzewie zawisł wąż,
I rzekł szatan do Ewy:
Patrz, pod ciemnemi drzewy
We śnie leży twój mąż.

Jemu mówił Jehowa
Tajemnicę stworzenia
Ze światła i z promienia,
Z miłości i ze słowa.

Ja ci dam tajemnicę
Duchów, Jehowy sług,
Że duch w Trójcy — to Bóg,
Słowo — trzy błyskawice.

Zwyciężż na ziemi zgon,
Rozwesel cały Eden;
Ja w was dwóch będę jeden,
A we mnie ty i on.

Zdołaj duchy spłomienić,
Spokojny ciała dom
Chwilę zamienić w grom,
Trójcę w jedność zamienić!

Sama ogniami stléj,
A gdy się mąż zamroczy,
Patrz mu ogniście w oczy,
Usta z ustami zléj!

Szepcąc do ucha wciąż
Czyń bez żalu i skruchy;
Ty i on — to dwa duchy,
Z wami trzeci ja, wąż.

Jeśli masz ognia mało,
To ściągnij oto dłoni
Po owoc téj jabłoni,
Jéj duchem podkarm ciało.

Ty będziesz świata panią!..
Lecz już z jabłkiem od drzewa
Biegła w płomieniach Ewa,
A szatan poszedł za nią.

Oto z ziemią się stało,
Co z gwiazdy trapionemi:
Promienność poszła z ziemi,
A duch węża wziął ciało.

XXVI.

Wielcyśmy byli i śmieszniśmy byli,
Bośmy się Duchem Bożym tak popili,
Że nam pogórza, ojczyste grobowce,
Przy dźwięku fletni skakały jak owce,
A górom onym skaczącym na głowie
Stali olbrzymy — miecza aniołowie.

Ustały dla nas bić godzin zegary,
Duch nie znał czasu, a czas nie miał miary;
Szedł błyskawicą do wieczności progu
Duch, a stał wieczność — kiedy stanął w Bogu.
Zaprawdę powiem, bracia moi mili,
Żeśmy się duchem przeświętym popili.

Teraz jesteśmy z ducha wytrzeźwieni,
Bracia rozumni — czciciele pieczeni...
W głowach się nie ćmi, jak pierwéj, słonecznie,
Fletnie nie grają, mogiły śpią wiecznie,
Czas nasz zgodzony z ziemi zegarami —
Stoim i śpiemy... a świat śpi pod nami.

XXVII.

Narodzie mój,
Coś widział miecz
Na niebie ciemném świécący,
Powrócę ja —
Patrz, Furya zła.
Przyjdę jak płomień gorący,
Wezmę wichrzyce
I na stolicę
Wpadnę i dachy pozrywam;
W rzéki się rzucę,
W krew je obrócę,
W domy zlęknione powpływam.
Przez nocne cienie
Tak jak płomienie
Pójdę, a wam wzroki wypalę —
Przez błyskawice
Mocarze chwycę,
Nagie postawię na skale.
Przepuść jeszcze ludowi,
On sędzie postanowi,
I proroki swe Boskie wybierze,
Oto leżą jak snopki
Błękitne twoje chłopki
I baranków duchowi pasterze.
Przez błękitne niebiosy
Rozwiń słoneczne włosy,
Nie trwoż biédnych — patrz — jęczą znędzniali;
Tysiąc lat w gwiazdę Twoją
Idą, a w miejscu stoją,
A tak drżą, jak gdyby po fali.
A jakiż to lud,
Który broni swych trzód?
Jak przewinił, że nie pomógł żadnemu —
Jeżeli mieczem władnie
A stoi, to upadnie
I blaskowi się pokłoni złotemu.

Obnażę jego wstyd
Z pod sztandarów i kit
Oberwanych, twarz jego zawstydzę;
Bo on sam sobie płacił,
Z chwał się swoich zbogacił,
Kwiat swój wydał na ludu łodydze.
Duchu, na mały czas,
Proszę, pozostaw nas,
Pozwól dożyć spokojnie starości —
Właśnieśmy jak anieli
Wytrzeźwieli, dojrzeli
Krajów naszych cudownéj piękności.
Promień nowéj oświaty
Na tureckie makaty
W nasze ciemne uderzył alkowy —
Od stepów przyszły szumy
Wiatrów, smętki i dumy,
A od Litwy szum drugi sosnowy —
Ziemi wrócona siła
Oto nas upowiła
I wonnymi oblała balsamy.
Świat snem — snu ziemia łożem —
Ze snu powstać nie możem,
Ale z łoża do Boga wołamy.

XXVIII.

Dusza się moja zamyśla głęboko,
Czuje, że tu, jak słońcu, zajść potrzeba,
A innym ludziom zabłysnąć na oko...

Jakiego kraju i jakiego nieba
Światło powita mię w progu żywota?
Nie wiém — lecz radbym żył z polskiego chleba...

Bądźże mi lepsza, o młodości złota,
Niż ta, która mi tutaj się skończyła,
A jeszcze dzwoni echem, jak tęsknota...

Bądźże mi blisko, o matczyna, miła
Duszo, abym mógł znów ukochać ciebie,
Nie wiedząc, żeś mię tutaj raz — rodziła.

XXIX.

Prawo Mojżesza w głobie wyryte głęboko
Dotąd trwa: ząb dasz za ząb i oko za oko;
Bóg chce, aby się tego prawa domyślono,
I spełnia je schowany za śmierci zasłoną.

Sto dam za grosz tym, którzy jałmużnę uczynią,
Mówi Pan; cóż byłoby, gdyby stał ze skrzynią?
A to prawdziwy byłby dla lichwiarzy Eden,
Taki ogromny procent z grosza — sto za jeden!
A jednak Bóg jest godzien, aby mu wierzono,
I płaci — lecz schowany za śmierci zasłoną.

XXX.

Chcesz wiedzieć, czém dziś byłby nasz kraj odzyskany
W trzydziestym pierwszym roku: to patrz na Hiszpany,
A ujrzysz ziarno, które było w czasu łonie.
Ot... jakiś baba siedziałby na tronie,
Głupi a nieruchomy, tak jak Jowisz Stator;
Przy nim stałby podporą — upadły dyktator.

Przeciw myślom praktycznéj broniliby tezy
Ministry uszablone, grube Narwaezy.
Słodki nasz książę i Pan wielce ukochany,
Polityk, jak on cichy Martyner różany,
Do ministeryum częstym wracałby nawrotem,
Sterując między królem a prawem — z Guizotem.
Polskim groszem, co z chleba sypie się, anielski
Bankrutować-by zaczął dawno już pan Jelski;
Po nim zaś nasz filozof w kredytu postaci
Byłby już nas pozbawił dawno cyrkulacyi.
Cóż więcéj? pod wojenném prawem i pod biczem
Barceloną byłoby Wilno z Mickiewiczem;
Gdy przeciwnie wieszcz ciemny, w swoich drogach skryty,
Wlatując w dwór przez okna, albo przez kobiéty,
Znikałby nawarzywszy kwaśnych intryg piwa,
Sądząc, że ciemny dramat z królami odgrywa.
Z ludem byłoby trudniéj — przyszłoby nareszcie
Do sikawek, jak w Porta-sol — na starém mieście.*)

1848.

---

*) W rękopisach Juliusza Słowackiego znajdujemy między różnemi notatkami następujący ustęp, odnoszący się do powyższego wiersza:

„Lelewel miał natchnienie, gdy mu przyszło na myśl Polskę z Hiszpanią porównać — ale w pisaniu odbiegło go, a rozum oszukał. Aragon — Polska, gdyby się była utrzymała, byłoby tak, jak dziś w Hiszpanii. Skrzynecki — jak dyktator. Chłopicki i Krukowiecki — jak Narwaezy. Jelski byłby zaczął bankrutować, a skończyłby bankructwo systemat pana Cieszkowskiego. Ks. Czartoryski martynizowałby różaną wodą arystokracyi pachnącą z Guizotem zawsze. Wilno z Mickiewiczem poszłoby pod prawo wojenne jak Barcelona. Autor Nieboskiéj bruździłby i zawichrzał pałacem — sądząc, że dramat z królami odgrywa. Sejm gadałby, jak Kortezy.“

XXXI.

CÓRKA CERERY.

Przez miedzę, która podobna do szlaków
Różnych kolorów, między złotym kłosem
Tyś szła, owieczka, białością i losem
Podobna owcy śród kłosów i maków.

Wtém Pluton ogniem wylatując z krzaków,
Porwał cię w ręce i uniósł do piekła,
Córko Cerery — a tyś nic nie rzekła;
Weselił cię gwałt i wrzask nocnych ptaków.

Jakaż cię teraz cudotworcza siła
Porwie i znowu cudownie przemieni
W córkę świécącą kłosów i promieni,
Kiedyś ty piekłu jak miesiąc świéciła
I tam, gdzie ludzie jadem są żywieni,
Tyś nie umarła — lecz jadła i żyła.

XXXII.

Karty się dają wszystkie wytłómaczyć tuzem,
Niemcy Niemcem — Francyja ptaszkiem i Francuzem;
Polak jéj nie rozumié, choć żyje od wieka,
Bo musi wprzód rozwiązać zadanie człowieka.

XXXIII.

Otrzymawszy wprzód na to jednomyślną zgodę,
Zgodzono się przedawać w pewném mieście — wodę.
Jednego tylko potém człowieka złapano,
Który chciał dawać darmo — i ukrzyżowano.

XXXIV.

Możnemu, który dzisiaj dom upięknia sobie,
Powiédz, że gdziebądź jutro, zbudzi się na globie,
A wnet złoto rozleje po świecie jak wodę,
Chcąc, aby w każdym domu jutro miał wygodę.

DO

AUTORA TRZECH PSALMÓW.

DO

AUTORA TRZECH PSALMÓW.*)

Podług ciebie, mój szlachcicu,
Cnotą naszą — znieść niewolę.
Ty przemieniasz ziemską dolę
W żywot ducha na księżycu;
Głosem dziecka wołasz: czynu!
Czynu — czynu naród czeka.
Lecz ty wiész, bez ducha gminu
Jaka słaba pierś człowieka...
A ty, który budzisz czyn,**)
Gdy spojrzałeś w ludu oczy,

*) Wiersz ten był już drukowany i znany jest powszechnie. Ale wychodzi teraz po raz piérwszy w czystéj i pierwotnéj swojéj postaci, oczyszczony z licznych bezsensów, jakie go szpeciły w dotychczasowych wydaniach, i pomnożony wielu ustępami, które dotąd nigdy nie były drukowane.

**) Zamiast cztérech ostatnich wierszy tego ustępu znajduje się w rękopisie dopisana na boku taka waryanta:

Lecz ty drżysz, gdy z ducha gminu
Błyśnie w ogniach twarz człowieka!..
Drżysz, gdy od kos ukraińskich
Długi, smętny brzęk zaleci
Do Warszawy — gdzie was, dzieci,
Straszy teraz twarz Kilińskich...

Rzekłeś, że z nich rzeź wyskoczy!!
A kto inny jest — niż gmin?

Nie tak — nie tak, mój szlachetny,
Bo czyn ludu — nie piosenka.
To nie w herbie z mieczem ręka,
To nie ród imieniem świetny,
To nie pieśni próżny twór,
To nie buntu próżna mara,
To nie chmurny lot Ikara,
Gdzie zasługą upaść z chmur!
To nie na słońc, gwiazd granicy
Z kochankami mdlejąc latać,
Włosy splatać i rozplatać,
Tchnienie tracić w błyskawicy;
Ale twardo, ale jasno
Śród narodu swego stać,
Myślą bić, chorągwie rwać,
Świécić czynu tarczą własną!
W drogę, choćby niepowrotną,
Ale prostą — naprzód twarzą,
Z piersią czystą, choć samotną,
Choć ją sztyletami rażą,
Z twarzą smętną, ale białą,
Chrystusową, choć zwiędniałą,
A ciągnącą lud do siebie
Niesłychanym bożym czarem:
Takim duchem i sztandarem
Być na ziemi — jest być w niebie!

Jam spróbował na méj głowie,
Nakształt gwiazdy kałakuckiéj,
Nosić gwiazdę myśli ludzkiéj
I z tą gwiazdą żyć surowie.
I przybiegli Aniołowie,
Aniołowie Betleemscy —
A odbiegli ludzie ziemscy

I drzwi moje pożegnali,
I przeklęli... me domowe
Duchy — serce — moję głowę —
Każdy włos poprzeklinali...
A jam przecie, bez ich wiedzy
I bez serc ludzkiego ciepła
Czuł, że w żyłach krew nie krzepła.
Ani na rozstajnéj miedzy,
Która świat od Boga dzieli,
A do przyszłych idzie światów,
Rosło mniéj tęczowych kwiatów,
Choć suszyli ją i klęli.
I dlatego, żem się umiał
Pohamować — być nad zgrają —
Wichr przeleciał i wyszumiał
I legł martwy... a ja wstaję;
Bo ojczyznę mą w łańcuchu
Widząc, miałem tę pokorę,
Żem żadnego nie klął ruchu...
Czuł gorących — bo sam gorę,
Modlił się o czasy nowe
I o wrogów mych zwycięstwo,
Choć groziło mi męczeństwo
I w sąd... mogło pójść o głowę.
Bo ty nie myśl, że z Anioły
Tylko Boża myśl nadchodzi;
Czasem Bóg ją we krwi rodzi,
Czasem rzuca przez Mongoły!..

A ty, jasny jakiś panie,
Bo cię nie znam, ale słyszę,
Słysząc twoje wierszowanie,
Że ktoś jak perłami pisze,
Że ktoś nakształt się proroka
Stawia ludziom — ale modny,
Jak historyk świata — chłodny,
Obejrzawszy świat z wysoka,

Wieszcze rymy, jako cugi
Posłał na świat równym kłusem
I napełnił wóz Chrystusem,
Jak Owidyusz Faetonem
I rozesłał swoje sługi,
Swe kolory czcić pokłonem.

Honor myślom, z których błyska
Nowy duch i forma nowa!
Bo są światu, jak zjawiska,
Jako jutrznia są różowa,
Jak ogniste meteory
Stopom ludu podścielona,
By gościńce Irydyona
Pielgrzymowi, który od nich
Bierze ogień i kolory,
Gdy już gwiazd dochodzi wschodnich.

Taką była dawniéj dana
Poetyczna karm dla ludu,
Objawienie pełne cudu;
Myśl, jak mara niespodziana,
Z piersi naszéj wychodziła,
Nakształt gwiazdy, lub miesiąca,
Narodowi dźwiękiem miła,
Ludu sen wspominająca.
To jak słońce w półobłoku
Oczom wschodziła i rosła,
To jak róża na potoku,
Albo lekki Sylf bez wiosła.
Jakaś siła niewidzialna,
Przez poetę na świat lana,
Wolna — jako Anioł Pana!
Silna — jako skra zapalna!

Dziś co?— Każdy wieszcz z rozkazem,
Każdy patron... lecz za sobą;

Nie z promieniem, lecz z wyrazem,
Nie duch-duchem, lecz osobą.
Kiedy gore świat cierpieniem,
Kiedy wzbiéra czynu fala,
On się kładzie sam kamieniem,
Na ruch ludzki nie pozwala;
Chce zawrócić w stare łoże
Nowe fale — rzeki Boże;
Do zbolałych serc nie wnika,
Gromu ludu nie ma w dłoni,
Ale w uszy formą dzwoni,
Albo dzwoni — albo syka.
Jego dźwiękiem, jego mową
Nie odetchnie pierś szeroka,
Nie pomyśli jego głową,
Skier nie weźmie z jego oka;
Tylko nędzne ujrzy płachty,
Zamiast wieszcza — sztandar jego
I krzyk: „na Boga żywego!
„Ty, kto jesteś? nie rznij szlachty!!..“

Któż i gdzie zagroził nożem?
Któż i gdzie ci stanął sporem? —
Możeś spotkał się z upiorem,
Z całém dawném Zaporożem?
Możeś widział pochód głuchy,
Krzyki krwawe i namiętne,
I księżyce nad krwią smętne
I sokoły w mgle, jak duchy?
Może tobie zastąpiły
W poprzek twojéj sennéj stecki
Same tylko ich mogiły —
A ty zląkł się! — wódz szlachecki!! —

Może tylko w noc półjasną
Upior jaki nadlatywał,
Strzały sobie z ran wyrywał
I mgły krwią czerwienił własną,

Hełm rozpalił w błyskawicę,
Miecz potrząsał purpurowy,
A okropne cztéry głowy,
Jako perły zausznice
Z twarzą nieznajomych plemion,
Niby róże — niósł u strzemion.
— A ty zaraz — w ręku kord,
W kosach przed nim cała wieś!
Duch ten, krzyczysz, jest to rzeź!
Duch ten, to czerwony mord!...
— Nie mord, nie rzeź: — to z girlandy,
Co leciała po nad Lidą,
Jakiś sługa dziewki Wandy,
Jakiś złoty husarz z dzidą,
Jakiś krzyża kapłan świecki
Z tęczy widzeń oderwany
Znów powracał na kurhany —
A ty zląkł się! — syn szlachecki!! —

Duchy lecą i nie giną —
Czasem pełne snów czerwonych:
Czy ty jeden z przestraszonych
Ręką rzezi — gilotyną?
Skądże taka w tobie trwoga
I od ludu rów i przedział?
Prawdę mówisz?.. Nie, na Boga,
Wiém, żeś prawdy nie powiedział!
Tylko jakieś sny czerwone,
Zaludnione czartów gminem,
Twych firanek karmazynem
Owionięte, osłonione,
Jak róż jasne — jak sen płonne,
Pełne, mówię, mar szkaradnych,
Bez słońc, bez gwiazd, kwiatów żadnych,
Przestraszyły cię, żeś krzyknął:
„Stójmy tak na Ojców kości!“
I twój Anioł, już w przyszłości
Zabłyśniony — jak sen zniknął.

Jeszcze co? ani zamachu —
Naród cały hasła czeka —
A krzyk piérwszy z ust człowieka
Był krzyk: stójmy! był krzyk strachu.
Bo to sen na końcu pieśni,
Że magnaty — kiedyś — staną
Z wielką tęczą chorągwianą,
Otrząśnięci z wieków pleśni,
Z wielką myślą w sercu — w głowie —
Chatom — niby Aniołowie:
I bunt święty rozpłomienią,
I świat cały od nich zgore...
— W tych magnatach serce chore:
Wąż im sercem, a proch rdzenią!..

Kiedyś ze sto was tysięcy
Było szlachty z serc i z lica;
Dziś jednegom znał szlachcica,
I kraj cały nie znał więcéj.
Jeden tylko serca męką,
Zamiarami, choć nie skutkiem,
Wielkim, cichym, dumnym smutkiem,
Pełną zawsze darów ręką,
Smętną jakąś nieszczęść sławą
Był szlachcicem — i miał prawo...
Dziś — i ten nie został z wami
I godności swéj nie trzyma;
Poszedł gnić między królami,
Już go nie ma — i was nie ma!

Nie myśl, że wszystko na naszéj łące
Smutnieje, więdnie, zachodzi nocą,
Że nietoperze ociemniające
W powietrzu cicho skrzydły łopocą,
Gdzie znajdą lampę — skrzydły zaduszą,
Gdzie znajdą ciepłą polską krew w żyłach,
To ją wysmokczą — serce wysuszą —
Mózg o waryackich zostawią siłach.

Nie tak, tu nie tak... jak ci się może
Przyśniło, głośny szlachty upiorze!

Duch, ogień, młodość
Orla i żywa
Ogniem porywa
I z ducha czerpie.
Nad nią na sierpie
Z blasków księżyca
Boga Rodzica
W zorzy czerwonéj,
Na wywróconéj
Tęczy porannéj!
A pod nią mgła
Z ognia i szkła
W skrze nieustannéj
Bałwany wznosząca,
By znieść ją z miesiąca,
Z gwiazdami złotemi
Postawić na ziemi,
Ogłosić królową,
Piękność z płomieniem w sercu, z gwiazdami nad głową.

Wyszła, wyszła z za obłoku,
Ludom się pokaże,
I na żniwie i na toku
Ujrzą ją żniwiarze!
Cała w słońcach, cała w błyskach,
Z kwiatem złotym w dłoni;
Pastuszkowie przy ogniskach
Zaśpiéwają o niéj!..
Ujrzą ją na polu trzody
I smętnie zaryczą;
Zadrżą drzewa, staną wody,
Sny z niéj tęcz pożyczą!
I zgromadzą się włódarze
Z kosami na roli;
Bo się w sercach — w śnie pokaże
Człowiek dobréj woli...

Bądźże żywotniejszéj cery,*)
Bo cię żywym być przymuszę;
Wygnaj z myśli Maryusze,
Cezary i Robespiery.
Z komet, z meteorów cyfer
Czytaj przyszłość, wieszczu młody,
Nie bądź w przyszłą noc pogody,
Jako gwiazda zła — Lucyfer,
Gdy słoneczny wóz wyciąga,
Jak pies, węża mając szyję,
I zła skrzy... i w oczy bije
I bezsennym się urąga.—
Bo my z bezsennego łoża
Wzrok rzucamy gorączkowy,
A ty łyskasz blaskiem noża,
Dziecko, lub zły duch Jehowy,
Bo nam tworzysz czarną marę
I w zrodzoną rodzisz wiarę.

Ten, kto ojcu powie: raka!
Ten przeklęty: — więc się bój!
Polski lud, to ojciec twój.
Zeń, jak z cierniowego krzaka,
Gotów znowu Bóg wybuchnąć,
Z wichru mając twarz i lice,
I na ciebie, jak na świécę —
Iść — i daléj pójść — i zdmuchnąć!

Więc się bój: — bo nie ja grożę,
Marny człowiek i twój brat,
Ale jakiś straszny świat
I widzialne światła Boże,
Z ciszą, z wiatrem i z szelestem
Rzucające się na lud,
Strachy, które mówią: cud!
Ognie, które szepcą: jestem!

*) Bądźże mi weselszéj cery, *waryanta.*

Więc się bój: — bo duch się wdziéra
Zewsząd i podważa wieże.
Słaby, mówisz, rzeź wybiéra;
A czy wiész, co on wybierze?
Może ludów zatracenie,
Może nam przyniesie w dłoni
Komet wichry i płomienie,
W których drży król, matka roni,
Działa, wozy, hufce, konie
Ogień pali, ziemia chłonie;
A nikt z mogił nie korzysta,
Jeno wszczynający ruch,
Wieczny rewolucyonista,
Pod męką ciał — leżący duch!

We łzach, Panie, ręce podnosimy do Ciebie,
Odpuść nam nasze winy!
Niech będzie Twoja wola na ziemi i w niebie;
Przez nas czyń Twoje czyny!
Niechaj się Twoje imię na wysokościach święci,
Niech się święci trzy razy!
Abyśmy już nie byli z ksiąg żywota wyjęci
Dla naszych ran i zmazy.
Wspomnij, cośmy cierpieli pod chłostą tych mocarzy,
A ducha-śmy nie dali:
Nie poznaliby ojce naszych bolesnych twarzy,
Gdyby z grobowca wstali.
Gdyśmy cierpieli mocno, wołaliśmy do góry,
Jak gołębie: „nie ciśnij!“ —
Duchy, jak gołębice, rozleciały się w chmury;
Zatrwóż! niech wrócą!.. błyśnij!
W téj błyskawicy, Panie, ujrzym się, i z daleka
Brat pozna swego brata,
I wejdzie nieśmiertelność, jako Anioł, w człowieka
I staniem ludem świata!..

A tu niżéj
Pan poniży
Namiętnych.
Głos uciszysz,
A usłyszysz
Jęk smętnych.
Zebrzydowscy
I Zborowscy
W czerwonych deliach.
Błyskawice
I dziewice
W bladych kameliach.
Chór przychodzi,
Zda się, w łodzi,
O brzegi trąca.
Nad smętnemi
Lampa ziemi,
Okrąg miesiąca.
Zegar świata,
Ptak Pilata,
Godzinę pieje.
Strach i nudności,
W grobach drżą kości,
Bezduch szaleje.
Duch uciska,
Mroczy i błyska,
Aż uzupełni
Wiek idący,
Bogiem błyszczący,
Jak miesiąc w pełni.

W takim hymnie wieszczu stój;
Bo pieśń taka pójdzie górą,
Nad podlejszych dusz naturą
Panująca — Boży strój,
Do którego Bóg nagina
Wszystkie tego wieku struny,
Złączy dźwięki i pioruny,
Świat, co kocha i przeklina,

I błękitu rzuci na tła,
Przemienioną krwawość w światła.
Anioł się z Aniołem zetrze,
Chrystus wyjdzie na ciał złamy
I z Chrystusem się spotkamy,
A spotkania plac... powietrze! —

Lecz dopóki ty i twoi,
Duchem Bożym nie skrzydlaci,
Chcecie stać na głowach braci,
Tak jak szatan dotąd stoi,
Ciałem — formą, która kuta
Od tysięcy lat we świecie,
Choć spróchniała — duchy gniecie,
Wyrobiona i przeżuta,
Przeświécona piekłem mara,
Dla was święta tém, że stara...
Póki wy, jakby z kamienia,
A kryjący strach kobiécy,
Opieracie wasze plecy
O ten wiatr z gwiazd i z płomienia,
Który się jak słońce pali
I lud niesie, a was wali —
Lecz dotychczas jeszcze szczędzi
Najpiękniejszych od zagłady,
Aż nie mogąc, dusz gromady
Przerażone z ciał wypędzi: —
To ja — pomny na potrzebę
Przyszłych ludzi, tych Cezarów,
Którym każdy stary narów
Kładł pod nogi kamień, glebę,
Męczenników pełną chatę,
Swój interes i prywatę; —
To my święci, to my młodzi
Jutrzenkami i błyskaniem,
Charonowéj twojéj łodzi,
Pełnéj trupów — poprzek staniem!

PODRÓŻ NA WSCHÓD.

POEMAT NIEDOKOŃCZONY.

(1836).

PIEŚŃ PIERWSZA.

WYJAZD Z NEAPOLU.

Muzo mdlejąca z romantycznych cierpień,
Przybądź i pomóż! Wzywam ciebie krótko,
Sentymentalna, bo kończy się sierpień,
Bo z końcem sierpnia i koniem i łódką
Puszczam się w drogę przez Pulią, Otranto,
Korfu... gdzie jadę? powie drugie Canto.

Tymczasem piérwsze opowiedzieć musi,
Skąd się wybrałem, po co i dlaczego.
Chrystusa dyabeł kusił i mnie kusi;
Na wieży świata postawił smutnego
Życia nicością i pokazał wszędzie
Pustynie, mówiąc: „tam ci dobrze będzie.“

A jednak, gdyby mniéj pamięci bolu,
Zachceń i marzeń, a więcéj rozsądku:
Toby mi dobrze było w Neapolu,
Gdzie przed oknami na prawym przylądku
Widziałem szare więzienie stolicy,
A zaś Wezuwiusz górą, po lewicy.

Błękitne morze pomiędzy więzieniem
A oną górą popiołów i lawy
Czekało ciche, aż góra płomieniem,
A konstytucyą buchnie wulkan prawy.

Tak było niegdyś, nim się na Francuzów
Król i Fra-dyabeł ruszyli z Abruzów.

Mówiłbym daléj, ale Pan Podstoli,
Dziady, a zwłaszcza tych Dziadów część czwarta,
Uczą porządku w opowiadań roli
Rysując proste ścieżki. Więc do czarta
Mego pegaza wyskoki i liczne
Opowiadania semi-historyczne!

Więc do porządku! A jednak mię boli
Dawać odsyłacz do pana Coletti,
Gdzie opowiada, jak trup Caraccioli
Z łańcuchem u nóg na morzu... Niestety
Przyrzekłem trzymać wędzidło na pysku
Apolinowym. Lecz powiém w przypisku. *)

A jeśli drukarz znajdzie, że do treści
Z podróży wątkiem zléwa się przypisek,
To go pod strofą poprzednią umieści,
Zmazawszy parę skrzyżowanych krések,
I nie dozwoli, by za gwiazdek tropem
Czytelnik gonił z Herszla teleskopem.

Przypisek winien być pisany prozą,
Lecz ja nie mogę pisać, tylko wierszem.
Ktoby pomyślał, że mnie rymy wiozą,
Że sobie konno usiadłem na piérwszym,
A za mną drugi jedzie krok za krokiem
Rym z parasolem, z płaszczem i z tłómokiem.

*) Przypisku tego w rękopiśmie nie znaleziono.
P. W.

Wierzcie mi jednak, że leksza od rymu
(Dla śniegów jechać nie mogłem przez Turyn)
Para mnie gnała z Marsylii do Rzymu;
Do Neapolu zaś przywiózł Veturyn.
Carozze jego i Cabrioletti
Zalecam wszystkim — zowie się Pavetti.

Zalecam nowy hotelik Vittoria,
Który staremu nie ująwszy sławy,
Tak się podzielił famą, jak cykorya
Wmięszana zgrabnie do mokańskiej kawy.
I marmurami, wygodą i luxem
Ze starym idzie, jak Kastor z Poluxem.

Zalecam także (zostanę Astolfem,
Bo mój hypogryf staje się skrzydlatym)
Zalecam także mieszkanie nad Golfem
Na świętéj Łucyi; a jeśliś bogatym,
Jeśli ci kura złote nosi jaja,
Mieszkaj przy Villa Reale, na Chiaja.

Dosyć już, dosyć! Wyznaję ze wstydem,
Że pohamować nie umiejąc weny,
Z wieszcza zostanę prozaicznym gidem;
Ja, com zamierzał wypłakiwać treny
Nad Caracciolim i kląć Ferdynanda,
Dziś piszę, jaka gdzie stoi lokanda.

Bo też kto dzisiaj jest na stałym lądzie,
A jutro myśli wędrować po morzu,
A pozajutro jeździć na wielbłądzie
Nie jedząc mięsa, ani śpiąc na łożu:
Chciałby Europę, co mu z oczu znika,
Unieść jak Jowisz przemieniony w byka.

Jeśli Europa jest Nimfą — Neapol
Jest Nimfy okiem błękitném, Warszawa
Sercem, cierniami w nodze Sewastapol,
Azow, Odessa, Petersburg, Mittawa;
Paryż jéj głową, a Londyn kołniérzem
Nakrochmalonym, a zaś Rzym... szkaplerzem.

Gdzieś porównanie podobne w Szekspirze
Na Niderlandach kończy się zamknięte...
Lecz ja wyjéżdżam pod Golgoty krzyże
Po święte myśli i szkaplerze święte.
Więc przed wyjazdem robię ślub niezłomny,
Że będę nieco zabawny — lecz skromny.

A jeśli kiedy mój przyjaciel Szekspir
Na złą myśl zagna rymy buntownicze,
Położę jaki suspir albo expir:
Z muzyki — znaku milczenia pożyczę
I muzę moję w rymowym balecie
Na zakręconym wstrzymam piruecie.

O Neapolu! ty niepożegnany
Czekasz, aż ciebie pożegnam epicznie.
Jak biała Venus, urodzona z piany,
Wyszedłeś z morza zapłoniony ślicznie
Skrawemi słońca zachodniego łuny,
Cichy, pod górą, co ciska pioruny.

O Neapolu, gdzie jest twoja dusza?
— Bo duszą twoją nie jest ruch i życie! —
Patrzę na ciebie z grobu Wirgiliusza,
A ty na niebie i na fal błękicie
Tak roztopiony w zorzy malowidła,
Jak upuszczona na brzég bańka z mydła.

O Neapolu! wieczorne wyziewy
Twym są rumieńcem, twe dymy są tęczą.
Harmonizujesz się tak, jako śpiéwy
Z ciszą powietrza: twe dzwony nie jęczą;
A twój domami okryty pagórek
Ma białość lekkich na błękicie chmurek.

Tylko po Chiai i po Margelinie
Idą przeciwne sobie dwa rynsztoki;
Rój mrówek lézie i rząd karet płynie,
Wszystko się rusza. Grób wieszcza wysoki
Właśnie tam stoi, dove fa il torso
Ulica; — z grobu patrzałem na Corso.

A choć przejeżdżał w prześwietnéj osobie
Królewic mały, choć mu się rój kłaniał,
Jam się nie skłonił; bom siedział na grobie.
Masztalérz jechał i kijem rozganiał
Mrówki idące w przeznaczenia drogę
Z królewicami..... gdzie? zgadnąć nie mogę.

Choć bardzo lubię filozofią Kanta,
Gniewam się na nią, że ludzi nie uczy,
Gdzie iść po śmierci. Wolę piekło Danta:
Właśnie je czytam podług nowych kluczy,
Które przyczyną może będą schizmu
Mówiąc, że Dant chciał republikanizmu

I w poemacie używał języka
Sekretnych związków. A gdy tajemnicze
Kładł majuskule, to podług krytyka
Na końcu rymu położone B. I. C. E.
Wcale znaczyło co innego w pieśni
Niż Beatrice. Wam się o tém nie śni!...

Z grobowca wieszcza widzę, jak nad głową
Wulkanu księżyc wysunął się biały,
A w góry stopach Castello del Ovo,
Zamek podobny do stérczącéj skały,
Gmach, co się trzyma przez królewską wolę
W morzu, jak jaje Kolumba na stole —

Zczerniał przy fali migającéj złocie; —
A gdy na niebie szafirowém ze dna
Gwiazd zapalonych wychodziły krocie:
I z okien zamku błysła gwiazda jedna
Czerwona, rubin zamglonych błękitów,
Siostra błyszczących gwiazd... u Karmelitów.

O gladyatory, wydarci ludowi
W godzinie zgonu i mrący na słomie!
Idę powiedzieć o was Chrystusowi
Pod Jego krzyżem, w Jego męki domie;
Idę zapytać głośno w Oliwecie,
Gdzie się zbudzicie i zmartwychwstaniecie.

I tam, gdzie Chrystus zapłakał sam w sobie,
Z oliwy bladéj gałązki rwać będę;
A jeśli znajdę, że już śpicie w grobie,
Liściami płaczu posypię tę grzędę,
Pod którą będzie cichy sen grobowy —
Kości bez czaszek i trupy bez głowy!

O bracia moi łańcuchami zbrojni!
O nie targajcie się wy jak w rozpaczy!
O bracia moi, bądźcie wy spokojni!
Słońce was jutro po kratach zobaczy
Bledszych wilgocią, strawą i myślami,
A ja was żegnam.... niech śmierć będzie z wami!

Żegnam i ciebie, o garsteczko prochów
Leżąca zawsze pod laurem klasycznym;
Turkot powozów z Pozylipu lochów
Woła pod tobą hymnem romantycznym,
Że sława przejdzie, a bryki nie przejdą,
Że ta bryk droga jest wieku Enejdą...

Most pod Tamizą jest kupców Iliadą —
I wiele będzie do sprzeczki powodów,
Czy jeden Rotszyld, jak wieszcz nad Helladą,
Czy też brzęczących kompania Rapsodów
Autorem mostu, gdzie w oknach przez szyby
Anglikom się w twarz przypatrują ryby.

Lecz niech mię ciemność Erebu ogarnie,
Jeśli okłamię Pozylipu grotę!
W ciemny korytarz spadają latarnie —
Jedna na drugą, jak gwiazdeczki złote;
A tam, gdzie nikną i gdzie ciemność krucza,
Światło dnia wpada, jak z dziurki od klucza.

I jeszcze wyżéj wzniosłszy się na duchu,
Powié ci muza w opisaniach szczytna,
Że na uwitym z latarni łańcuchu
Zawisła mała gwiazda dnia błękitna,
A w téj gwiazdeczki lazurowém łonie
Rodzą się ludzie, powozy i konie.

Rodzą się, rosną i w latarni błyskach
Idą większejąc długim korytarzem.
Jeżeliś nie był w romantycznych spiskach,
A jesteś przyszłych wulkanów malarzem,
Tu nie lękając się dyb i powroza
Zbiéraj modele, jak Salvator Rosa.

Lecz chodźmy w miasto! Już księżyc wysoko,
A golf ubrany latarni przepaską.
Stolico, gdzie nikt nie myśli głęboko,
Gdzie zabroniono nawet myśleć płasko,
Niech twój rząd stworzy jakie słowo święte
Na niemyślenie, jak na far-niente!

Dyjogenesów lud rynki zasiada.
Czego chcesz? pyta wolność Lazarona:
Zejdź z mego słońca — nędzarz odpowiada.
Jeżeli nie ma karlinów, to skona
Z głodu i pójdzie do łódki, gdzie Charon
Dusze przepławia..... wolność? czy Lazaron?

Wolność!... Już dla niéj uszyto symarę
Z gazet giovine Italia... Lazaron
Będzie żył, póki ma frutti di mare,
Niebo błękitne i żółty makaron
I koszyk, w którym leży jak ostryga.
Pytasz się, co w dzień porabia? — dościga!....

A młodzież lepsza, co ma grosz w kieszeni,
Tytuły Contów i w oknach firanki,
W cieniu dopiéro się ledwo zieleni...
Kto temu winien? — Neapolitanki!..
One to winny, że się lud nie budzi:
Bo któż z młodzieży umie robić ludzi?...

Ja wiem, że wiele winienem kochance;
Sama po włosku uczyła mnie czytać,
Improwizować (ale nie przy szklance),
Brwi smutnie marszczyć, we śnie płakać, zgrzytać,
Na Archipelag uciekać po laur
I awantury — jak Korsarz i Giaur.

Ona uczyła mię chodzić, jak scenarz
(Lepsze niż aktor słowo niech zostanie);
Wmówiła we mnie, że zamiast Ojcze-nasz,
Lepszą modlitwą... księżyco-wzdychanie;
Dziś mię nawraca bez żadnego skutku
Na katolicyzm... mam religią smutku!

I odpisałem... co? już nie pamiętam —
Coś odpisałem, lecz nie tak gorąco,
Jak Russo — ani tak sucho, jak Bentham:
„Jako dwie skały, kiedy je roztrącą
Strumienie rzeki, choć je most rozdziéra,
Patrzą na siebie niebem“ et cetera.

I znowu wspomnień pieśń dzika, echowa,
Zagrała w sercu i łzy moje płyną.
O Ludko! dziecka kochanko, bądź zdrowa!...
Jeżeli kiedy pod tą jarzębiną,
Co nieraz kładła koralowe grona
Na twoje włosy, siędziesz zamyślona;

Jeżeli książkę położysz przy sobie,
Jeśli szalona ta pieśń z tobą będzie: —
Kart nie odwracaj!... bo nim spocznę w grobie,
Będę ci śpiéwał, jak mrące łabędzie
Tak nieśmiertelnym płaczem, że raz jeszcze
Łez brylantowych osypią cię deszcze

I łzy się żywe rozbiegną po łonie
I strumień palce różowe otworzy,
Jeśli spłakaną twarz ukryjesz w dłoni.
Ja wtenczas będę spokojny; jak w zorzy
Gwiazda niknąca, blady; lub z obliczem
Pełném płomieni boskich... albo niczém.

Jednak jeżeli ten, co jest na niebie,
Słyszał o słońca mówione zachodach
Modlitwy moje — wszystkie nie za siebie,
A tak rozlane na świat, jak na wodach
Mórz lazurowych rozlewał się cały
Krąg tonącego słońca skrawo biały;

Jeśli Bóg wiedział, jak mi było trudno
Do tego życia, co mi dał, przywyknąć
I nie przeklinać... i drogą bezludną
Iść po tym świecie szalonym i niknąć,
Co dnia myśl jednę rozpaczy zaczynać,
Myślą tą modlić się i nie przeklinać;

Jeśli i Boga nie zwiodła udana
Spokojność moja, ta Chrystusa szata
Krwią poplamiona i drugi raz wdziana
Na duszę pełną bólu... i ze świata
Uciekającą na chmurach jesiennych
We dnie tak smutne, jak noce bezsennych: —

To mojéj duszy, dobytéj z popiołów,
Da wiele ciszy — i na jaką bladą
Gwiazdę do smutnych krainy aniołów
Przeniesie senną. Trupi prędko jadą,
Mówi poeta ballad w Leonorze;
Więc na niemieckim chciałbym siąść upiorze

I ruszyć w podróż; bo się pieśń przewlecze
Nie jedną jeszcze przerwaną ideą.
Jutro kuryerem wyjeżdżam do Lece,
Jutro więc zacznę śpiewać Odysseą
Albo wyprawę o Jazona runach
Na nowéj lutni i na złotych strunach.

PIEŚŃ DRUGA.

STATEK PAROWY.

Na morze statek wyleciał parowy;
Wre para, słychać dźwięk żelaza szklanny.
A jako z płaskiéj wieloryba głowy
W niebo srebrzyste tryskają fontanny,
Tak z pod okrętu młyńskiém bita kołem
Wytryska piana — a dym leci czołem.

Jeszcze nie rzucę porównania, chyba
Słów mi zabraknie. Ogień wre zamknięty
W drewniano smolném łonie wieloryba.
A jako niegdyś płynął Jonasz święty,
W łonie okrętu bez desek i miedzi
Wesoło, w liczném towarzystwie śledzi,

Zapewne nieraz śmiejąc się z kłopotu
Trawionych fląder, ostryg i czefalów:
Tak nasz kapitan i wódz paketbotu
Z pasażerami jak z tłumem wasalów,
Otyły, wesół, dowcipny i mądry
Nas ma za śledzie, ostrygi i flądry.

Tu majtek rudel obraca mosiężny;
Daléj zantejski sędzia i sędzina,
A między nimi synek niedołężny,
Sędziątko z twarzą zwierzęcą kretyna,
Może przekleństwo jakiego klienta,
Ubrane w takie ciało, jak zwierzęta.

Zdziwiony patrzy na okręt i twarze;
Nie wie, co znaczą łzy na matki licu,
Nie wie, że przezeń Bóg rodziców karze;
A nam widniejsze góry na księżycu,
Morza przy górach i na morzach statki,
Niż temu dziecku łzy na oczach matki...

Kapitan krzyknął Wirgilem: „Et tantæ,
Tantæne divis coelestibus ira?“
Na to się podniósł graf Salomon z Zante,
Poeta Grecki; ucho mu rozdziéra
Zmiana wyrazów i kradzież średniówek;
Więc chciał poprawić — lecz zabrakło słówek.

Może też słabość; bo prędko rękoma
Wziął się za serce i na dwóch lokai
Głośno zawołał nazwiskami dwoma;
Bo skoro tylko jeden się narai,
Zaraz poeta na drugiego krzyczy,
Aby wiedziano, że dwóch w służbie liczy.

Wielki poeto! Jako między skały
Rzucony tyran, tak ty w puchowniczki
Strącon słabością; a twój surdut biały
I glansowane białe rękawiczki
I twój z usłużnych lokajów paszalik
Świadczą, że jesteś coxcomb lub migdalik.

„O! znam ja ciebie, której ręka trzyma
Miecz w piorunową uzbrojony jasność;
O! znam ja ciebie, skrawemi oczyma
Na świat patrzącą, jak na przyszłą własność...“
Z takim to niegdyś do Wolności żarem
Przemówił ów graf — i został Pindarem.

Gdy go raz wieńcem uwieńczyła oda,
Mówią, że dzisiaj co napisze, spali;
Mówią, że wierszy popalonych szkoda;
Mówią, że przy nim wszyscy wieszcze mali.
Szkoda, że zamiast wiersze chować w szafę,
Czyni z nich codzień pan graf auto da fe!

Przy tym poecie, co był tak ognistym
Wewnątrz, a zwierzchu drżał jak galareta,
Siedział na środku w krześle rozłożystém
Senator, starzec z twarzą Epikteta,
Z uśmiechem słodkiéj starości na twarzy,
Z podagrą w nogach, z tłumem sekretarzy.

Jeden sekretarz był jak kropla wody
Podobny... Muzo, cyt! niechaj opinia
Żadna i żadnéj nie poniesie szkody.
Taki był pokład. Daléj biała linia
Od indywiduów oddzielała masy,
To jest podróżnych, ale drugiéj klasy.

Tam pod zieloną kolumną komina
Siedział Grek w czapce czerwonej i Turek,
Wzajemnie dymy rzucając z bursztyna;
A między nimi z tłómoków pagórek
Żółtych i czarnych — a koło téj góry
Kuchnia, kuchciki, kucharze i kury.

Przy piersi matek rozpłakane dzieci,
Przy bokach starców stoją flasze z gliny;
Czasem iskierka czerwona wyleci
Z czeluści statku i pomiędzy liny
Błąka się długo, nim zagaśnie smutna
Nie doleciawszy pod namiotu płótna.

Nad piérwszą klasą cień i lekkie chłody,
Nad drugą klasą cięży jakaś para
I komin sypie deszczem wrzącéj wody.
Proszę! za czworo nędznego talara
Można uniknąć piekła.... ale za to
W Paryżu nazwą cię arystokratą.

Miło tak płynąć w tym okrągłym świecie
Po morzu cichém, jasnolazurowém.
Wkrótce choroba z pokładu wymiecie
Tłum pasażerów i zostawi zdrowym
Odgłos dalekiéj po salonach czkawki,
Rozległy pokład i bezludne ławki.

Cicho. Dzień cały po błękitach bije
Okręt kręconą machinami skrzelą.
Już zbłękitniało Korfu — już się kryje;
Już się fortece Santa Maura bielą;
A z drugiéj strony przedzielona żwirem
Forteca Turków, w górach, pod Epirem.

Ta ani w buńczuk ustrojona koński,
Ani w błyszczące pióro półksiężyca,
Cicha jak kamień; kiedy zamek Joński,
By ustrojona do ślubu dziewica,
Ma kwiat na głowie, tysiąc iskier w oku,
Bukiet z latarni portowéj u boku.

A niech wie każda poetyczna Laura,
Każda sawantka z twarzą bardzo bladą
I księżycową, że ta Santa Maura
W starożytności zwała się Leukadą
I pod błękitnym unosi obłokiem
Skałę wsławioną biednéj Safo skokiem.

Znałem..... lecz szczęściem uleczoną z żalu
Safonę, bardzo podobną do greckiéj.
Ta się nieszczęściem kochała w Moskalu,
A Moskal zginął na wojnie tureckiéj;
Ta poszła zabrać na Warneńskiém polu
Zwłoki — a uszy w Konstantynopolu.

Smutna, ubrana w kwiaty sympatyczne
Poszła nieszczęsna na brzegi Marmora,
Kędy osobne biuro statystyczne
Liczyło uszy z rana do wieczora
I oddzieliwszy od niezgrabnych zgrabne,
Nizało stucznie na sznurki jedwabne.

I przyszła sama, smutna, jak Armida,
I rzekła z płaczem: „oddajcie mi skarby!“
— „Jakie?“ rzekł gruby Emir Bej Raszyda.
Chciała powiedzieć, lecz rumieńca farby
Zeszły na twarzy płaczącéj dziewczynie,
Bo nie znalazła frazesu w Korynie.....

„Wróćcie mi, wróćcie!“ i znowu zamilkła,
Patrząc na skarbów znizanych pół-pluton.
Zrozumiał Emir i dał sznurków kilka
I gładząc brodę śmiał się, jak Bóg Pluton;
Śmiał się, zważając na prośby szalone —
Orfeuszowskie, co prosił o żonę.

I musiał piekłu grać, jak Paganini,
Na jednéj strunie cały płaczu kwartet.
Ale powróćmy do naszéj bogini:
Chciała z rozpaczy umrzeć broken-harted,
Więc wiodła ciągłą z doktorami sprzeczkę
O krwi troszeczkę i jeszcze miseczkę...

Skało Leukady tykająca nieba!
Śmiéj się echami grot tłuczonych falą
Z lancetów, mdłości i pigułek z chleba! —
Noc bezmiesięczna, lecz gwiazdy się palą —
Sam na pokładzie, wichrem bity, blady,
Płynę przy skale nieszczęsnéj Leukady.

Piana pod piersi okrętu się garnie,
Stukanie pompy jak dźwięk idzie rymu;
Na maszcie statku błyszczą dwie latarnie
Pod obłokami kirowego dymu:
Zda się, że światła te zamglone sadzą
Okręt w krainę piekielną prowadzą.

Tesame gwiazdy i tasama skała,
Tosame morze! Lecz gdzie na téj skale
Postać kochanki pogardzonéj biała
Jak drugi księżyc? gdzie? tu — o dwa cale,
Pod tą podłogą, gdzie lampa się pali,
Safo śpi jakaś — sama, w kobiet sali....

Raz tylko wyszła na pokład i słońce,
Siadła na ławce, spojrzała w błękity
Tak mglistém okiem, że się zeszły końce
Rzęs długich, czarnych — i wzrok był przykryty
Cyprysem oczu; nie spojrzała w żadną
Twarz na pokładzie — kiedyś była ładną.

Zniszczył ją smutek. Smutna poszła w ciemność
Na dno okrętu; a z wierzchu mówiono,
Że tę kobietę dręczy niewzajemność,
Że przed miesiącem była mniéj niż żoną,
Więcéj niż..... dyabła! niech dokończy zycer....
Że ją angielski porzucił oficer.

Mój czytelniku, uderz się ty w piersi!
Bądź na pokładzie okrętu, w noc ciemną,
Przy skoku Safo: a będziemy szczersi.
Ja ci opowiem, jaki cień był ze mną
W ciemnościach nocnych... co za mną tułaczem
Biegło po morzu z przekleństwy i płaczem.

Sumienie moje, niewidome światu,
Jak Nereida wyszło z morza głębi;
Na czole pełne liliowego kwiatu —
I znów, jak Wenus, na wozie gołębi
Leciało między gwiazd sferami, śliczne,
Pół chrześcijańskie, pół mitologiczne.

Bo przez noc całą tak ciemną, tak mglistą
Co robić? — serce własne gryść i kąsać?
Trzeba nareszcie zostać panteistą,
Poznać się z duszą natury i pląsać
Z czarownicami, co się stają widne,
Podług strawności — piękne lub ohydne.

Ave Maria! Już rosy brylanty
Sypią się z nieba i niebo różowe.
Już przypływamy — i nad czołem Zanty
Widać fortecy uzbrojoną głowę
W niebie, nad miastem. Już wychodzą różni
Na pokład statku zmytego podróżni.

Ten pije kawę, ów rozciąga członki;
Wszyscy się zdają rozrastać jak krzewy.
(Naszeby damy mówiły koronki.)
„Bon jour!“ Tak do mnie akcentem z Genewy
Przemówił młody Zantejczyk, figura
Przez lat dwanaście kształcona na jura.

Przez lat dwanaście uczona w Genewie,
Zdala od ojca, matki i ojczyzny...
Może, czy wszyscy jeszcze żyją — nie wie;
Może nie pozna pod śniegiem siwizny
Zmienionych twarzy! Nim został studentem,
Jechał, dziś wraca tymsamym okrętem...

Tesame deski, co go dzieckiem niosły,
Dziś odnosiły do domu człowiekiem.
Gdyby tak drzewom przypomnieć, że rosły:
Toby się sęki zasklepione wiekiem
Same otwarły, przez kory szczeliny
Niepowstrzymanych łez lejąc bursztyny.

Ale ten człowiek był, jako Ilissos
Pod Atenami, bez fal i bez wody:
I tensam statek, tensam Heptanissos,
Co go odnosił w rodzinne zagrody,
Dla niego prostą był tylko machiną,
Na któréj ludzie za pieniądze płyną.

Z jakiéjże gliny byli ulepieni
Ci, co wracając na ziemię ojczystą,
Padali czołem na czoło kamieni,
Całując ziemię chwastami nieczystą,
Zimną.... co nieraz, nim usta oddarli,
Na głazach ziemi całowanéj marli!..

Ojczyzno moja! może wszyscy wrócą
Na twoje pola, ale ja nie wrócę!
Śmierć — lub to wszystko, co mi losy rzucą
Na kamienistéj drodze życia — płuce
Ogniem pożarte, widziane oczyma
Sny straszne twarzą: wszystko mię zatrzyma!

Wszystko mię wstrzyma w obcéj ziemi łonie
Umarłym, może jednę chwilę wcześniéj
Niż zmartwychwstanie twoje, o Syonie,
Jerozolimo, trapiona boleśniéj,
Niż gród Chrystusa!.... A gdy na twą grzędę,
Ojczyzno, inni powrócą — spać będę!

PIEŚŃ TRZECIA.

GRECYA.

I zaraz ku nam olbrzym Adamastor
Wyjechał z Zante na barce Trytonów;
Na głowie swojéj miał pomięty kastor,
Surdut na plecach, parę pantalonów.
Nie epopeję pisząc, nie idylią,
Powiém, że to był metr hotelu Giglio.

Stanął i zaczął trwożyć: O! nie płyńcie
Na greckie brzegi — w Patras kwarantana!
Lepiéj do mego hotelu zawińcie,
Oberża moja podróżnikom znana!
W Patras musicie dni dziesięć i cztéry
Przebyć kwarantan — od osp i cholery.

Chociaż poznałem, że to syn Adama,
Nie Adamastor stał przy nas na łodzi,
Zląkłem się bardziéj, niż bohatér Gama.
Lecz pomyślawszy rzekłem: Nic nie szkodzi —
Płynę do Patras, sam ujrzę w Patrasie,
Czy jaką szkodę poniosę na czasie.

A ty, co trwożysz, maleńki Cyklopie,
Zamiast nas pożréć zatrzymanych trwogą,
A może miłych jakiéj Penelopie,
Prowadź nas w miasto — albo lotną nogą
Śpiesząc przed nami, na stołach bez Harpii
Postaw nam zrazów, bifsteku i karpi.

Zamiast nas pożréć, my ciebie pożremy,
Jeżeli obiad nie wystarczy głodnym.
Z taką odprawą oberżysta niemy
Odjechał. Ja zaś z czołem niepogodném
Jako Eneasz modliłem się: „Panie,
Nie daj mi w greckiéj siedzieć kwarantanie!“

A potém wszedłszy na fortecy góry
Spojrzałem: Zante szmaragdami siana,
W szczerych szafirów oprawna lazury,
Niebem i morzem dokoła oblana,
Taiła mnóstwo domków w głębi łona
Z domkiem poety, hrabi Solomona.

Szczęśliwy! zastał swój ogród i drzewa,
Swoję kanapę i okno na morze,
Swój miły stolik, gdzie pisze i ziéwa,
Swoje gazami oskrzydlone łoże;
Może dziś będzie cieszył się lub szlochał,
Patrząc na domek, gdzie kocha, lub kochał...

Miło powrócić i usiąść na ławach
Przed własnym domkiem, gdy ucichną gwary,
Gdy nocne świérszcze i koniki w trawach
Zaczną piosenkę nocy, a pies stary
Łapą drzwi chaty zawartéj otworzy,
Przyjdzie i u nóg pana się położy;

I myśleć wtenczas: O fale! o fale!
Szumcie wy głucho pod okrętu łonem.
Patrzę na gwiazdy i cygaro palę
I nieraz wielkim rozpaczy pokłonem
Biję przed Bogiem, gdy z chmurnych obsłonic
Błyska... Modlę się... lecz nie proszę o nic.

Miło być także na morzu ozłotném
Błyskawicami i białym ognikiem;
Miło być także dumnym i samotnym —
I niedzielone mieć uczucia z nikim,
I nad powietrza ulatując ciszą
Słuchać harf takich, jak ludzie nie słyszą.

Chrystus nas woła: Wy, którzyście smutni,
Chodźcie na łono Ojca!... Patrz w błękity:
Oto gwiazd siedem—wszystkie w kształcie lutni—
Wychodzą z fali tam gdzie zorzy świty
Mają zabłysnąć. Lutnio ogniem sina,
Na tobie dzwoni północna godzina,

Godzina cicha, tajemnicza, senna —
Na wielkiém morzu falą wahanemu:
Oto nad lutnią lśni gwiazda promienna —
Dowiąż gwiazd dziesięć ogniowi złotemu
Okiem i myślą, a z niebios wyleci
Koń, który parska gwiazdami i świeci.

Gdy go raz oko z błękitów wyczyta,
Już go nie straci i myślą nie zmaże.
Na strunach lutni położył kopyta:
W nozdrzach, jak w rumu zapalonéj czarze,
Płomyk wytryska wielki, błękitnawy,
Czasem, jak w nozdrzach Arabczyka, krwawy.

Za temi gwiazdy wychodzi Dyjanna,
Z gwiazd najświetniejsza, a najmilsza oku,
Gdy ją obleje światłem zorza ranna,
Kiedy w różanym topniejąc obłoku,
Z błękitnéj razem staje się zielona
Jak listek, potém czerwieniąc się kona.

Lecz kiedy wyjdzie, nim zorzą pobladła,
Zapowiadając prędkie cieniom końce:
Błyśnie ci w oczy, jak kawał zwierciadła,
Z którego dziecko rzuci tobie słońce;
A gdy nad smutnym takie blaski roni,
Przywykasz razem do smutku i do niéj.

Niebo na wschodzie okrywa purpura,
Potém ją skrawa zastępuje białość,
A róż odcięty, jako lekka chmura,
Płynie w błękity... O! klasyczna stałość!
Nieraz widziałem przez ten obłok cienki
Łono sypiącéj różami jutrzenki.

I dzisiaj — pełna jasnego brylantu,
Rosy, róż pełna, wyleciała do mnie
Z błękitnéj fali z po nad gór Lepantu;
A za nią słońce rozlane ogromnie
Wyszło, jak zégar wieczystego czasu,
Nad błękitnemi górami Patrasu.

Takie olbrzymie twarze Nibelungi
W północnych pieśniach opisują. — Słońce!
Piérwszy twój promień padł na Missolungi,
Gniazdo, gdzie niegdyś wolności obrońce
Sto razy większym oparli się siłom,
Kapitulacyi nie biorąc mogiłom.

Jeżeliś widział rząd domków i fraszek
Poustawianych na dziecinnym stole,
Tak owe miasto. Cóż to? biédny ptaszek
Leci przez morza lazurowe pole,
I pada przy mnie na ławie, a potém
Kania z ogromnym twardych piór łoskotem

Lecąc, o ławki stuknęła się drewno
I długo w statku zabłąkana liny
Na morze wyszła z pieśnią płaczu gniewną.
A ja patrzałem na serce ptaszyny,
Jak biło, jak się układały piórka
Do spokojności... była to przepiórka.

O Missolungi! czy pieśń moja zdąży
Za pieśnią wieszczów, co sławili ciebie?
O Missolungi! — Jak ta kania krąży
Żelazném skrzydłem po morzu i niebie!
Jak oczy iskrzą się nad dziobu hakiem!..
— Ten biédny ptaszek jest prawie Polakiem.

Dla niego może Kościuszkowskim czasem
Było zniszczenie w Missolungi gniazda;
A dziś — gdy kania z okropnym hałasem
Piór natężonych, jak lecąca jazda
Kirasyjerów na polach Grochowa
Goniła... Lecisz ptaszyno? bądź zdrowa!

Lub niech cię kania zjé — boś mi przerwała
Do Missolungi już zaczętą odę.
Ta sobie stoi maleńka i biała
Pod górą — patrząc na błękitną wodę,
Jako nad Styxem zebrane do kupy
Białe umarłych domków kościotrupy.

Stoi nad brzegiem, nie owiana liściem
Żadnego drzewa; lecz na nią upada
Z gór czatujących nad Lepantu wniściem
Ciemność i światło — a każda z gór blada
Mgłą błękitnawą, a jedna z gór mroczna,
Jak piramida stoi sześcioboczna.

Tak równe ściany pokazuje słońcu,
Tak równe boki ma cieniem pokryte,
Tak ciężka spodem, tak lekka na końcu,
Jako pod niebo ręką ludzką wzbite
Z cegieł pomniki... Nim się ten kraj wsławił,
Bóg wielki przeczuł i pomnik postawił.

Nie uwieńczona śniegowemi śrebry,
Musi być u stóp śniegiem kości biała.
Gdybyś Byronie był nie umarł z fébry,
Ale od bomby, kuli, lub kindżała: —
Dałbym téj górze posępnéj nazwisko
Grobu twojego — a Parnas tak blisko!

I mnie dziś łatwiéj wléść na szczyt Parnasu,
Niż ludziom przebyć przed świętym aliansem
Rów wykopany. Trzeba na to czasu!
Na Parnas będą jeździć dyliżansem
Wieszcze Europy — a republikanie
Za lat dwadzieścia... kto wie, co się stanie?

Wierzę w republik Ojca jedynego
Robespierra (to Trybuny wina,
Że został Ojcem). Credo w Mochnackiego,
Rzeczpospolitéj jedynaka syna,
Co wielkich marzeń nie przestając snować,
Przez Dyktatora dał się ukrzyżować.

Potém zaś wstąpił do arystokracyi
I trzy dni bawił; a po téj troszeczce
Przyszedł w obliczu przyszłéj generacyi
Sądzić umarłych i żywych — w książeczce!
Weń uwierzywszy z dwóch tomów zaczętych,
W emigracyjnych wierzę wszystkich świętych.

I w obcowanie ich ducha z narodem
I w odpuszczenie naszym wodzom grzesznym
I w zmartwychwstanie sejmu pod Herodem
Obieranego; a gdyby mię śmiésznym
Nie okrzyczano, powiedziałbym grzeczny,
Że w tego sejmu wierzę żywot wieczny.

Zrobiwszy taki sumnienia examen,
Takie wyznanie, biédny wierszokleta,
Chciałbym dokończyć i dobić... lecz Amen
Uwięzło nagle, jak w gardle Makbeta.
Zacząłem pisać — teraz z wielką biédą
Biję się w głowę, jak zakończyć Credo?

Wierzę, że idą ludy, jako chmura
Pełna błyskawic, na trony zachwiane,
Wierzę, że nawet królewska purpura
Pruchnieje w trumnach; wierzę w zatrzymane
Lawy żołnierza, tam gdzie stanął Kokles;
Wierzę, że Milcyad żył i Temistokles.

Wierzę, że jeszcze żyje dziś Kanaris,
Bo właśnie teraz wracam z jego domu;
Bo sam widziałem, jak błękitów Farys
Od ogniowego opalony gromu
W Patrasie grecką dowodzi flotylą,
Wierzę, bo sam go widziałem przed chwilą.

On, co żył niegdyś jako salamandra
W ogniu brulotów — dziś spokojny mieszka
W domku glinianym, jak domek Ewandra;
Dzikimi chwasty zaplątana ścieżka
Do progów jego prowadzi — przed progiem
Odłam marmuru, co był kiedyś Bogiem.

Belek się ledwo dotykały heble,
W ścianach obficiéj powietrza niż gliny;
Sosnowe szczeble i niebieskie szczeble,
To jest deszczułki z sosen i szczeliny,
Wiodą na piętro — wejście, piérwsza próba,
Już było dla mnie, jako sen Jakóba.

Sen mi pokazał aż w Litwie niebieską
Niezabudkami rzeczułkę — przy zdroju
Miejsce kładkową przeskoczone deską,
Zawsze błękitne i zawsze w pokoju,
Dokoła w kalin ustrojone wianki
Było kąpielą gwiazd i méj kochanki.

Nie wiem, dla czego — lecz nieraz w gorąco,
Gdy się na upał zaczynają skarżyć
Świérszcze piosenką po trawach syczącą,
Szedłem na kładkę — czytać albo marzyć.
I tak czytałem niegdyś walkę Greka
Jak dziecko, które czegoś chce i czeka.

Chce z głębi wody ślad srebrzysty dostać
(Rankiem kąpała się Ludka w téj wodzie);
Czeka, czy biała i powiewna postać
(Widać aleje i lipy w ogrodzie)
Może z pod wielkiéj jarzębiny wstanie
I wyjdzie... Dziwnie uczące czytanie!

I czytam marząc, jako Ipsylanty
Zwyciężył — ginął... i dał Grecyi brata;
A kiedy czytam, to rosy brylanty
Strząsając zefir po kwiatach przelata
I fale w złote pomarszczywszy prążki,
Przewraca karty welinowe książki...

Kartki rozwiane przycisnę kamykiem
I będę czytał. Oto wódz naczelny
Demetrius licznym dowodzący szykiem,
A za nim... czarny hufiec nieśmiertelny;
Każdy z nich mocny, każdy bez nadziei...
Skąd są? — powstali z mogił Cheronei...*)

*) Ostatnia batalia Greków przeciw Filipowi II macedońskiemu i Alexandrowi W.

Wszyscy—prócz wodza!.. ten nie zmartwychwstanie,
Zabity mieczem zgubionéj stolicy!
Lecz innych dusze jak w urnowym dzbanie
Chowane w piersiach marmurowéj lwicy,
Która im była pomnikiem po śmierci,
Wyszły — i pomnik rozpadł się na ćwierci.

Pierś lwa rosnące roztrzaskały dusze!
I dzisiaj leży na samotném polu,
Jak wielkie prochem rozsadzone kusze;
A głowa pełna przedwiecznego bolu
Padła na ziemię — zda się, że spoczywa
Wydaną duszą smutna i straszliwa.

Długo Grek patrzał na tę lwicy głowę,
Jak na zamilkłe nieszczęściami wróżki.
Snycerz dał smutną marmurowi mowę;
Patrząc — słyszałem dwa słowa Kościuszki,
Finis Poloniæ, przechowane w głazie,
Jak łza w kamieniu — albo myśl w obrazie.

O Cheroneo! o Maciejowice!
Cyt... coś białego śród liści jaśnieje...
Ach nie! to tylko białe gołębice
Przez ogrodową leciały aleję...
Chodź znowu książko na kwiaty rzucona,
Będę znów czytał — to jeszcze nie ona.

Pieniędzy! krzyczą — Grek rzuca na szalę
Dyjamentową oprawę pałasza;
Nie dosyć jeszcze -- rzucił miecza stale,
Płaci żelazem... Już Ibrahim Basza,
Jak Nil, co wszystkie wody na świat wyda,
Lub jak waląca się z gór piramida,

Spada na Grecyą. — Gdzie są Termopile,
Po których niegdyś wąż Xerxesa przelazł?
Gdzie są ci ludzie, co żywota chwile
Licząc nie drżeli i marli?.. Zawellas
W polach Klisowy z ośmiuset człowieka
Zastąpił drogę dwom Baszom — i czeka.

Słyszę, jak serce w moich piersiach bije;
Zda się, że patrząc w trup Leonidasa,
Patrząc głęboko — czekam, aż ożyje: —
A wtenczas ani jasnych kwiatów krasa
Ani lecący aleją gołąbek
Nie obłąkały mych oczu, ni rąbek.

Lecz wtém nadzieja odbiegła mię wszystka:
Zerwałem różę, co tam kwitła świeża,
I przywiązawszy do każdego listka
Myśl i życzenie i życie rycerza
I Zawellasa... o szaleństwo młode!
Wszystkie te listki rzuciłem na wodę.

I jeszcze listków zostało mi trocha:
Myśląc, że siane w ziemi nie zakwitną,
Więc jeszcze jeden listek — czy mnie kocha?
Posłałem falą wędrować błękitną;
I nie wiém, jaki los tamte pochłonął,
Ale ostatni — pamiętam — utonął...

I znowu książkę rozłożyłem białą
I zimne karty zacząłem całować
Wołając: Greki, niechaj ginę z chwałą!
Wy mnie nauczcie, jak wrogów mordować,
Jak rzucić drogę marzeń księżycową
Z umarłém sercem i z twarzą surową...

I marząc o krwi z uczuciem tygrysa,
Stężyłem członki, krew czując na licu...
Słyszycie tętent?.. to koń Botzarisa!
W obóz turecki leci po księżycu;
A nim się straże obudzone zwarły,
Botzaris w Baszy namiot wpadł — umarły...

I odezwały się w górach klasztory;
A nie były to pogrzebowe dzwony,
Które kupuje na śmierć człowiek chory;
Lecz jakieś wielkie pomięszane tony
Płaczu, rozpaczy — wyjące po skałach,
I większéj zemsty głos — zamknięty w działach.

A wielkie morze, lazurowe morze,
Któremu niegdyś poświęcano w Aulis
Córy królewskie... ciebie teraz porze
Między flotami tureckiemi Miaulis;
Z nim jest drewniana ateńska forteca,
Którą Kanaris brulotem oświeca.

Obydwa płyną uwieńczeni w laury
Wydarte morzu — prędkim pędzą lotem;
A ów Kanaris zda się, jak centaury,
Na pół człowiekiem, a na pół brulotem.
Ten człowiek śmiały i pan dwóch żywiołów,
Którymi niszczy — czy ma twarz Aniołów?

Czy pod nim, jako pod niebieskim duchem,
Cicha się łódka nastąpiona nie gnie?
Czy jego wiosło niesłyszane uchem?
Czy ogień za nim jak pies wierny biegnie?
Jak on wygląda, gdy błękitne morze
Pięć jego czółen oblało w Bosforze?

Sultan go widzi — lecz zniszczyć niezdolny!
Nie zgasi nawet płomyka w stambułce
Wodza greckiego... Oto konik polny
Usiadł przedemną na cichéj rzeczułce,
I suszy skrzydeł przezroczystych szkiełka
Błyszczące w słońcu, by tęczy perełka.

I suchą nogą, na źdźble żółtéj słomy,
Dziecko powietrza, wędruje na łódce
Przez zwierciadlane rzeczułki załomy,
I port w rozchwianéj znajdzie niezabudce,
Albo popłynie daléj z nurtem wody
Pod brzóz płaczących nachylone chłody.

A kiedy płynął i śrebrzystym rysem
Znaczył rzeczułki fale zwierciadlane,
Myśl moja cała z wielkim Kanarisem
Płynęła za nim, w kraje malowane
Piękną przyszłością... i widziałem życie
Z twarzą na słońcu — z oczyma w błękicie.

O przyszłość, przyszłość!—Jam się tak do ciebie
Uśmiéchał dzieckiem! — ty z taką światłością
Dni moje siałaś, jak gwiazdy na niebie!
A moje smutne dzisiaj... jest przyszłością?
Kwiat spodziéwany na wątléj łodydze
Życia mojego — rozwinął się... Widzę —

Co? jeszcze w myślach owe przyszłe chwile,
Jeszcze marzone dawniéj Greków twarze,
Jeszcze Kanaris — na słomce motyle,
Jeszcze nad księgą leżę, jeszcze marzę...
I chciałbym cały włosem się osłonić
Nad dawną księgą — i dawne łzy ronić;

I być zbudzonym, jak dawniéj — nad rzeką,
Gdy na aleje złote słońce spadło;
Kiedy słyszany jakiś głos daleko
Wołał, jak echo; gdy w rzeki zwierciadło
Patrząc — patrzałem na twój wzrok uroczy,
Nie śmiejąc prosto patrzeć w twoje oczy...

PIEŚŃ CZWARTA.

PODRÓŻ KONNA.

Czytałem kiedyś wielkie porównanie...
Jak wystawiony na niebieskie rosy
Pielgrzym, gdy ze snu głębokiego wstanie,
Listek uwiędły, co mu spadł na włosy,
Odrzuca z czoła: — takieś ty skaliste
Nakrycie grobu precz odrzucił, Chryste! *)

Lecz kiedy przyjdzie zmartwychwstanie ludu,
Kiedy się skończy sen pełny omamień:
Jakiegoż trzeba będzie wtenczas trudu,
Aby odwalić nasz grobowy kamień?..
Ów marmur, pełny naszych cierpień rytych,
Na którym modlą się dzieci — zabitych?

Patrząc na oczy pełne błyskawicy,
Na czoło króla płomieni brązowe,
Pytałem znanéj mu już tajemnicy,
Bo sam odwalał kamienie grobowe
Z grobu uśpionéj głęboko ojczyzny;
Musi znać leki — bo zna wszystkie blizny.

---

*) Oda Manzoniego na Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa.

Pytałem Greka; — ale w nim już nie ta
Z kradzionym ogniem pierś Prometeusza!
Moje pytanie było, jak Hamleta
Metafizyczne słowo — czy śni dusza?
Kładzione zawsze na grobach od wieka,
Nierozwiązane dotąd przez człowieka.

Chciałem mu nadać wielkość Washingtona,
Mojém pytaniem na zbawcę pasować;
Bo też mu złotych brakło milijona,
A mógłby spalić Stambuł, zamordować
Tylu wezyrów, tyle krwi wytoczyć,
Że Sułtan miałby gdzie pióro umoczyć

I czém podpisać na wolność firmany
I Kanarisa odesłać z krainą
Temistoklesa, przez drewniane ściany
Zdobytą. Dzisiaj Rigny — Nawarino
Kanarisowi wykradli jak Parys
Helenę sławy. — Czy cierpi Kanaris?

Nie wiém... Czy orzeł kiedy myśli o tém,
Że kiedy w zimie słońce zda się nisko,
Mógł o południu natężonym lotem
Doleciéć — patrząc oczyma w ognisko —
Niebieskich krain?— myśl głupia dla ludzi,
Lecz może dręczyć orła, co się nudzi...

Ale powtarzam, myśl głupia dla świata
Mogła się przyśnić orłowi na skale,
Lub temu z ludzi, co jak orzeł lata...
Dosyć! — cygaro hawańskie zapalę
Temi strofami, które nie są odą
I do niczego mądrego nie wiodą.

I właśnie takie ciężkie i nietrafne
Z ust wychodziły moich parabole,
Kiedy żądałem, by słowa jak Dafne
W laur przemienione kładły się na czole
Zapomnianego przez ludzi Greczyna;
Lecz że świat taki — to nie moja wina!

Możebym także chciał (to wszystko mary),
By jaki człowiek spotkawszy w ulicy
Moję figurę, włożył okulary...
Po dyabła nosić sławę w tajemnicy?
Cieszył się Dante, gdy przekupka rzekła:
Patrzcie! ten człowiek dziś powrócił z piekła.

Ja bardzo lubię sławę popularną,
Lękam się bardzo wymuskanéj sławy;
Dlatego każę na bibułę czarną
Bić nowe dzieło — gołe, bez oprawy;
I wyjdzie na świat książeczka pokorna,
Jak gdyby z pod pras Bogumiła Korna. *)

O moja głupia Muzo, zapominasz
Uszanowania winnego księgarzom!
Ja nie znam Korna — mówią, że luminarz...
A zaś skład jego podobny cmentarzom,
Gdzie sobie cicho autorowie leżą,
Co lato ziemią przysypani świeżą.

A czasem zajrzy Bogumił na cmentarz,
Patrząc, czy kiedy nie zjadł się w letargu
Jaki kalendarz albo elementarz;
A kogo kocha — tego na świat targu
Drukiem prowadzi... i stawia za kratą,
Wieńcząc go świeżą laurową erratą.

*) Głośny czasu swego księgarz i wydawca wrocławski.

O mój księgarzu wrocławski, o Kornie,
Dokończ téj strofy!.. dalibóg zaczęta
I pindarycznie żywo i wybornie;
Lecz moje pióro nigdy nie pamięta
O drugim wiérszu... wbrew dawnéj przestrodze,
Nim piérwszą stawisz, myśl o drugiéj nodze.

Tak chciał Feliński: wiersz skomponuj drugi,
A potém piérwszy dosztukowuj zgrabnie;
A będą mocne — i łańcuch się długi
Nie przerwie nigdy, nigdzie nie osłabnie;
Na takim niańki uwiązani pasie
Chodzą dawniejsi wieszcze po Parnasie.

Lecz ja... Dobranoc!.. jutro zorza złota
Ujrzy mię w siodle i na Rossynancie,
Tam gdzie Cerwantes, autor Donkiszota,
Utracił rękę. — Mój obraz w Lepancie
Będzie odbijał się tak lazurowie,
Jak cień Quichota w Cerwantesa głowie.

Naprzód malować trzeba kawalkadę,
Która się brzegiem Lepantu pomyka.
Guid jedzie przodem, a ja za nim jadę...
Lecz wam opiszę pierwéj przewodnika,
Który albańskie rozwiawszy wyloty,
Jechał na koniu, gdyby motyl złoty.

Na kapeluszu słomianym miał mycę
Do roziskrzonych podobną płomyków;
Ze sztuki płótna marszczoną spodnicę;
Gadał mozajką dziesięciu języków;
Śmiał się, jak dziecko — a dzieckiem był prawie;
Śpiéwał — jak polny konik śpiéwa w trawie.

Twarz jego młodą gdzieś widziałeś we śnie,
Może na jakim widziałeś rysunku,
Gdzie młody Greczyn, wysłany za wcześnie
Z ojcowskiej chaty w wojennym rynsztunku,
Patrzy na Turków oczami tygrysa...
Na litografii zgonu Botzarisa.

Są twarze w ludach powszechne, c'est tout clair —
Tłómaczyć przyczyn byłoby to wstydem;
Wreszcie opisze go wam książę Pukler
Muskau — co z naszym podróżował guidem
I pokazywał swą karykaturę
Grekom, wylazłszy nad Parnasu górę;

Który się nie kładł spać, aż biła czwarta;
Który chciał ogród założyć niemiecki
W guście angielskim tam, gdzie była Sparta;
Dla Bawarczyków pozawieszać niecki,
By się hojdając, z krainy Likurga
Mogli przenosić myślą — do Strasburga;

Który — to zawsze mówię o tym księciu,
Niechaj pamięta autor o autorze —
Który zasnąwszy w wieczór w przedsięwzięciu,
Zbudzony — spytał się: w jakim kolorze?
A rząd bawarski myśląc o sadzonym
W Sparcie ogrodzie — powiedział: w zielonym...

Który się o to obraził... i chwilę
Zastanowiwszy się — po kilku chwilach
Tak zadrżał gniewem, że wszystkie motyle
Na kapeluszu siedzące na szpilkach
Zaczęły spadać i kłuć w nos Otona.
O zemsto... mówią, żeś słodka — ty słona!

Adieu, Puklerze, bo mi nie do uszu
Twe imię, w rymów sadzone ogrodzie;
Podróżuj w twoim wielkim kapeluszu,
Co tak wygląda, jak żagiel na wodzie,
W górach jak tarcza okrągla Pelida,
Nad ruinami Bogów... jak Egida.

Bądź zdrów! — a jednak miałbym prośbę małą
Do waszéj Mości książęco-autorskiéj,
Ażebyś także moje grzeszne ciało
Na koniu skréślił — na szkapie cecorskiéj
Tak musiał niegdyś Żółkiewski ponury
W trzy dni po zgonie straszyć grzeszne ciury...

Trudno znać siebie, powiada przysłowie;
A ja powiadam: trudniéj widzieć siebie
Przez te szkła biédne, które w naszéj głowie
Oprawił stwórca — kryjąc się na niebie
Tak że choć błękit przenikniecie do dna,
Skryta wam jedna rzecz... widzenia godna...

A druga także rzecz bardzo ciekawa
Dla nas — my sami — także nam ukryta;
Szczęście, że wierne zwierciadło i sława
Często niewierna — wszak wiécie, kobiéta —
Dopomagają nam szkłem i umysłem
Patrzeć na siebie... i są szóstym zmysłem.

Dlatego bardzo i gorąco żądam
Widzieć się kiedy w gazet artykule
Takim, jak jestem — albo jak wyglądam...
Tymczasem muszę całą ziemską kulę
Przebiegać sobie samemu nieznany
Z twarzy i z głowy niewymalowany.

Szczęśliwy Józef Poniatowski (czyli
Szczęśliwy, gdyby nie umarł), że widzi
Siebie samego w najciekawszéj chwili
Na każdéj ścianie. — A niech nikt nie szydzi
Z téj strofy, bo ją skończy myśl Solona:
„Nie mów, że człowiek szczęśliwy — aż skona.“

Zaprawdę ja wam powiadam, co rzekły
Przedemną usta filozofów wielu,
Że... Lecz nad zwyczaj staję się rozwlekły;
Więc nic nie powiem — i prosto do celu
Nie zatrzymany strofą ni morałem
Na moim koniu biédnym — pędzę czwałem.

Hop! hop... jak upior... obracam tak nogi,
Że kwadratowe tureckie strzemiona
Kolą w bok konia jakoby ostrogi;
A moja szkapa z wiatrami puszczona
Pędzi, jak gdyby czuła żłób koniczyn;
Lecz wtém zwolniłem kroku... dla trzech przyczyn.

Primo: towarzysz mój (a tu mi skłonno
Aż do łez, pomnąc na konia strukturę)
Był jako człowiek, który idzie konno;
A kiedy biédne zwierzę szło pod górę
I chociaż mogło iść o własnéj mocy,
Jeździec udzielał mu swych nóg pomocy.

I tak się razem nieśli. O widoku
Rozczulający! łez nie pojmie profan.
A jako niegdyś w błękitnym obłoku
Sokrata skreślił błazen Arystofan
Latającego po niebieskim sklepie
Na żółwia nogach w szyldkretu czerepie:

Tak ja po greckich w gimnazyum naukach
Mógłbym podobną ubawić was sceną,
Wymalowawszy na głębokich jukach
Ukochanego filozofa Zeno,
Który w téj chwili przez niemożność skoku
Był piérwszą z przyczyn, że zwolniłem kroku. *)

Druga z tych przyczyn była także cnotą
Filantropiczną: właściciele koni
Za kochanymi końmi szli piechotą;
Jeden, jak Turek, miał turban na skroni,
Drugi, jak ojciec podobny do syna,
Belwederskiego miał twarz Apollina.

Trzecią z tych przyczyn, dla których wstrzymana
Wietrzność mojego była wiatronoga:
Oto że nagle ja i karawana
Przyszliśmy, gdzie się zakończyła droga
Przeszkodą — wprawdzie dla Mojżesza małą:
Z téj strony morzem, a z téj strony skałą — —

Więc wszystkich świętych wezwawszy i biesa,
Rzucam się w morze... czy w cuda wierzycie?
Z fali stracona ręka Cervantesa,
Jak cień wielkiego nosa na suficie
Wyszła, figowe pokazując godła
Światu — a mnie zaś przez fale przewiodła.

I opryskani falą o brzeg bitą,
Na popas w małym stanęliśmy khanie;
Tam z głową senną, cieniem drzew nakrytą
Inni spoczęli przy chrościanej ścianie,
A ja, nie spity napojami maku,
Znalazłem grotę — w Rododendrów krzaku.

---

*) Mowa jest o Zenonie Brzozowskim, który w téj podróży towarzyszył Słowackiemu. *P. W.*

Na saméj wstążce srebrzystego żwiru,
Co się nad morzem pod krzakami winął,
Jak sztuczna biała oprawa szafiru
Spocząłem... i wzrok na błękicie zginął
I myśl smutniejsza przyszła mię kołysać,
Niż myśli, które chcę i mogę pisać.

Smutna! Myślicie, że grzechów siedmioro
Przyszło mię dręczyć — lub łza emigranta?
Nie! — Ach, myślałem, że już madreporą
Stało się ramię biédnego Cerwanta,
Ramię nieszczęsne, które zaczynało
Czuć, że się jakiś duch oblekał w ciało...

I urodzony w Cerwantesa głowie
Będzie radością wstrząsał wszystkie nerwy;
Ramię, co było w romansu połowie,
Potém doznało takiéj wielkiéj przerwy,
Jak kiedy zabrzmi trąb dziesięć tysięcy,
Potém milczenie... nic nie słychać więcéj.

Dziwnie utracić jaki ciała członek
I myśleć potém, że już leży trupem,
Że już w nim żadna z kosteczek ni z błonek
Nie myśli o nas... i stała się łupem
Robaków — a zaś dusza pełna sromu
Do ciaśniejszego przeniosła się domu.

Dziwnie być musi płakać nad cząsteczką
Własnéj mogiły i czyśca męczarnie
Od niéj odwracać;... bo jeszcze jest sprzeczką,
Czy dusza za nas płaci solidarnie;
Czy członek, co się na ciała pogrzebie
Nie znajdzie, w piekle zapłaci za siebie...

A tu-bym bardzo mądrze i głęboko
Dowiódł: że kiedy nasz Zbawiciel kazał
Wyłamać rękę lub wyłupić oko...
Więc trzeba, abym tę strofę przemazał,
Bo jéj dokończyć, jak chcecie, nie mogę,
Bo osiodłany koń i ruszam w drogę.

PIEŚŃ PIĄTA.

NOCLEG W VOSTIZY.

Daléj, mój koniu, powoli — dość czasu.
Krajograficznie strofami wyłożę,
Jaka mię droga prowadzi z Patrasu.
Po prawéj stronie góry — z lewéj morze,
Za morzem znowu i skały i góry,
Nad niemi niebo błękitne bez chmury.

Nie ma tu ziemia czego złożyć w stércie;
Koń dzwoni w głazy — depce chwast dziewanny;
Czasem przy drodze w rozłożystym mircie
Widać rudery tureckiéj fontanny,
Gdzie w kamień woda płacząca nie tętni,
Na które patrząc, nawet Grecy smętni.

Taka głęboka przy fontannach cisza,
Tak ciemne mirty i tak liściem szumią
Nad fontannami, jak pacierz Derwisza.
Cały ten smutek błękitami tłumią
Wody Lepantu i z czystego nieba
Patrzące czoło (jestem w Grecyi) Feba.

Ani po drogach bawiącéj się dziatwy,
Ani człowieka w polu, ni na drodze;
Czasem szumiącym lotem kuropatwy
Porwą się w stado, tuż przy konia nodze,
I padną blisko — i znów cisza wielka...
Jaskółek żadna nie wyśle ci belka.

Niebo tych czarnych gwiazdek pozbawione —
Wdzięcznie błękitne! zda się, że nad smętnym
Krajem przeszłości leży zamyślone
Jakim obrazem dawnym i pamiętnym
Tylko samemu Bogu, co w niém duma.
Kraj ten zniszczyła tak wolności dżuma...

Ząbek się lasu dopiéro wyrzyna;
Małe sosenki, jako pszczoły, brzęczą
Jedwabnym kolcem... Jeżeli masz syna,
A twego kraju ludzie nie zamęczą:
Może zobaczy Grecyą pełną krasy,
Ubraną w ludzi szczęśliwych — i w lasy.

Ale my, dzieci nieszczęścia, stąpamy
Po głazach, chwastach i ruinach głuchych;
My się przez wielkie pustynie wołamy
W ciszy bezludnéj, my przy źródłach suchych
Szukamy wody spaleni żarzewiem.
Gdzie będą szukać naszych kości? — nie wiem.

Gdy tak myślałem, mrok osłonił szary
Przybywających wreszcie do Vostizy.
Tu jeszcze pomnik turecki... dąb stary
Na podniesieniu z głazów, przy ulicy,
Siedział spokojny. O téjto godzinie
Turek tu niegdyś pił dymy w bursztynie.

Lubiłem lipę, co nad sławnym laurem
Cień rozstrzelony zbiérała pod siebie
I co rok miodu obdarzała dzbanem
Niewymyślnego w żądzach i w potrzebie,
A była drugiém poety mieszkaniem,
Głośna słowików — szpaków narzekaniem;

Pod którą nieraz błyszczał dzban na stole;
Co tak wysoko niosła czoła wianki,
Jakby ze dworu wyglądała w pole
Na przyjście pana lub pańskiéj kochanki;
Co nad szmérami słodkich ust dziewicy
Szumiała cicho pełna tajemnicy.

Ta lipa dla nas, jak Partenon grecki,
Ma pełno smutku niewymówionego.
Stanąłem patrząc na ów dąb turecki:
Smucił mię także — lecz nie wiem dlaczego;
Bezużyteczny liściami i chłodem,
Oko zadziwia wielkim pnia obwodem.

Pień jego w sobie ma siły potęgę
I wielki smutek starości... i żałość
Nad tymi, co go znali... Stone-henge
Zaniesie myśli w olbrzymią zuchwałość
Tyranów dawnych... W téj świątyni progu
Myślisz o człeku, co ją siał... i Bogu.

O mój turecki dębie, dębie stary!
Ty mi cudownym wyrosłeś kościołem,
Tutaj się mogą modlić wszystkie wiary,
Tu wszyscy ludzie bić ugiętém czołem.
Lubię cię dębie wyniosłego czoła
Z liściem rozwianém, jak skrzydło anioła.

Szczęśliwi ludzie, których anioł dzierży
W swojéj opiece! szczęśliwe te kraje,
Co mają drzewa na miejscu oberży
Siane po łąkach — gdzie płaczą ruczaje;
Wędrowiec staje, gdzie kwiatów najwięcéj...
Nagle krzyknąłem — do krocset tysięcy

Milionów!... tu mi kochany Eurypid
Słowo Eumenid dał do wykrzyknika:
A mój towarzysz rzekł: mais c'est insipide
Spać tu... w téj klatce... co ma kształt kurnika;
Comment Giuliano? — tak się zwał nasz sługa —
W Vostizy musi być oberża druga!

Non c'è, rzekł sługa. Więc spać tu na ziemi?
Wszak to nie ściany, lecz z łuczywa krata
Pajęczynami wybita czarnemi —
A ja dodałem: jak horyzont świata
Zawarty zewsząd, bez okien, którędy
Dusza-by mogła wyjść za zmysłów błędy...

I zakończyłem słowami: daj świécy!
— Świécy? rzekł kompan—wszak tu wiatr zagas
Słońce w lichtarzu, księżyc w szabaśnicy!
Rzekłem: Giuliano, hej! tho se mu Krassi!*)
—Gorzkie jak piołun — niech Bóg będzie z nami!
Jest co jeść? nie ma? więc tho se mu psami!

To się po grecku znaczy: daj mi chleba!
Przyniósł... postawił i znowu zapytał
Bardzo układnie: czego Panom trzeba?
A gdym na chlebie zębami pozgrzytał
Zdjęty przeczuciem nieszczęśliwych wróżek,
Niespodziewając się wołałem — łóżek!

*) Wino w całéj Grecyi zaprawiają żywicą. *P. Aut.*

I światła! światła! Tu jak na biegunie
Północnym ciemno — i wiatr wszędy świszcze;
Pusto, jak w zgniłym orzechu świstunie...
Tu mój towarzysz rzekł: więc ja przepiszczę
Na hebanowym moim flażolecie
Tę noc — przepędzę ją najlepiéj w świecie.

I już wyciągał wiatro-brzmiący bardon;
Lecz ledwie zaczął dmuchnąwszy w otwory
Przygrywać: — jakiś głos „I bey you pardon
Bot I d'out like the music, I am sorry"
Z prawéj się strony wydobył przez kratki —
Anglik zamknięty był do drugiéj klatki.

I była Babel okropna języków,
Aż wreszcie jakaś opatrzności ręka
Zesłała parę płonących knocików
I dwa, napięte jak struny, krosienka;
To były łóżka... jeśli kto nie wierzy,
Tłómaczę jaśniéj — to, na czém się leży.

Ach! leży tylko! — bo wszystkie zefiry
Zbiegły się do nas i wiatr z nami pląsał;
A dar krosienek, jako Dejaniry
Koszula — gdzie się go dotkniesz, tam kąsał!
Ach! jam się dotknął — i ogień mię złapał
I byłem w piekle — mój towarzysz chrapał.

Są chwile w życiu, w których człowiek zda się
Samemu sobie bardzo poetycznym;
Na skały igle — na ruin terasie —
W usposobieniu umysłu Vehmicznym,
Kiedy głos przeczuć bardzo głośno gada
Trzykrotnym głosem: biada! biada! biada!

Gdy patrzy w słońce o zachodzie krwawsze,
Kiedy się żegna z kim i przy miesiącu
Mówi z westchnieniem głębokiém: na zawsze!
Gdy przy dognanym zeskoczy zającu,
Dobędzie noża i obcina skoki —
Gdy nań piorunem strzelają obłoki;

W chwili, gdy skończy szkoły i nauki,
Gdy go za rękę uściśnie sam Rektor;
Gdy go mianują sędzią — gdy go wnuki
Obsiędą — gdy kraj obroni, jak Hektor,
Albo gdy myśli o zbawieniu Lachów —
Gdy wygra partyą bilaru lub szachów;

Albo gdy idzie sam w nocy na cmentarz
I na kochanki usiądzie mogile;
Albo gdy mówi doń kto: czy pamiętasz
Paryż? — Są różne poetyczne chwile,
Kiedy naprzykład w towarzystwie znaném
Siądziesz pośrodku... na cenzurowaném —

Albo gdy ciebie nazwą obskurantem,
To jest, że możesz zgasić oświécenie;
Albo gdy jesteś dział asekurantem
I w Napoleońskie wierząc przeznaczenie
Słuchasz bez drżenia kul lecących świstu;
Gdy „Comte“ przeczytasz na kopercie listu —

Gdy... i tam daléj. Z tych miłości własnych
Żadna nie przyszła do snu mię kołysać;
Przy dwóch światełkach jak gwiazdy niejasnych
Chciałem z krosienek moich wstać i pisać
Czekając zorzy różowego świtu,
W tém dészcz... w téj klatce nie było sufitu!...

I zawołałem: ty śpisz Eneaszu,
A tu dészcz na nas leje się z dachówek!
Wnet rozbudzeni oba na poddaszu,
Więcéj do czynu sposobni niż słówek,
Wściekać się więcéj zdolni, niż łzy ronić,
Przemyślaliśmy, jak i gdzie się schronić.

Szczęściem, że w ścianie uwitéj z sośniny
Po obu stronach były dwie framugi;
Ach nie framugi — zaczęte kominy!
Więc ja jak krótki, mój kompan jak długi,
Oba jak dłutem z marmuru wycięci
W niszach przeciwnych — ktoby rzekł, że święci.

Przy naszych nogach zapalone lampy,
Ręce złożone na piersiach pobożnie;
Każdy z nas biały, jak w operze Zampy
Wiedźma z marmuru — bardzo nieostrożnie
Pierścionkiem złotym za żonę pojęta;
Lub jak niewiasta Lotowa w sól ścięta;

Lub jak mumija w ścianie piramidy...
Niech porównania daléj lecą kłusem.
Byliśmy, jako ów posąg Tetydy
Zakryty wody srebrzystéj obrusem,
Stojącéj sucho w wodnéj samołówce,
Który czytelnik ujrzy w Zofijówce.

Tu wychyliwszy głowę mój towarzysz,
Głosem żałosnym rzekł: czy żyjesz? — Żyję.
A on mi znowu rzekł: o czém ty marzysz?
A ja mu rzekłem: że się nie ukryje
Żadna zasługa pod żadną przeszkodą;
Ja mówię pacierz... Bóg słyszy pod wodą.

Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi,
Nie spali ogień... a kompan: nie słyszę;
Woda tak szumi, już mokre mam nogi...
A ja mu na to: ciérp, a ja opiszę
Nasze cierpienia ściągnięte bez winy
I przedam wiernie córkom Mnemozyny —

I kiedyś, w późne wieki, wstanie mściciel
I tu postawi hotel, mości panie!
Tu, na tém miejscu, gdzie teraz Jan Chrzciciel
Mógłby duszeczki kąpać, jak w Jordanie;
Tu, gdzie stoimy — ja ci przepowiadam —
Tu stanie hotel — tu, gdzie w nurty padam,

W nurty natchnienia, myśląc o żegludze
Dawnych rycerzy — Eneja — Ulissa...
A mój towarzysz rzekł mi: ja się nudzę
Stojąc w téj niszy jak kozacka spisa;
Wyznaj, że Grecya c'est ennuyeux en diable,
Ja cały mokry — mais c'est insuportable!

Nie masz zégarka? ja mój do kompasu
Zregulowałem, tam na łóżku leży;
A ja mu na to: mamy dosyć czasu!
Nim Febus we drzwi Aurory uderzy,
Gadajmy sobie o czém pożyteczném,
Lub o zbawieniu... lub o ogniu wiecznym...

Albo śpiéwajmy sobie kontredansy
Tańczone dawniéj — ja dyszkantem wlekę;
Albo ci powiém powieść Sancho Pansy
O trzystu owcach wiezionych przez rzekę —
Ty licz, ja będę tron mowcy dziedziczył;
Jeśli chcesz, ty mów... a ja będę liczył.

Czy znasz Byrona? — nie! — To wielka szkoda!
Mógłbyś się teraz przenieść w ideały;
Czajld Harold niegdyś był w Grecyi... Ta woda
Łódźka nam porwie srebrzystymi wały.
Czy znasz Platona?.. przyszło mi do głowy
Zaczęcie jednéj Sokrata rozmowy:

„Chodźmy — rzekł — w klonu szerokiego cieniu
Na pochylonéj odpocząć murawie;
Oto zanurzmy tu stopy w strumieniu; —
Jak tu cień miły, jak tu świerszcze w trawie
Śpiéwają słońcu!... daléj w mowie walnéj
Sokrat piękności daje idealnéj

Rysy, granice — i w mgliste przezrocze
Obwija posąg cudownego wdzięku,
A strumień żywy stopy mu łaskocze...
Tu nasz Giuliano z latareńką w ręku
Wszedł i zobaczył nasze dwie figury
Jak dwa posągi, oprawione w mury

Z lampami w nogach. — Rzekłem: Pigmalionie,
Jeśli z posągów chcesz mieć żywych ludzi,
Przynieś parasol! — Tak przez wodne tonie
Brnęliśmy obaj — a jeśli was nudzi
Ta pieśń, pomyślcie, że to jest obrazem
Greckich oberży, łódźek... i nas razem.

PIEŚŃ SZÓSTA.

MEGASPILEON KLASZTOR.

Wiem, że ze śmiechu przeskakiwać w smutek
Jest wielkim błędem. Charakteru wina,
A raczéj nerwów rozkiełznanych skutek —
Brak sentymentu — że w trop Lamartina,
Idąc, nie łączę w pieniach — o! herezya! —
Trzech westchnień ciągłych: Miłość—Bóg—Poezya!

Miłość od Boga staje się odporem
(Spytaj się o to panny .....niewskiéj,
Co rządzi młodych panienek klasztorem).
Miłość — prócz czystéj miłości niebieskiéj —
Wprowadza duszę w jakiś grzeszny zamęt —
Niewolno kochać, jak święty Sakrament.

Lecz piérwsza miłość — piérwsza, platoniczna...
O wstaw się za mną — o najświętsza Panno!
Ty jesteś taka na obrazach śliczna —
Widziałem Ciebie dziś — pod tęczą ranną,
Nad błękitami Lepantu — w niebiosach —
W tęczy — na chmury rozpłakanéj włosach...

Poezya także często walczy z Bogiem;
Chybabyś pisał ciągle o myślistwie
Jak Pan Tadeusz obeznany z rogiem. —
Bóg Lamartina więc w złém towarzystwie!
Chrystusa trzeba dać do takich kmotrów,
Byłby znów Chrystus między dwojgiem łotrów.

Więc rozwiązawszy tak dobrze zawiłość
Teologiczną, przyjmuję za godło
Tych kart — poezyą, Chrystusa i miłość —
I to mię będzie teraz ciągle wiodło
Z góry na górę — od boru do boru —
Do Megaspilion na tę noc klasztoru.

A ty, Poezyo, nie bądź więcéj mniszką,
Ale opowiédz, jak szedłem wysoko
Nad przepaściami zawieszoną ścieżką;
Jak coraz daléj posyłałem oko
Za laurem pięknie kwitnącym podemną
I za otchłanią mórz — błękitnie ciemną;

Jak o południu cień kolczatéj gruszy
Osłonił całą podróżnych gromadę:
Jak ciernia krzaki, które wiatr wysuszy,
Dały nam ognie w oczach słońca blade;
Jak źródło w naszym zajęczało dzbanie,
Jakieśmy orłów słyszeli krakanie...

A morze jasnym wabiące lazurem
Daleko od nas — szukane oczyma.
Za gór przebytych błysnęło się murem
Przez dwie szczeliny maczugą olbrzyma
Albo Rolanda rozcięte zamachem.
Powietrze cząbrów poiło zapachem...

A teraz myślę, jak z liter i cyfer
Ułożyć oczom klasztor Megaspilion.
Klasztor, gdzie niegdyś bronił się Lucyfer
Mahometowi — tak długo, jak Ilion
Albo jak nasza piękna Częstochowa
Kulami ryta — cudem Boskim zdrowa...

Zjeżdzaj na koniu w dolinę głęboką!
Góra zielona... wjeżdżaj na tę górę
Ślimaczą drogą... teraz podnieś oko!
Gdzie patrzysz? wyżéj!.. tam, tam aż pod chmurę!
O jaki widok!.. skała rośnie złota
Z arabeskowym rysunkiem Calota. *)

Z łona zielonych krzewin i cyprysów
Wyrasta ścianą prostopadłą skała
Porysowana, jak mnóstwem napisów,
Mnóstwami domków — a jaskółka śmiała,
Ów miły piastun wieśniaczy i boży,
Tak nie przylepi gniazd i nie ułoży.

*) Sławny rysownik arabesków i snów dziwacznych.
P. A.

Cała budowa, jako wachlarz płaska,
Jeden ma tylko bok i jedno lice:
A wytnij sobie z jakiego obrazka
Całą niemieckich miasteczek ulicę,
Niechaj mur jeden jednostajnie siny
Nosi te domki — krużganki — kominy

I galeryjki — i sine okienka —
I domki wczora tynkowane świeżo,
Niechaj to wszystko różnorodnie wsiąka
W jednę podstawę — pożegnaj się z wieżą
I z dzwonicami, któreś sobie roił,
A jeśliś domki pobudował, spoił,

I sobie całą ułożył strukturę —
Zanieś to wszystko wyobraźni okiem
Na szmaragdową cyprysami górę,
Przylep do skały... jeszcze pod obłokiem
Na samym szczycie, gdzie głazu ułomek,
Postaw forteczkę i jaskółczy domek...

Niech dym, co mnichów kominami goni,
Framugę sadzy zrobi nad klasztorem;
Niech się to wszystko kiedyś Turkom broni,
Niech teraz będzie spokojne wieczorem
I zda się lekkiém pajęczyny włoknem,
W promieniach słońca jasne każdém oknem;

Niechaj to wszystko razem się pokaże
Nad głową twoją i za drzewy znika,
I znów, jak dziewic szpiegujące twarze,
Gdy z poza liści śledzą wędrownika
I same także śledzone ciekawie,
Znów błyska — znika — i śni się na jawie: —

A będziesz widział — nie widzisz? więc próżno!
Ja doskonaléj nie opiszę rymem...
Trzeba ażebyś wziął sakwę podróżną,
Mój czytelniku, i został pielgrzymem;
Inaczéj z wielką litością i żalem
Będę o tobie myślał w Jeruzalem.

Tymczasem... co to? wieczorny skowronek
Śpiéwa nad nami w obłoków błękicie?
Nie — to klasztorny na krużganku dzwonek
Już zapowiedział pielgrzymów przybycie.
Widzę na ganku dzwoniącego mnicha,
Znów karawana idzie w górę — cicha.

Oczy po takiém ciągłém wniebowzięciu
Patrzą w obłoki — a klasztor przed nami,
A mnichów trzysta sześćdziesięciu pięciu
W błękitnych szatach, z czarnemi brodami
Snuło się w słońca złotego odbłysku,
Jak rój komarów — lub mrówki w mrowisku.

Lub jak rój pszczelni — bo tak doskonale
W plastrze tynkowym porobił komory;
Tak poświdrował korytarze w skale,
Wiszącym domkom takie dał podpory;
Tyle zapasów nagromadził w doły,
Że Bóg się spyta — ludzie wy, czy pszczoły?

Czy jakie inne i mniejsze robaki,
Co w przylepionym na skale listeczku
Nagromadziliście wina, tabaki,
Cnót potroszeczku, grzechów potroszeczku,
Czekając jasnéj zmartwychwstania chwały,
Gdy cicho listek odedrę ze skały?

I wy myślicie, że ja wam przepuszczę,
Patrząc na tynku odpadłego łatę,
Na korytarze wasze — co jak bluszcze
Idą na skałę kręte, węzłowate —
Na źródło wasze cudowne, na składy?
O! moje małe bezpłciowe owady!

Wy, którzy świécę zapalacie jasną,
Gdy pielgrzym kładnie grosz swój do karbony,
Nie obrazowi — lecz na miłość własną
Rzucając blaski, wy, kraczące wrony
W kraju bezpłodnym a pięknego nieba,
Gdzie się i modlić — lecz i orać trzeba!

A tażto beczka? (to wszystko Jehowa
Mówi do mnichów tam, gdzie sąd ich czeka,
A ja powtarzam tylko Boże słowa)
Ta beczka, votum chorego człowieka,
Którą dał biédny — dał nie mnie Jehowie,
Lecz wam — za cudem odzyskane zdrowie...

I wasze głupstwo, żeście się chwalili
Z takiego daru, i wasza ciemnota —
Życie podobne do próżniackiéj chwili —
I wasza grubość chłopska, nie prostota —
I wasze kłamstwo cudów — i tam daléj...
Weź Lucyferze! niech ich piekło spali!

Tu się jednego twarz archimandryty
Odwróci, z jedném mnichów pokoleniem,
I rzeknie Bogu: „Nasz dom, nie zdobyty
Ibrahimowym mieczem i płomieniem,
Zniszczyłeś Boże; a Lucyfer dumny,
Żeś odkrył pełne prochem grzechów trumny.

„A ślad na skale gmachu — jak na belce
Znak skruszonego gniazdeczka jaskółek;
A pomyśl, kiedy zatrwożony wielce
W naszym klasztorze lud znalazł przytułek,
Wtenczas, widziałeś, dla mrących z przestrachu
Aniołem stróżem każdy kamień gmachu.

„I gmach się w on czas cały w lud zamienił,
Jak twój tron jasny mieni się w aniołów;
Tak wiele duchów zebrał i spromienił
W twoje podnóże... i do naszych stołów
Siadało wiele — nas mnichów niegodnych,
Lecz i płaczących sierót wiele głodnych...

„I w nocy pełnéj piorunów i błysku
Sam szedłem — własne zapalić szpichlerze,
Co pod nogami na skały urwisku
Stały ubrane w cyprysowe wieże;
I zapaliłem... i przy tym pożarze
Widziałem w dole białe Turków twarze.

„Potém z klasztoru patrzeliśmy mnichy
Na mur poryty ognistymi rysy,
Na dom nasz własny... już jak węgiel lichy,
I na stojące w płomieniach cyprysy,
Jak ci szatani, co tam — widzisz Boże —
Stoją przy piekła płomiennym otworze.

„Niejeden mrący, spragniony i ranny
W ostatniéj chwili — usłyszał nad sobą
Płacz brylantowéj cudami fontanny,
Otworzył usta — westchnął — i był z tobą...
Źródło, że wiecznie płakało nad ludem
Żywych i mrących — nazwaliśmy cudem.“

Wtenczas przytomny obronom szlachetnym,
Na potępienie mnicha rzekłem z boku:
A owa, owa — w tysiącznym ośmsetnym
Trzydziestym szóstym (nie mylę się) roku,
Dnia trzynastego września (fakt powierza
Dziennik mój szczéry) dana mi wieczerza?

Sam ją kazałeś zastawić na stole
I sam przyszedłeś, o archimandryto,
Cieszyć się patrząc, jak mię w gardło kole
Kość twoich garnków — twego chleba żyto —
Mszcząc się, że paszport wydała mi Francya,
Że czczę papieża! — A gdzież tolerancya?

Czyliż dlatego, że wam do kościoła
Przysłano z Moskwy obraz Nikołuszki?"
Tu mnich uleciał na skrzydłach anioła,
A ja na łonie tureckiéj poduszki
Budząc się, widma spłoszyłem niesforne.
Słońce przez szyby błysnęło klasztorne.

Lubię, gdy cichy promień słońca strzeli
W ciemną altanę—lub w sklep, w którym prix fixe
Błyszczą klejnoty — lub do księżéj celi
Złotym promieniem lecąc na krucyfix —
Albo na rzymskich kościołów mozajki,
Lub na błękitny dym rzucony z fajki.

Lubię, gdy pada promień złotolity
Na siwe włosy starego żebraka;
Albo na czoło umarłéj kobiéty,
Albo na skrzydła pływające ptaka;
Albo na róże, co wysoko niosą
Jesienne czoła błyszczące się rosą.

Lubię, gdy pada z chmur na odsłonioną
W pochmurnym rynku statuę Kopernika;
Lubię, gdy pada w nasze ciemne łono
I znów z człowieka robi słonecznika,
Za światłem życia obracając twarzą
Myśli marzące... póty póki marzą.

W komnacie mniszéj, otoczonéj wkoło
Rzędem tureckich sof kwiecistéj barwy,
Promień słoneczny padł na moje czoło;
I snów zwichrzone rozpędziwszy larwy,
Rozwinął znowu moje myśli senne
Na życie marzeń mglistych... cało-dzienne.

GRÓB AGAMEMNONA. *)

Niech fantastycznie lutnia nastrojona,
Wtoruje myśli posępnéj i ciemnéj —
Bom oto wstąpił w grób Agamemnona
I siedzę cichy w kopule podziemnéj,
Co krwią Atrydów zwalana okrutną.
Serce zasnęło, lecz śni. — Jak mi smutno!

---

*) Jest to ułamek z jednéj z dalszych pieśni tegoż poematu. Był już ogłoszony za życia autora — przy Lilli Wenedzie. Kładziemy go tu powtórnie, gdyż tutaj tylko jest jego miejsce właściwe. Nic więcéj z poematu, który uzupełniamy, w papierach pozostałych nie dało się odszukać.

P. W.

O! jak daleko brzmi ta harfa złota,
Której mi tylko echo wieczne słychać!
Druidyczna to z głazów wielkich grota;
Gdzie wiatr przychodzi po szczelinach wzdychać
I ma Elektry głos — ta bieli płótno
I odzywa się z laurów: jak mi smutno!

Tu po kamieniach z pracowną Arachną
Kłóci się wietrzyk, i rwie jéj przędziwo.
Tu cząbry smutne gór spalonych pachną;
Tu wiatr obiegłszy górę ruin siwą,
Napędza nasion kwiatów — a te puchy
Chodzą i w grobie latają, jak duchy.

Tu świerszcze polne, pomiędzy kamienie
Przed nadgrobowym pochowane słońcem,
Jakby mi chciały nakazać milczenie,
Sykają. — Strasznym jest Rapsodu końcem
Owo sykanie, co się w grobach słyszy;
Jest objawieniem — wielką pieśnią ciszy.

O! cichy jestem, jak wy, o Atrydzi,
Których popioły śpią pod świerszczów strażą —
Ani mię teraz moja małość wstydzi,
Ani się myśli tak jak orły ważą.
Głęboko jestem pokorny i cichy
Tu, w tym grobowcu sławy, zbrodni, pychy! —

Nad drzwiami grobu, na granitu zrębie
Wyrasta dąbek w trójkącie z kamieni;
Posadziły go wróble lub gołębie,
I listkami się czarnemi zieleni,
I słońca w ciemny grobowiec nie puszcza;
Zerwałem jeden liść z czarnego kuszcza.

Nie bronił mi go żaden duch ni mara,
Ani w gałązkach jęknęło widziadło;
Tylko się słońcu stała większa szpara
I w biegło złote, i do nóg mi padło.
Z razu myślałem, że ten, co się wdziéra
Blask, była struna to z harfy Homera —

I wyciągnąłem rękę na ciemności,
By ją ułowić i napiąć i drżącą
Przymusić do łez i śpiéwu i złości
Nad wielkiém niczém grobów — i milczącą
Garstką popiołów! — ale w mojém ręku
Ta struna drgnęła i pękła bez jęku.

Tak więc — to los mój, na grobowcach siadać
I szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych.
To los mój, senne królestwa posiadać,
Nieme mieć harfy i słuchaczów głuchych
Albo umarłych — i tak pełny wstrętu —
Na koń! chcę słońca i wichru, tętentu!

Na koń! — Tu łożem suchego potoku,
Gdzie zamiast wody, płynie laur różowy,
Ze łzą i wielką błyskawicą w oku,
Jakby mię wicher gnał błyskawicowy,
Lecę — a koń się na powietrzu kładnie,
Jeźli napotka grób rycerzy — padnie.

Na Termopilach? — Nie, na Cheronei
Trzeba się memu załamać koniowi;
Bo jestem z kraju, gdzie widmo nadziei
Dla małowiernych serc — podobne snowi.
Więc jeśli koń mój w biegu się przestraszy,
To téj mogiły, co równa jest — naszéj...

Mnie od mogiły termopilskiéj gotów
Odgonić legion umarłych Spartanów;
Bo jestem z kraju smutnego Ilotów,
Z kraju — gdzie rozpacz nie sypie kurhanów!
Z kraju — gdzie zawsze, po dniach nieszczęśliwych
Zostaje smutne pół — rycerzy — żywych.

Na Termopilach ja się nie odważę
Osadzić konia w wąwozowym szlaku,
Bo tam być muszą tak patrzące twarze,
Że serce kruszy wstyd — w każdym Polaku.
Ja tam nie będę stał przed Grecyi duchem —
Nie — piérwej skonam, niż tam iść — z łańcuchem!

Na Termopilach — jakąbym zdał sprawę,
Gdyby stanęli męże nad mogiłą
I pokazawszy mi swe piersi krwawe
Potém spytali wręcz: — „Wielu was było?“ —
Zapomnij, że jest długi wieków przedział —
Gdyby spytali tak — cóżbym powiedział?!

Na Termipolach, bez złotego pasa,
Bez czerwonego leży trup kontusza —
Ale jest nagi trup Leonidasa,
Jest w marmurowych kształtach piękna dusza;
I długo płakał lud takiéj ofiary
Ognia wonnego i rozbitéj czary.

O Polsko! póki ty duszę anielską
Będziesz więziła w czerepie rubasznym:
Póty kat będzie rąbał twoje cielsko,
Póty nie będzie twój miecz zemsty strasznym;
Póty mieć będziesz hyjenę na sobie —
I grób — i oczy otworzone w grobie!

Zrzuć do ostatka te płachty ohydne,
Tę — Dejaniry palącą koszulę,
A wstań, jak wielkie posągi bezwstydne,
Naga — w styxowym wykąpana mule!
Nowa — nagością żelazną bezczelna —
Nie zawstydzona niczém — nieśmiertelna!

Niech ku północy z cichéj się mogiły
Podniesie naród — i ludy przelęknie,
Że taki wielki posąg — z jednéj bryły!
A tak hartowny, że w gromach nie pęknie,
Ale z piorunów ma ręce i wieniec —
Gardzący śmiercią wzrok — życia rumieniec.

Polsko! lecz ciebie błyskotkami łudzą!
Pawiem narodów byłaś i papugą,
A teraz jesteś służebnicą cudzą —
Choć wiem, że słowa te nie zadrżą długo
W sercu — gdzie nie trwa myśl nawet godziny:
Mówię, bom smutny — i sam pełen winy!

Przeklnij! — lecz ciebie przepędzi ma dusza,
Jak Eumenida przez wężowe rózgi.
Boś ty, jedyny syn Prometeusza —
Sęp ci wyjada nie serce — lecz mózgi.
Choć Muzę moję w twojéj krwi zaszargam,
Sięgnę do wnętrza twych trzew — i zatargam.

Szczeknij z boleści i przeklinaj syna!
Lecz wiédz, że ręka przekleństw, wyciągnięta
Nademną — zwinie się w łęk jak gadzina,
I z ramion ci się odkruszy — zeschnięta!
I w proch ją czarne szatany rozchwycą;
Bo nie masz władzy przekląć — niewolnico!!!—

WSCHÓD SŁOŃCA NAD SALAMINĄ. *)

Pamiętam jednę godzinę żywota —
Leżałem w greckiéj łodzi.. Spało morze —
A każdy żagiel był jak maska złota,
W której się chował w albańskim ubiorze
Majtek. Słuchałem jak fala klekota,
Kiedy ją złota pierś kaiku porze —
Księżyc się cicho błyszczał, złoty taki
Jak słońce. Łódź płynęła z Kalamaki.

I zwolna wschód się oczerwienił siny.
Po nad Pireą powiał wiater świeży.
Łódź się śród morskiéj wzdrygnęła równiny,
Jak rycérz gdy go w piersi wróg uderzy.
Była to piérwsza fala Salaminy,
Szła od mogiły, gdzie Temistokl leży —
Zatrzęsła łodzią, w koło ją obeszła,
Zagrzmiała, jękła żałośnie i przeszła.

Wstałem — tańczyły fal różane bryły —
Świtem się niebios okwiécała droga —
Słońce! — myślałem, że wstaniesz z mogiły
Temistoklesa, jak z mogiły Boga
Zmartwychwstający anioł blasku, siły...
Lecz nie — gdzie złoty tron był jego wroga,
Skąd Xerxes patrzał na zniszczenia dzieło,
Wyszło ogromne słońce i stanęło...

*) Urywek ten nie mógł stanowić części „Podróży na Wschód“; napisany jest bowiem inną formą Dajemy go jednakże w tém miejscu z powodu pokrewieństwa treści.
P. W.

Wtenczas zacząłem urągać się w duchu
Grobowi, co był rzucony w ciemnoty.
I morzu, które chodziło w łańcuchu —
I obróciłem się, gdzie stał tron złoty,
Paląc się w słońca czerwonym wybuchu —
Bo tak stać musiał, gdy ginęły floty
I za kraj marli rozpaczni obrońce,
Xerxes na tronie tym ubrany w słońce!..

ROZMOWA

z Matką Mokryną Mieczysławską,

BAZYLIANKĄ W PARYŻU.

Słysząc, że głos jéj nożami przenikał,
Gdy swe bolesne męki powiadała,
Szedłem — nie przeto, abym ran dotykał
Ani rozdrażniał zranionego ciała,
Ani świadectwo wydawał o ranach;
Ale był wierny — jak syn na kolanach,
Który dwojakie ma kadzidło w darze,
Łzy albo zemstę — co matka rozkaże...
Szedłem, ażebym dla mojego czoła
Wziął uświęcenia od ręki anioła;
Bo mi się w nocy ta ręka czerwona
Pokazywała przeze mgły skrwawiona,
Wyrzucająca takie strachu strzały
Z palców ognistych — że brak na to słowa,
Żem drżał jak Mojżesz — gdyby mu Jehowa
Rękę był swoję pokazał ze skały.

Znalazłem w cichym siedzącą klasztorze
U suchych, obcych ludzi na gościnie,
Prostą niewiastę, rzekłbyś: gospodynię
Siedzącą sobie na szlacheckim dworze,
Kędy zarządza dziateczek hałasem,
W czepcu, w rańtuchu, z kluczami za pasem.
Wszakże pomimo tak wielką prostotę
I dziwne z matką moją podobieństwo,
Na twarzy jasne widziałem męczeństwo,
Jakieś męczeństwo wielkie, boże, złote,

Które mnie z góry uderzyło w ciemię,
Jak Pan — gdy rzuca zbrodniarzem o ziemię...

A wtenczas ona: „cóż ziomku kochany?
Przyszedłeś mocno, jak widzę, wzruszony;
Siądź — powiém tobie, że zamknięte rany
Lepiéj przystoją Polce, niż korony.
Ty młody jeszcze, nie topionyś w Niemnie,
A już ty bledszy mój synu odemnie.
Widząc was wszystkich takich w téj stolicy,
Chociaż ja sądzę rozumem prostaczki,
Widzę ja prawie, że i wy biédaczki,
Widzę was jasno — i wy męczennicy."

Westchnęła — a ja: Matko, powiédz proszę,
Czyś ty do boskich nie zaniosła tronów
Skargi na tyle polskich milijonów?
Dwadzieścia!!! Gdyby to miedziane grosze —
Świat prawie kupić! — gdyby pozapalać,
A każdy dał krwi maleńką kropelkę,
O! na Chrystusa i na Zbawicielkę,
Tą krwią czerwoną świat możnaby zalać!
Gdyby błysnęły wszystkim ognie z lica,
Świat można spalić! A ty męczennica?
Polka! w żołdackim utopiona brudzie?
Nie — car nie winien — to winni ci ludzie!!

A ona: „nie skarż, o nie skarż nikogo!
Oni? — cóż oni biédacy tam mogą?...
Wszyscy pod wielkim i krwawym uciskiem
Czekają tylko na piérwszą dogodność..."
Tu mnie spytała: „jakiém zwać nazwiskiem?"
Nie dosłyszałem — a ona: „jak godność?"
Zarumieniłem się cały i rzekłem:
„Godności nie mam — przed męką uciekłem..."

I nastąpiło ponure milczenie,
Ona ze smutną, a ja z twarzą ciemną...
Czułem, że cierpi ze mną i nademną,
Jak gdyby znowu dźwigała kamienie.

. . . . . .
. . . . . .

Ona więc tak mnie pocieszywszy nieco,
Mówiąc o duchach, które w kraju rosną,
I obeznawszy mnie z tą piękną wiosną,
Do której myśli jak żórawie lecą:
Mówiła daléj: „Raz nam do klasztoru
Wieść przyszła, że nasz Biskup zmienił wiarę...
Nie wierzyłyśmy — lecz w godziny szare,
Kiedyśmy poszły na modły do chóru,
Strach jakiś przewiał nieznany kościołem
I powiał na nas niewidzialną siłą:
Każda myślała: a gdyby tak było!...
I przerażone padałyśmy czołem,
Jak małe dzieci, które dziad przeraża,
Nie śmiejąc rzucić téj nocy ołtarza.

Potém zostawszy ja sama w kościele,
Rzekłam: z Biskupa duszą się rozprawię,
Myślą go sobie przed oczy postawię,
Wzrokiem zapytam — jakie on ma cele?
Stanął mi: a ja sądziłam oczyma,
Która kość w nim drży — a która się trzyma.
Strach mnie za serce przenikliwy ścisnął,
Bo stał wyraźnie i oczyma błysnął,
A oczy były od zwyczajnych różne,
Jak szkła wypukłe, świécące i próżne.
Wtenczas w przestrachu mój duch osamotniał:
Rzucam się zrowu — krzyżem martwa leżę;
A takie poty szły aż przez odzieże,
Żem wstała — a krzyż na ziemi wypotniał.

Wkrótce przyjechał do nas w odwiedziny
Biskup w orderze krzyża czerwonego.
A ja raz tylko spojrzałam na niego,
A trunek było czuć i woń stęchliny...
Raz tylko w oczy spojrzałam okropne,
Zimne — umarłe niby — lecz roztropne.
A choć przychodził do rzeczy z daleka,
Już ja wiedziałam wszystko, co mnie czeka.

Po tylu latach męki i konania
Dziś nie powtórzę piérwszéj z nim rozmowy.
To tylko powiém, że do przekonania
Trafiał i prośbą i słodkiémi słowy;
Siadł blisko — sztuczka podstępna i chytra,
Próbował i słów magnetycznych ze mną —
Była tam jakaś gregoryańska mitra...
Słowa mówione z trwogą potajemną
Jak węże skórą szeleściły suchą,
Dziwne — ogniste — zaszeptane w ucho.
On szeptał jak czart... wzrok miał obłąkany —
Szeptał... te słowa, mówię ci, szatany!
Nikt o nich nie wié, gdzieś po trumnach siedzą.
On tylko jeden i szatany wiedzą,
Jakie to słowa? skryte, ślepe krety —
Jakie to słowa? mówię ci sztylety,
Nie słowa ludzkie!..

Pan Bóg mnie obronił.
A on téż inny ton wziął ze mną zaraz:
Będziesz, powiada, tu miała ambaras.—
To rzekł i nisko kołpaka pokłonił,
I wyszedł...

Ja téż wnet zebrałam mniszki
I przysięgłyśmy przed Panny obrazem,
Choćby nam przyszło umrzéć wszystkim razem,
To umrzéć — a te biskupy opryszki
Mocować, póki nam żywota stanie;

A nawet westchnąć i modlić się za nie,
Żeby przebaczył Bóg...

Tegoć, mój drogi,
Trudno ci będzie już dzisiaj opisać,
Jakie to były u mniszeczek trwogi.
Jedne radziły do Rzymu napisać:
Drugie — nasypać prochów do piwnicy,
Beczki postawić radzą pod ołtarze:
Straszne rycérki—chcą odprawiać straże
Przy beczkach z prochem, z ogniem na gromnicy...
Wszystkie jak szpaczki, zbiégają się, radzą,
Wszystkie najlepsze pokazują chęci;
Lecz gdy mi z poczty papiéry oddadzą,
A ja się lękam rządowych pieczęci:
To stoją blade — nieme dreszczem ciała,
Strwożone laku samego zapachem,
I mnie na palce patrzą z takim strachem,
Jak gdybym święty sakrament łamała.

Przyszedł nareszcie rozkaz ostateczny:
Odmienić wiarę — lub się wybrać w drogę...
Gdzie? co? — nic więcéj. — Uczułyśmy trwogę,
Jak gdybyśmy szły w ciemność na sąd wieczny.
Tak nic nie wiedząc, co się z nami stanie,
Czy gdzie w łańcuchy? czy gdzie na wygnanie?
Czy gdzie na nędzę, chłód i wichrów szturmy?
W Sybir? — któżby się nas tam upominał!
Może, myślałam, posadzą do turmy
I tam oskarżą o jaki kryminał?
Dotąd mię jeszcze strach okropny bierze,
Gdy myślę — jaka to szatańska była
Ta ciemność wielka w rządowym papiéże,
Która nie mogła, a śmiercią groziła.

Wszystko, co potém z nami nastąpiło
Otwartą, groźną przedsięwzięte siłą

Nie takim strachem nam na dusze spadło,
Jako to piérwsze zagrożeń widziadło.
Pomyśl, którażby nie zmieniła céry,
Spojrzawszy w trupie te białe papiéry?
Papiéry pełne i groźby i siły,
A tak milczące, głuche, jak mogiły.
Strach nas, powiadam, dolatywał wszędzie,
W nas był... i szeptał strachami wygnania;
Męka to była nie do opisania!
Powiadam tobie, że tak w piekle będzie.

Bóg upominał, lecz strzegł. — Wszystko potém
Było przynajmniéj już jasne, widome.
Cierpieć? my cierpieć byłyśmy łakome...
Z głodu umiérać? — a cóż, gdy pod płotem
Niewinny żebrak na mrozie przypieka?
Czasami żołnierz zgłodzony, kaléka,
A psi go tylko sami głodni strzegą...
Umiérać?.. cóż my jak żebrak lepszego?
Męka gdy ciało już kąsać zaczyna,
To nic, duch wtenczas nabiéra odwagi,
I samby prawie poszedł na miecz nagi;
Ale ta piérwsza zagrożeń godzina,
Gdzie wsparcia zniskąd, a ciemny strach wszędzie...
Powiadam tobie, że tak w piekle będzie!

Zadrżałem: tak się ta święta podniosła
I z takim gestem zapalona cała
Polskim duchowym językiem śpiéwała
I w słowach niby rozognionych rosła!
Lecz się spostrzegła poważna matrona,
Że duch zebrany być musi do łona,
A nie ulegać zapału pokusie —
Jasny, spokojny, jak był duch w Chrystusie.

Więc zaraz wziąwszy z siebie takich losów,
Którymi zawsze człowiek rządzić może,
Rzekła: chcesz słyszeć o moim klasztorze;

Powiém ci krótko kilka naszych zgonów, *)
Kilka męk.— Już wiész zapewne od braci,
Żem była sama Przełożoną, Ksienią;
Widzisz, czém jestem — sądź z mojéj postaci:
Nigdy mnie ludzie podli nie odmienią,
Ani téż choćby złotem mnie przykryto!
Zwyczajną jestem jak widzisz kobiétą,
I taką byłam; — to jednakże powiém,
Żem niegdyś była panną myśli trwożnéj,
Bom się rodziła w rodzinie zamożnéj,
Psuta — na szczęście obdarzona zdrowiem
I wytrwałością . . . . . .
. . . . . .

Przyszedł dzień ofiary: —
Sam Biskup zjechał, zwołał uroczyście.
Wszystkieśmy drżały jak na drzewie liście;
Ja nawet jeszcze nie nabrałém wiary,
Trzęsłam się cała, zbiédzona, zalękła,
Strudzona, głowy znękana zawrotem,
Serce mi biło ciężko, jakby młotem;
Myślałam, że gdzieś wielka żyła pękła
I kropliskami ciężko w pulsa sieje —
Krew kapie — a jak dokapie — zaleje.
Słucham — a czuję, że już coraz bladnę:
Strach! — a cóż poczną biédne siostry moje,
Jeżeli trwogą zabita upadnę?..
Nie! przed Biskupem żywa już dostoję.

Ale Bóg dobry — o! tak, Pan Bóg dobry!..
Zaraz mi weszło coś do serca mocy;
Ha! pomyślałam: z Mieczysława Chrobry,
A z Mieczysławskiéj głaz w Dawida procy.
Niech czart próbuje: cóż? — choćby i bito,
Stanę mu twarz w twarz — niech walczy z kobiétą!

*) O cztery wiersze wyżéj ma być zamiast losów: tonów.

I znów uczułam, że ten poryw ducha
Przydał Siemiaszce odwagi i siły: —
Więc znów zacięłam zęby — zimna, głucha;
Ducha do ciała, jak nogi stonoga
Zebrałam w sobie: jak na dno mogiły,
Zalękła poszłam do serca — po Boga!

A on, jak gdyby te straszne jaszczury,
Które złotemi jad oczami leją,
Spojrzał: — my stały spokojne, jak mury,
A on, choć z małą jak sądzę nadzieją,
Zapytał: A cóż, siostry moje drogie,
Chcecież przejść wszystkie na braterską wiarę? —
My nic; — on westchnął — i znów oczy szare
Obrócił na nas, ale już złowrogie;
Siostry mi potém mówiły, że w miarę
Jak się zapalał i rwał piersi wzdęte,
One już radość jakąś czuły, wiarę,
Różane moje, biédne siostry, święte...

Z umizgiem napół błagań i wyrzutów
Znowu zapytał jeszcze słodszym głosem:
Któraż z was łaską pogardzi i losem,
A weźmie...? — tu nam rzucił pękiem knutów!...
My nic. —
Oddechu wciągnął w schrypłe płuca,
Nareszcie nie mógł już więcéj, wrzał skrycie;
Więc jakby rynna, gdy błoto wyrzuca,
Wrzasnął i zawył: — Cóż? czy przechodzicie?!
Nie skończył, targnął się jak pies w łańcuchu;
My nic: — milczałyśmy i rosły w duchu.

Wtenczas on uczuł, że przed nami pada
I my się czuły mocniejsze od niego.
Widzę go teraz: — skry mu z oczu biegą,
Jak gdybyś widział gdzie żebraka dziada,
Który się na psy szczekające gniewa
I trzęsie klaszcząc, jak kościotrup z drzewa.
— Ja was, zakrzyknął, w powrozy, w łańcuchy!
Wy buntownice, suki, polskie duchy! —

Wywiérał na nas wszystko i wymiotał,
Zębami szczękał, kościami klekotał; —
My nic. — On wtenczas porwał krzyż, zdruzgotał
I wybiegł — drzwiami trzasnął — ze krwią plunął
Rozkaz Moskalom stojącym na dworze,
A echo od drzwi poszło po klasztorze,
Jak gdyby piorun za Biskupem runął.

A my po sobie tylkośmy spojrzały,
Oczami mówiąc, że to wąż-lewiatan,
Żeśmy szatana zexorcyzmowały,
Że to nie pop był, ale wiatr i szatan.
A wtenczas tylko już nam bez oporu
Przed żołnierzami przyszło wyjść z klasztoru.

Nie wiész boleści, gdy rzucać przychodzi
Dom, gdzie nas Chrystus matkom z rąk odbierze
I duchem swoim jak matka odrodzi,
A potém jako swe jagnięta strzeże:
Nie wiész, jak w domu takim pachną ściany,
Kwiatki się błyszczą, śpiéwają organy.

Zebrałyśmy się: naprzód jedna z krzyżem,
Z Chrystusem, za nią my wszystkie strapione,
A na ostatku tknięta paraliżem
Staruszka dobra, prosta; ta zdziwione
Oczy na wszystkie strony obracała,
Sucha, niesiona prawie, jak trup biała,
Błyszcząca tylko w oczach, święta w duchu,
Ale bez władzy rąk i nóg i słuchu.
Jam tylko siostry zaklinała wzrokiem
— Na miłość Boga! twarzami do mura,
Ażeby tego nie zabić praszczura
Naszemi łzami i naszym widokiem! —
Siostry téż były dobre i rozumne;
Jedna szepnęła: — Gdzieś wstąpim po kweście
I zostawimy ją u ludzi w mieście,
Albo do bramy gdzie rzucim jak w trumnę;

Przyjmą staruszkę — chleba wszędzie dają —
Przytulą biedną, złudzą, oszukają,
Rzekną, że po nią powrócim — a ona
Tak gdzieś zagaśnie, jak lampa strawiona.
. . . . . .
. . . . . Ja też tak myślałam; —
A jednak nagle patrzę na tę starą:
Ona coś szepce i źrenicą szarą
Pyta mnie srogo; — nie odpowiedziałam —
Spuściłam oczy. — Klękłyśmy; ostrożna
Kazałam cicho śpiewać Ave stelle;
Buchnął płacz — wstrzymać łez było niemożna —
Płacz tak szarpiący, jak piekło; w kościele
Jęków, łkania i modłów taka zawierucha,
Że usłyszała nawet ta biedna i głucha!
Wtenczas mniszeczki obie chwyciła za szyje,
Zgięła, nóg wydobyła z siebie, wzniosła kije,
I wywijając tymi kijami nad czołem,
Jakby rycerzem była, jakby archaniołem,
Chciała bronić.—Pobiegłam—zćmiło mi się w oczach—
Upadłam przed nią — zda się — cięta po warkoczach
Niby w gradzie pocisków — przerażona, drżąca,
Te białe kije trupa w tym gradzie widząca,
Chcąc te paralityczne pohamować złości,
Chwyciłam za kolana: — nogi jéj — dwie kości:
Spojrzałam w górę:— trup był z papiéru wybladły —
Rozkrzyżowała ręce, kije z rąk wypadły —
Już jéj nie było — życia ani w jednym włosku —
Spuściła ręce — na mnie upadła jak z wosku
I głową się na głowie mojéj biednéj wsparła;
Wzięłam na ręce — trup był ledziutki — umarła!
Oddałam Bogu...

— Rzekłem: O matrono,
Która tak straszne opowiadasz zgony,
Jakie ty harfy, jakie ty masz tony?!
Kto cię Dantejską nakrywa koroną?
Odsłoń przede mną, chociaż do połowy,
Tajemnic twoich — niechaj je zobaczę!

Czy ty duch jaki stary, czy duch nowy
Przyszłaś jak Mojżesz prowadzić tułacze?

A ona: — We mnie sama matka płacze;
Nic ja nie jestem, o! nic ja nie jestem. —
Ale posłuchaj, co się daléj działo.
Wyszłyśmy z wielką i spokojną chwałą,
Z tym trupem matki jakby z manifestem,
Strach rozsiéwając podobny do mrozów
Pomiędzy ludem zgromadzonym w tłumie.
A tu ci wyznam i każdy zrozumie,
Że spodziéwałam się jakich powozów;
Bo przecież zbrojną otoczona rzeszą
Nie pójdę z siostry we zbójecką jamę;
Piérwszy raz okiem rzuciwszy za bramę
Postrzegłam, że nas będą pędzić pieszo.

Słuchaj! — ty nie wiész, co w niewieścich duszach
Strach wstydu rodzi — brzęk bagnetów w uszach;
Nie wiész, jak drgają wszystkie żyłki ciała,
Gdy jakie brudne słowo w uszy wpadnie.
Słuchaj — gdym piérwszy raz ja w kark dostała,
To zabrzęczały zęby tak szkaradnie,
To piekłem zemsty zawrzałam — kobiéta,
Ja, Polka — piérwszy raz na rynku bita!..

To, mój kochanku, mówię tylko tobie,
Abyś nie myślał, że ja cała święta;
Ja także byłam i gniewem wzdrygnięta,
Nawet myślałam o zemsty sposobie.
Potém dopiéro tak podniosłam duszę,
Że smakowały mi prawie katusze;
A Pan Bóg bronił mnie wielką prostotą
Przed kułakami, tak jak zbroją złotą.

A jakie piękne było wonczas lato,
I jakie piękne były łąki nasze!

Pomnę — na promie, pomimo pałasze,
Bagnety, zgraję kozaków brodatą,
Uczułam wielką i piękną pogodę,
Patrząc na lasy, na błękitną wodę;
I przypomniawszy sobie czasy w domu
Ciche, wpatrzyłam się głęboko z promu
W płynącą wodę; a wzrok widać chciwy
Wydał się ludziom głęboko szczęśliwy,
Bo zaraz Biskup, spojrzawszy w me oczy,
Krzyknął na dońca: — Dierży! w wodę skoczy!
A doniec się też dotknął mego włosa,
A Biskup patrzał — kat w podłéj postawie! —
Rzekłam do księdza już z litością prawie:
W wodę? — czy myślisz, że to są niebiosa?...

To rzekłszy — oczy znów swoje zakryła.
A ja: — O matko! jak mi twoja miła
Powieść, gdy z trwogi do płaczu sprowadza;
O! jakie myśli z niéj słodkie się rodzą!
Więc gdyby niebo — to tybyś skoczyła?
Więc gdyby jaka ci niebieska władza
Rzekła: o matko — patrz, obłoki schodzą,
Wstępuj do światła po za ziemskie ciemnie...
— Podjęła głowę, wzrok wraziła we mnie,
Usta uśmiechem rozsładzając rzekła:
Widzisz — do nieba jeszczem nie uciekła,
A Witebsk blisko był tej strasznéj bramy,
Przez którą wskoczyć mogą męczennice...
Tam nas Moskiewki, okropne czernice
Wtrąciły wszystkie do wilgotnéj jamy,
A klasztor cały był ciemny, pijacki,
Głuchy — i ciężki wszędy smród żołdacki
Łoju i skóry i prostéj gorzałki,
I wstrętu, który czynią zgniłe grochy;
A często kobiet bitych słychać szlochy
I świst wężowy smagającéj pałki
I pocałunków na katowskiéj ręce
Klask — i ćwiczonych skomlenie bydlęce.

O! czarne ruskie klasztory — straszliwe!
Piekło, powiadam tobie, piekło żywe!...

Teraz-że pomyśl: co my w takim brudzie
Musiały cierpieć — i westchnij do Boga!
Westchnij — bo ileż to cierpią tu ludzie,
Nim na grób przyjdzie zmordowana noga!
Lecz to dziwniejsza, że takie są miedzie
W sercu tu ludzkiém, ludzkich męczycieli!
Wiész, jak dawano nam bez wody śledzie;
Wiész, jak pokarmu zwykłego ujęli,
Jak obrócono ręce do mularki,
A grzbiety nasze pod kamień i chłostę;
To wszystko były męki bardzo proste,
Lekkie: po ciele szły czasami ciarki,
A czasem głodem krzyczały aż brzuchy,
Lecz duch nie cierpiał: — owszem rosły duchy
I potężniały znoju i głodu żniwiarki.
I raz gdy z lochu po miesięcznym głodzie
Wyszłyśmy nagle na słońce odkryte,
Tośmy krzyknęły: twarze były zmyte
Jakby w słonecznéj i różanéj wodzie;
Lubośmy żyły w lochu prawie gliną,
Rozpoił nas duch Boży — tak jak wino.

Wtenczas nie wiedział już Biskup, co pocznie,
A chciał koniecznie przełamać kobiety;
W rękach miał dzidy — a w oczach sztylety,
A w serca patrzał: — zmiany chciał niezwłocznie.
Gdyby choć pozór, że z nas mniszka która
Weszła do cérkwi — obrazom się kłania...
Żadna! — Dwie biedne spadły z rusztowania,
A jednę kamień urwany ze sznura
Z oczu nam prawie jak widmo promienne
Zdjął, lecąc jako młyn okropny z góry;
I tylko krwawe purpurowe sznury,
Plamiące długo białości wapienne,

Aż od samego, samego poddasza,
Aż do samego dołu cieknąc strugą,
Przypominały nam długo i długo,
Że tak zabita jedna siostra nasza!
A jednak mimo to, że tak szkaradna
Śmierć była, takie nagrobki straszliwe:
Wszystkieśmy były do końca cierpliwe:
Bóg dał, nie przeszła z nas żadna a żadna.

Wtenczas już Biskup nawet nieco trwożny
(Bo się rozniosło, bo już Witebszczanie,
Już jakieś ruskie powiedziały panie,
Że to nie klasztor, ale dom katorżny)
Wtenczas już, mówię, biskupisko stare
Byłby dał krzyże już i gwiazdne znaki,
Byleby tylko chwycić pozór jaki,
Żeśmy ugięły przed nim naszę wiarę.
Więc raz znienacka do cérkwi nas wiodą
Głodne, trzęsące się od zimna, trwożne:
Zarazem czoło Biskupa bezbożne
Ujrzała — topór ujrzałam pod kłodą:
O! na Chrystusa, co nam winy zmazał,
Sądzę, że topór mi Pan Bóg pokazał;
Bom nic nie rzekła — a nad rozkaz słowny
Mniszkom znak dałam w tak jasnych wyrazach,
Że żaden biskup, choćby jak duchowny,
Nie zrozumiałby. — W takich zwykle razach
Mniszeczki wszystkie czynią, co ja czynię,
Mówią, co mówię, wchodzą, gdzie ja wchodzę:
Teraz jak gąski stanęły na drodze,
Ja byłam woli całéj monarchinią,
Pasterką owiec; a w chwili szkaradnéj,
Kiedy uczułam w sobie taką władzę,
Rzekłam jak Chrystus, że nie stracę żadnéj,
A wszystkie razem w niebo zaprowadzę.
Rzekłam — i nagle porwawszy siekiery,
Ku Biskupowi poszłam: — Weź Herodzie,

Weź popie! — ścinaj łby i rzucaj w dwiery! *)
A do mniszeczek: — Kładźcie się na kłodzie!
Ledwiem wyrzekła, wszystkie buch na ziemię —
Każda na belce głowę, ku mnie oczy...
Myślałam wtenczas, że piorun wyskoczy
Z oczu Biskupa, lub jakie złe plemię
Czartów ognistych, krwawych nietoperzy
Z pod brwi wyleci i na mnie uderzy.
Porwał żelazo — rękę wzniósł — skamienił —
I tak zacisnął, że zlodowaciała
Zielona jak trup — a sam się zapienił
I tym toporem mi tu koło kłęba
Cisnął i nogi — patrz — skroił kawała,
A potém w twarz mi dał i wybił zęba.
Ja tylko na to, nie zmieniwszy cery,
Choć z dwóch ran już krwią purpurową ciekłam,
Ząb mu podałam wybity i rzekłam:
Zawieś to między twe wszystkie ordery!

Ty może myślisz, że to duma świecka,
Mnie nieprzystojna? — na to nie ma zgody.
Pomyśl: — ja Polka! ja córka szlachecka!
We mnie gadały dawne moje rody,
W usta mi dziwne odpowiedzi kładły;
Ciało z nich było — a i od nich siła,
Walczyły za mnie, ja za nich walczyła;
Gdybym upadła, byłyby upadły.
Widzisz — potrzebne było nasze męstwo!
Widzisz, że przy nas zostało zwycięstwo.
Co? —

Drżałem cały — i z dalszego wątka
Powieści ledwo mogłem pomięszany
Spamiętać tylko jakieś straszne rany,
Które poniosły w brudzie niewiniątka...

*) Carskie dwiery w cerkwiach.

We mgle rzucone duchy bez ojczyzny
Pomiędzy spite żołdactwo i diaki —
Wrzask, jęk i krwawe w powietrzu bielizny,
Jako sztandary i skrwawione ptaki;
A dół nietknięty nawet już pamięcią,
Kędy świeciły jak gwiazdy różane
Te głowy, z których twarze pozrywane,
Wybite pięści biskupiéj pieczęcią,
Butem żołnierskim przypieczętowane.

Co mówię? — głowy te — listy otwarte —
Mózgiem mówiły przez pieczęci zdarte;
Oczy gdzieś w błocie świécące i słomie
Ze krwi wystają niby niezabudki;
A ciała — ciała jak bez kształtu kłódki
Tarzały sobą jęczące po domie: —
Na widowisko tak strasznie zwiérzęce
Wejrz Chryste Panie i rozkrzyżuj ręce!

A wy, o smętnych pamiątek anioły,
Mówcie wy ciągle nad ludzi łożami
Sennych, to słowo okropne: Dziedzioły!
Tę wioskę mroźną, osłoniętą mgłami,
Gdzieś pod sosnowym śnieżącą się borem
Z jedyną cérkwią ruską jak z upiorem,
Z troistą wieżą ciągle owronioną,
W prochach zorzanych błyszczącą, czerwoną...
Ciągle to ludziom przed oczy przynoście,
Ciągle stawiajcie przed źrenice obie:
Niech czują w duchu te wieczne nudnoście,
Które ma człowiek niespokojny w sobie!

— W Dziedziołach — rzekła Pańska męczennica —
Już nie byłyśmy z sobą wszystkie razem:
Wiele nas padło pod biczem i płazem,
Dziesięć zostało bez ludzkiego lica,

A upiorami wszystkie tak strasznemi
Były i kości tak miały popsute,
Że Biskup nawet już sam za pokutę
Nie byłby żadnéj pokazał na ziemi.
Te zostawiono w Witebsku, a drugie
Dziesięć w Połocku — a z tego już miasta
Ja szłam z dwunastu siostrami trzynasta
Pod jesień, wicher, śniegi, nocy długie;
I stanęłyśmy w Dziedziołach, w klasztorze
Znowu, u czernic, lecz obmurowane;
Gdyby nie zimne kopuły blaszane —
Turma, nie klasztor.

Przy ogromnym borze
Stał, lecz w dziczyźnie takiéj zbudowany,
Przy takiéj wiosce i na takiém polu,
Że strach był może mocniejszy od bolu...
Noc w noc rozboje, żydy, markietany;
Czasem na jutrznię dzwonią — ciemno w szybach,
Zimno w celicach, ołów tylko brzęczy
Jak wóz z szynami, gdy idzie po skibach;
Słuchasz, a tam gdzieś na polach ktoś jęczy,
I nim umilkną rozżalone dzwony,
Staje ci w myśli, że tam trup czerwony.

Raz na tych smętnych dziedzińcach klasztoru
W poranek szary, pomnę, rąbię drzewo,
A tu na prawo jęk i brzęk na lewo,
Jakby dwa głosy, obadwa do wtóru.
Słucham i patrzę — otwiérają bramę —
Patrzę, kto wejdzie: — o polski mój Chryste! —
Mniszeczki wchodzą, jak my takiesame,
Mrozem i wiatrem prawie przezroczyste,
Podarte na nich płaszcze i trzewiczki,
Nogi skrwawione przez mróz i przez grudę,
A twarze takie chude — takie chude,
A oczy — jakby na opłatkach świéczki.

I znów, ostatnich niby wołokitów,
Wpędzono drugą bramą pięć straszydeł;
Ci weszli, jako puszczyki bez skrzydeł,
W łachmanach. — Było to pięciu Unitów
Biédniejszych od nas: — jeszcze jakaś święta
Jasność kosteczek naszych się trzymała;
Ale ci ludzie... skóra im zczerniała,
A twarze mieli takie, jak zwiérzęta,
Już jakby Pańskiéj męczarni niegodne
I przemienione przez bezczestne męki;
Nos wklęsł, a naprzód im wybiegły szczęki,
Jak gdyby kąsać chciały, jakby głodne.
Każdy miał taką czaszeczkę łakomą,
Dziób taki na żer, w oczach takie skrzynie,
Żem pomyślała, jako po łacinie
Mój ojciec w czaszce ludzkiéj czytał: homo...

Tu pokazała mi na nos i wzroki,
Jak człowiek, który gestem powieść krasi;
A ja postrzegłem w oczach dół głęboki,
W złomach jéj twarzy wyraz jakiś ptasi: —
Wstrząsłem się cały — zadziwienia krzykiem
Świadcząc, że dobrym byłem łacinnikiem.

— Te próby, rzekła, wściekłego Biskupa,
I różne męki przezeń wymyślone
Zniósłszy, byłyśmy nareszcie pławione...
— Matko! krzyknąłem — jako czarownice?
A ona: — Dziw się katów wymysłowi!
Był staw, jezioro, puste okolice,
Jakby przystojne męczeństwa duchowi,
Nad brzegiem jego wierzby jak upiory;
Tam nas bywało zaszywają w wory,
I tak zaszyte obwiązują liną,
A potem diaczki w łodziach wprzód posłani
Płyną i płyną, daleko, daleko,
I na tych linach wleką nas i wleką,
A popy krzyczą: postoj! albo: tiahni!

Słyszę dziś jeszcze tę straszną komendę,
Słyszę jak we mgłach smętnie się rozlega;
Lud się bywało po nad brzegi zbiega,
A my, jaskółki pobrane na wędę,
W téj czarnéj wodzie po pas, to po brodę...
Cóż robić?— boską całujemy wodę
I milczym...

Dobrze to, kochanku, pływać,
Lecz strasznie, gdy cię w toń linami wloką.
Otóż tam, słuchaj — już mi się na oko
Anieli Pańscy jęli pokazywać —
A nie myśl, żeby widma jakie złote,
Albo zjawienia lub gwiazdy i róże;
Nie — Pańscy jacyś posłańce i stróże,
Przysłani na tę okropną robotę,
Jacyś Anieli, mówię, w ludzkich ciałach,
Co przez litośne patrzali się oczy.
Wśród tłumu zjawiał się nam na uboczy
Szlachcic ubrany w szarych samodziałach,
Ekonom niby; — ale ja ci ręczę,
Ja tobie ręczę synu, że ten człowiek,
Kiedy chce, strzela piorunami z powiek,
A z ramion, kiedy chce, rozwija tęczę.
Stał zawsze cichy i patrzał na popy,
Na nas, a wszystko poważnie uważał,
A mnie cichością swoją tak przerażał,
Że dziś go widzę — słyszę jego stopy.
Na milczącego więc kiedy wzrok rzucę,
To on w bok spojrzy, albo brwi podniesie,
Drogę mi niby pokazuje w lesie,
Oczyma mówi: żyj, bo ja powrócę!
O! ten to człowiek jeszcze dotąd widzi —
A to, co widział, pewnie Bogu powie.

Raz już się zbiegli z miasta nawet Żydzi,
Żydówki, ludu wszelakiego mrowie,

Bo się rozniosło, że my bardzo głodne.
Już od trzech godzin mokniemy w stawisku,
W gliniastych mułach i w traw wężowisku
Grzęznąc — zielone, jak grynszpany chłodne.
A krzyki „pastoj!“ na tych co na łodzi —
A krzyki na nas: „która z was przechodzi?“
I znowu krzyki na łódkarzy „tiahni!“
A sznur się prężył i naszemi głowy
Pluskał po wodzie... Do swego Jehowy
Wrzasnęli wtedy wielkim krzykiem Żydzi,
Myśląc: usłyszy, jeżeli nie widzi!
Dobre Żydziska, dobre Żydowice
Lamentowały — aj waj! bijąc w łono,
Nu! one głodne, pomarzną, potoną,
Nu! a gdzie Pan Bóg — a gdzie błyskawice?
Czemu nie biją?.... Słuchaj, gdy bywało
Te Żydy lament okropny zawiodą,
To serce moje ot tak aż skakało!
O tak! skakało me serce pod wodą;
Bo ci powiadam, że są jakieś czary
Dziwne w modlitwach nawet obcéj wiary:
Chwyta cię obca, jak matczyna ręka,
Łzy w oczach stają i coś w sercu pęka.
Biedne Żydziska —

Raz taki był lament
I taka niby muzyka wspaniała;
Ja z wody zda się, że święty sakrament
Widzę na niebie, takem rozjaśniała;
Wtém woda plusła nagle i zalała
Jednę mniszeczkę... Powiadam ci, smoki
Te sznury czarta — biły wód zwierciadło,
I jedno moje dziecko o dwa kroki,
Jedno maleńkie dziecko mi przepadło!
Krzyknęłam i mróz przeszedł mi przez kości,
W takiéj to wszystko stało się cichości;
Nikt nie obaczył — a choćby widziano,
Nikt by nie skoczył z ratunkiem pod wodą;

Żywot tam ludzki tyle szacowano,
Że my już nawet nie byłyśmy trzodą;
Czy które pomrą, czy które utoną,
Nikt niedbał — głów już naszych nie liczono.

Wyznam ci teraz, że mnie po tym zgonie
Strach wziął i zgroza dla ludzkich bezwstydów;
W około czarne, ołowiane tonie,
Tam gdzieś pisk popów—a tam gdzieś wrzask Żydów;
A tu podemną trup— nie wyszła dusza!
Może się jeszcze gdzieś pod wodą rusza,
Może swe oczki we krwi jasnéj kąpie;
A mnie tu ciągną daléj za obróżę,
Co krok to może na biedną nastąpię,
Może nastąpię — oczy tylko mrużę,
A ona gdzieś mnie, ach! za nogi trąca,
Zimna — jak z wosku biała — i świecąca.
O strach! a tutaj ciągle prężą sznury,
Ciągle nas wloką w głąb i krzyczą „tiahni!“
Już tylko nasze na wodzie kaptury
Jak stado kaczek — już noc na otchłani,
Już jakieś dziwne czerwone chmurzyska
Nachodzą nąą tę mękę tak okrutną,
A tak mi zimno, głodno — a tak smutno,
Że ot już chciałam pożreć te sznurzyska
Tam, i na poły niemi zadławiona
Buchnąć w tę wodę, przepaść, jak zginiona...
W oczach już moich niebo nie świeciło
Żadnego blasku, łez żadnych nie było;
Już ogłupiałam — myślę tylko o tém,
Jakby się zalać wodą, najeść błotem,
Bo taka głodna byłam, tak pożądał
Mój głód chociażby maleńkiej okruchy,
Że mi aż z oczu ognisty wyglądał;
Tak się łamały we wnętrznościach duchy,
Jak ci czartowie, węże z krwawą twarzą,
Które pod krzyżem z ciał ludzkich wylażą...

Wtenczas już widok okolicy dzikiéj,
Naszéj męczarni, błotnisk, pławby, popów
Poruszył nawet i Żydów i chłopów:
Powstały głośne przekleństwa i krzyki.
I raz Żydówka jakaś na brzeg bieży,
Obwarzankami złotemi świecąca,
Jak matka wpada, rozrywa żołnierzy
I karabiny w koziołkach roztrąca;
Dészcz poszedł śrebrny, pył jak z kopca śniegu
Z tych karabinów rozbitych, a ona
Już już nad nami, już na samym brzegu,
Obwarzankami złota i czerwona
Podniosła ręce — i tak jak żniwiarka
Tych obwarzanków nakryła mnie snopem...
Ja wtenczas, jako Noe nad potopem,
Kiedy pod tęczę już wchodziła arka,
Podjęta szczérą téj kobiety troską
I zachwycona jéj myślą matczyną,
Ujrzałam, mówię tobie, Matkę Boską
Jakby nad całą już polską krainą!
I z wód podniosłam ku niéj moje dłonie
Krzycząc: O! Polskę moję całą ratuj, złota!
I do niéj wzniosłam dłonie, jak sierota,
W tych obwarzankach, jak w złotéj koronie.

Odtąd nie śmieli już więcéj biskupy
Otwarcie czynić z nami takiéj hecy,
Ale w klasztorze jak na dnie fortecy
Dręczyli żywe i chowali trupy.
Ku mnie zaś siła przystąpiła boża
I odpędzała odemnie te katy;
Możem zeświętła tą koroną zboża,
Może przez moje bolesne stygmaty —
Nie wiem: lecz pop już uciekał przedemną,
A uciekając sztyletował wzrokiem.
Bywało, kiedy w korytarzach ciemno,
To mój krok bywa najgłośniejszym krokiem,

A chody popów, jak wężów szelesty;
Tu i tam ślepie migocą i chresty.

Nareszcie dolne nam oddano cele,
I tam już, same w głodzie zostawiono.
Dwa garnce grochu bywało ja dzielę,
Wawrzecka sagan stawia i groch warzy.
A mój braciszku, nie tłusto i słono
Jadłyśmy!... ale było nam do twarzy,
Bośmy utyły na suchéj grochówce
I były silne, jak aniołów hufce...

I zaraz wszczęły się jakieś narady,
Co czynić — czego próbować?...
. . . . . .

Na tém stanęło: że my trzy najzdrowsze
W poselstwo wielkie pójdziemy do świata;
Niektóre chciały czekać wiosny, lata,
Lecz my, na wiatry duchy najsurowsze,
Jak stare Polki, zaraz ruchu chciwe,
Pozapalane w ogniach, niecierpliwe,
Ciągle, bywało, kręcim z koszul sznury,
Ciągle gadamy: jak, co, gdzie i kiedy?
Wtém raz mnie jeszcze Bóg w popów pazury
Dał i wybawił, jak owieczkę z biedy.

Pod wieczór idę po wodę z saganem,
A prawdę mówiąc, to wyszłam na zwiady.
Patrzę, przy pompie sam Biskup z polanem —
Choć grozą jasny, lecz jak papier blady.
Przy nim popiska, krwią po rękach ciekną,
Kije czerwone — znać że kogoś bili —
Kręcą się — szemrzą, czasem sobie szczekną,
Chodzą, jak gdyby głowy potracili.
Zbliżam się cicho — aż widzę Unitów
Księży — pod pompą, z krwią jeszcze na brodzie.
Nadzy — już leżą jak trupy na lodzie,

Czarniejsi od tych lodowych błękitów!
Patrzę — co? a im woda na łby ciecze
I marznie — że tak poranione głowy,
Jakby zamknięte w puhar kryształowy,
Skrzą się — a brody twardnieją, jak miecze.
A nie słyszałam jęku, ani krzyków,
Tylko te ruchy straszne spazmatyków.
A Bóg uczynił z nich okropną zjawę,
Że stali, jako wielkie trupy — złote
I poplamione sińcami i krwawe —
Niby przysłani na ciemne podwórze
Jacy okropni Aniołowie-Stróże.
Daruj — lecz widząc te święte osoby,
Rzekłam: czy to wy, o biedacy głodni,
Coście w tak skrzące powchodzili groby,
Że mi jesteście tu nakształt pochodni?
Mówcie: ja wasze poniosę żałoby
Na świat — jasności, złotych trumien godni!
Bóg też wspomionął na pokorną cnotę
I oto wam dał takie trumny złote.

Tak ich żegnałam — a postanowiłam
Mniszeczek moich nie jątrzyć boleścią,
Ale aż na świat pójść z taką powieścią,
Aby świat wiedział, skąd idę, gdzie byłam,
Jaka swawola w popach wyuzdana
I jak katują wierne sługi Pana.

Wreszcie nadeszła ta noc pożądana,
Że cała ciżba popów, czernic pijana
Padła, snem ciężkim zjęta, jak ołowiem.
Wszyscy morderce! Toż jednakże powiem,
Że jedna z czernic dobre serce miała,
Często ukradkiem do się zawołała,
A dała grochu, soli albo kłosów.
Patrzaj — mam jeszcze od niéj krzyżyk włosów.
Ta jedna, sądzę, przeniknęła skrycie,
Że nam obmierzło już w niewoli życie,

Że już ot wolność nam w naradach wschodzi,
A nie wydała — niech jéj Bóg nagrodzi!

Otóż wylazłszy po drzewach na mury,
Prędko skoczyłyśmy aż na dół z góry.
Wiatry nosiły nas — i z wolna kładły,
Bośmy z trzeciego aż piętra upadły.
I zaraz, jako ptaki przestraszone,
Śnieg otrzepawszy z odzieży jak piérze,
Każda'śmy poszły szybko w inną stronę,
Myśląc, że gonią popy i żołnierze.
Nic nie pamiętam, czy skrzypnęła brama,
Czy téż duch jaki pędził strachu dłonią;
Ale sądziłam, że mnie wiatry gonią
I już dwie mile jak wiatr biegłam sama.
Tu się zaczęła nowa dla mnie męka.
Gdzie iść? — nie znałam ni drogi ni strony;
Przez trzy dni w lasach jadłam tylko szrony,
Dziwiąc się biédna, że ptaszków piosenka
Tak tam wesoło w lesie dzionek wita.
Ja mędrsza bardzo od ptaszków kobiéta,
A taka smętna.....

Weszłam nareszcie raz do jednéj chaty,
Gdzie nakarmiła mnie dobra niewiasta;
I obaczywszy na mnie siwe szaty,
Spytała: pewnie na odpust do miasta,
Matko? — Ja skłamać nie śmiałam wyraźnie,
Bojąc się wtenczas bardzo Pana Boga;
Co tu rzéc? smutek objął mnie i trwoga.
Ona mówiła do mnie tak przyjaźnie,
Pocałowała mnie jak matkę w ramię,
W imię przyjęła boże... a ja skłamię?
Wszakże już w myśli pełna tego dymu,
Który ćmi oczy, gdy duch w mocy wzrasta,
Wspomniałam sobie, że idę do Rzymu,
I rzekłam: idę na odpust do miasta.

A Bóg mi zaraz wynagrodził trwogę;
Bo ta kobiéta rzekła: to nie blisko!
I zaraz miasta mi dała nazwisko
I powiedziała jak najbliższą drogę;
Wszystko dar Boży.....

Potém o trzy mile
W lesie idącą spotykam kobiétę.
Ta się tak do mnie uśmiéchnęła mile,
Że w tym uśmiéchu serce, jak odkryte
Serce na dłoni. Z tą ja w rozhowory, —
A ona: wiész ty, co słychać w Dziedziołach?
W strachu są wielkim podleśne klasztory —
Popy biegają tu po wszystkach siołach
I rozsyłają po drogach opryszki
Łowić ubiegłe trzy polaczki mniszki.
To słysząc, z twarzą już bólem cierpliwą
Rzekłam: a czy już którą ułowiono?
A ona: pędząc żołnierze tą stroną,
Znaleźli przy mnie jednę, lecz nieżywą.
Mówią, że sama najstarsza, u ścieku
Jednéj rzeczułki leżała śród mostu,
Ot może tego, matko, jak ty wieku,
Z twarzy do ciebie podobna i wzrostu.
Właśnie gdy dońce stali przerażeni,
Nadbiegła w pogoń Biskupa kolaska.
Wysiadł i krzyknął: że to sama Ksieni,
Sama klasztoru Ksieni Mieczysławska,
I kazał ściérwo rzucić do strumieni.
Proszczaj! — I ścieżką poszła w głąb pustoży. —
Za odchodzącą patrząc w sosen cienie,
Rzekłam: to boskie było ostrzeżenie!
To anioł Boży!
A ten trup zaraz mi zastąpił w głowie;
Bo pomyślałam, że się on nie rodził,
Lecz go rzucili z nieba aniołowie;
Że Bóg nim drogę goniącym zagrodził.

Odtąd już śmielsza szłam aż do granicy,
A jeszcze Bóg mnie raz tylko spróbował:
Taki mróz spuścił, że aż ze źrenicy
Krew szła. Gdzie spojrzę, lasy — drwa na pował,
Ale zapalić nie ma czém ogniska.
Skostniałam — chleba nie miałam okruchy...
Wtém patrzę: jakieś przy lesie pastuchy
I niespędzone owieczki z pastwiska.
Wołałam ludzi uniknąć tą razą,
A u tych owiec rozgrzać moje ciało;
Jakoż się mnóstwo matek nazbiegało
I na me nogi zimne jak żelazo
Kładły swe ciepłe łona, swe kożuchy,
Tak, że ja tymi niewinnymi duchy
Byłam ogrzana od nóg aż do twarzy
I uzdrowiona, jakby przez lekarzy.

— I tu umilkła — w górę tak patrząca,
Żem ujrzał srebro białego miesiąca
I tę zalaną radosnemi łzami
Wpatrzoną w miesiąc między owieczkami.
O! cudnie polski otwiéra nagrobek
Ten nowy pańskiéj męczennicy żłobek!

— To wszystko... Teraz tu, biédaczki moje,
Oto widzicie, jestem z wami, stoję
Gotowa, chociaż jeszcze trochę chora,
Gotowa, mówię, iść na powrót w drogę...
Tylko się spieszcie, dziatki — bo dziś pora,
Dziś... więcéj mówić wam teraz nie mogę!

To jest historya cała mojéj męki
I całéj mojéj téj biednéj podróży.
Widzisz, kto Panu swemu wiernie służy,
Ten się dobywa cały z katów ręki.
Tu jestem z wami — lecz ci wyznam szczerze,
Że chciałabym się już dostać do Rzymu;
Tu wszyscy dobrzy, mam kadzideł, dymu,

Ale nie dzwoni serce, gdzie uderzę.
Przychodzą jacyś... jakby dziś z puchówek
Powyłazili — warzeni w dekokcie.
Patrzą, trefionych przekrzywiają główek,
Wzdychają w niebo i czyszczą paznogcie.
Słuchaj — ja prosta jestem, poraniona...
O! gdyby tu też gdzie jaka serdeczna
Z doktorem swoim poważna matrona,
Z dziećmi... ja dzieci lubię, jestem grzeczna...
Nie! — wczoraj jakaś — słodka, jak patoka,
Z migreną w głowie, z bólem w każdym członku,
Hrabina... tak tu spojrzała z wysoka,
Jak gdyby miała sakrament w pierścionku.
Ona tam może bardzo Bogu miła;
Lecz szczebiotała o Świętych, jak sroka,
A oczki żółte, jak prążki mrużyła.
Wstałam — choć jeszcze na tę nogę chora;
A ona mi co? — po francusku gada
I prezentuje swego konfesora,
Młokosa, mówiąc, że dobrze spowiada...
Ot drugi raz mnie weź, w łańcuchy okuj,
A z tymi tutaj ludźmi daj mi pokój!
Ja chcę do Rzymu — —

Rzekłem: o mistrzyni
Bolesnych tonów, czarownego rymu!..
— Zakryłem oczy — Matko, jedź do Rzymu,
Jedź! twoje słowo może Rzym uczyni...
Lecz teraz ujrzysz na świętéj fortecy
Wyżéj złoconych tyarą krużganków
Błyszczące widma — by świętych młodzianków —
Pozastrzelane nikczemnie... przez plecy.
Ujrzysz ohydną wszędy cześć bałwanów,
Ujrzysz męczeństwo straszne ducha światów...
Może się spotkasz z ojcem twoich katów
I dasz mu piérwszy krok — do Watykanów!..
A jeśli krwawéj nie ustrzeżesz duszy,
A dasz ją jako wosk w tych ludzi ręce:

Królową ducha nam wyszłaś po męce,
Umarłą wyjdziesz po tamtéj katuszy!
Albo jeżeli cię znowu gorąca
Dusza jak matkę porwie z téj mogiły,
To się uczujesz bez łez i bez siły!
Jeżeli święta — to już chyba klnąca...
Żegnaj — —

A ona swe oblicze blade
Wyszkliwszy na mnie: i gdzież ja pojadę?!
A ten krzyk taką był wielką rozpaczą,
Że przy nim jednym — tamte tylko płaczą.

USTĘPY

Z PRZEKŁADU ILIADY HOMERA.

I.

Z PIEŚNI PIERWSZÉJ.

(od wiersza 1—492).

Achilla gniéw — i klęski zeń spadłe na Greków
Śpiewaj Bogini, Bogów śpiewaczko i wieków!
Gniéw śpiewaj, który w ciemne piekło zaprowadził
Tyle dusz, i przed czasem tylu męży zgładził,
Na polach trupem całe położył zastępy,
Psy zwołał, i na ciała rzucił czarne sępy,
Przed losem i przed bożym upokorzył tronem
Naprzód Achilla, z czarnym skłóciwszy Memnonem.

Powiedz, w jakiéj nieszczęsnéj godzinie poczęta
Tylu nieszczęść przyczyna, ta kłótnia nieświęta?
Za jaką się swojego kapłana urazę
Mścił Apollo, okropną zwaliwszy zarazę
Na Greczyna obozy, tak że niesłychany
Był mór, i z trupów całe urosły kurhany?
A to wszystko, aby król krzywdzący kapłany
Ujrzał się sam — w cierpiącym ludu ukarany.

Stało się tak, że Chryzes, kapłan Apollina,
Któremu wzięta była przez Greki dziewczyna,
Jedynaczka, najmilsze dziecko, córka droga,
W płaczu wzniósł naprzód ręce, niosąc je do boga,
A potem się przed ludźmi rzucił na kolana —
Postać ojca, a w laury kapłańskie ubrana,
Wlekąc się z upodleniem i żebraczym wstydem
Za wszystkimi, najgłośniéj krzycząc za Atrydem:

„O króle! o hetmany, wołał, niech wam bogi
„Miasto upokorzone położą pod nogi!
„Niech wszystko podług myśli wam zdarzą i dadzą,
„I cało do ojczyzny miłéj doprowadzą:
„Ale niech stąd z próżnemi rękami nie idę!
„Oddajcie mi najmilszą córkę — Chryzeidę,
„Jeżeli nie z litości: złota wam odważę —
„Weźcie, lub was przed słońca obliczem zaskarżę...“

Krzyk był Greków i prawie jednomyślna zgoda,
Aby mu wrócić dziecko; lecz ojciec naroda,
Agamemnon, król dumny, w brance rozkochany,
Odepchnął klęczącego starca przed kolany
I rzekł: „Precz stąd żebraku! włóczęgo i szpiegu!
„Precz od greckich namiotów i srebrnego brzegu!
„Jeżeli dbasz o głowę i o kości stare,
„Precz stąd — ani mi ufaj w święconą tyarę,
„Ani myśl, że na Bogów twoich zadrżę wzmiankę.
„Twoję córkę, a moję dziś miłosną brankę
„Chowam — skłonioną mojéj potędze i woli —
„Aż ją czas... uwiędniałą na licu wyzwoli

„Z moich objęć i w korną służącą zamieni,
„Płeć pozbawiwszy bieli — a oko płomieni.
„A wtenczas... to dziś dziewczę kochane i młode
„Poszlę do Argos... płótno myć i nosić wodę."

Rzekł; i kapłan milczący z pochyloną głową,
Smętny, do serca rdzeni rażony tą mową,
Odszedł... i brzegiem morza, gdzie o skalne ściany
Smętnie i głucho biły szumiące bałwany,
Szedł w myślach pogrążony, od świata daleki,
I tam, gdzie go nie mogły już usłyszeć Greki,
A bóg Apollo jeden ojcowskiéj się męce
Przypatrywał, do Boga swego podniósł ręce
I zawołał: „O władco Smintu! urodzony —
„Stróżu Cylicki — z jasnéj i świętéj Latony!
„Ty, któremu Tenedu lud się kłania drżący,
„I tu i tam na moję ojczyznę świécący
„Boże! jeślim ja tobie z modlitwą i łzami
„Opasywał ołtarze lauru girlandami,
„Jeślim tobie ofiary składał, starzec biały,
„Puśćże teraz na Greków twoje wszystkie strzały!"

Tak się modlił; i zaraz ćmy sakramentalne
Opuściły Olimpu mgły i czoła skalne.
Sam Apollo — ognistym łukiem jak obręczą
Otoczony — w mgłach idzie, strzały na nim brzęczą
I smętną wróżbę niosą na doliny klęte;
Czoło boga ciemności chmurą obwinięte —
Pod nim flota, nad którą staje bóg wspaniały;
Łuk swój krzywy naciąga, srebrne puszcza strzały.

Naprzód muły oborne, i psy postrzelane
Padają, potém ludzie; powietrze rumiane
We mgłach ciężącą parą oddechy naciska —
Ciągły strzał szelest, ciągłe widać płomieniska.
Przez dziewięć dni i nocy trupy wożą blade,
Nareszcie dziesiątego dnia zwołują radę,
Na którą sprasza Achill, syn srebrnéj Tetydy,
Przez Junonę natchnięty, i tak na Atrydy,
Króle wyprawy, zaraz powstający z góry:

„Długoż tak zapatrzeni na Trojańskie mury
„Na tym fatalnym brzegu mamy podle ginąć?
„Nie lepiéj nam do miłéj ojczyzny odpłynąć,
„Póki mamy do rudla ludzi i do wiosła,
„Niż czekać, ażby trupem zaraza wyniosła
„Ostatki ludu, Troi mieczem niewycięte?
„Wezwijcie téż nareszcie jakie ludzie święte,
„Wezwijcie tu proroki: niech powiedzą, czemu
„Kazał nas Pan Bóg słońcu zarażać złotemu;
„A odkrywszy przyczynę, niech lekarstwo dadzą
„I snów się o to, z Boga idących poradzą!
„A jeżeli to grzechy nasze temu winne:
„Pobijemy ofiarą barany niewinne,
„Cielce tłuste, a Boga łaskę ubłagamy,
„Że zdejmie te ze słońca i ciał sine plamy.“

To rzekł i siadł; — a Kalchas, ksiądz grecki sędziwy,
Pan ofiar i rozlewacz przeświętéj oliwy,
Jasnowidzący starzec, któremu mogiła
Nigdy nic nie wydarła i nie zostawiła,

Bo przeszłości i całéj przyszłości był świadom —
Wstał — i trwożny, bo nie śmiał rycerskim się radom
Wręcz sprzeciwiać... takiemi słowy odpowiedział:

„Achillesie, kochanku bogów! gdybyś wiedział,
„Jaką na grzechy nasze bogi patrzą twarzą,
„Przez co znienawidziły, za co morem karzą:
„Zadrżałbyś! Lecz po wiedzę tych rzeczy nie sięgniesz;
„Chyba mi tu na głowę i na miecz przysięgniesz,
„Że co powiem, rozkrywszy tajemnicze światy,
„Choćby to obraziło króle i maguaty
. . . . . , . , . . . , .
. . . . . .
. . . . . *)

*) Miejsce tu wypuszczone wpisujemy z przekładu, dotąd drukiem nieogłoszonego, przez Jana Zborowskiego:

Powiem, lecz przysiąż wprzódy, wodzu mężny,
Że mi i słowem i ręką dasz wsparcie.
Bo że przeciwko mnie stanie mąż gniewny,
Król możny Argów, tego jestem pewny.
Gdy na słabego mocny się rozjuszy,
Choć w czas gniéw strawi, z sobą go uniesie
I żywi póty, aż wyleje z duszy.
Powiédz, czy chcesz mię bronić, Achillesie?

— Kalchasie, Achil prędkonogi mówi,
Co wiesz, mów śmiało, daremnie się trwożysz;
Bo nikt, na Feba miłego Zeusowi,
Którego wzywasz, gdy Achiwom wróżysz,
Nikt, póki żyję i widzę, z Danajów
U naw ci czarnych krzywdy nie wyrządzi,
Ni Agamemnon, pan szerokich krajów,
Który się w wojsku być najlepszym sądzi!

To rzekł prorok: a zaraz się w Agamemnonie
Złość zapaliła: powstał na błyszczącym tronie,
Pociemniał... pierś charknęła — oczy zapalone
Jak u psa pokazały w gałkach skry czerwone,
I tak straszliwy stojąc, z błyskawicą w oku
Zawołał: „O przeklęty nieszczęścia proroku,
„Którego spróbowałem nędzny tyle razy,
„Wieczny wróżbiarzu nieszczęść — i plag — i zarazy!
„Jeszcześ i teraz język rozwiązałeś na to,
„Śmiały starcze, abyś mię z wojskiem i armatą
„Porożnił?.. aby znowu przeciw mojéj głowie
„Jęli wierzgać i bunty podnosić Grekowie?
„Patrz, co mówisz... widzicie sztukę tego dziada?
„Oto na mnie jednego całą winę składa!
„Oto ja gniewu bogów winien — syn szatana!
„Za to żem słonecznego obraził kapłana,
„Żem ku brance nachylon, uwiedzion pieszczotą —
„Nie chciał oddać niebieskiéj dziewczyny za złoto...
„Prawda! bo mi też drogie to nieporównane
„Dziecko, sztuk umiejętne — białe i różane...

— Ani dla ślubów, ani dla ofiary,
Rzekł wieszcz osmielon, gubi nas gniéw Feba;
Lecz że znieważył Atryd sługę nieba,
Nie wydał córki i odrzucił dary:
Za to nas chłoszcze okrutnymi razy!
I nie odwróci Feb od nas zarazy,
Aż bez okupu będzie odesłana
Ojcu dziewczyna z pięknemi oczyma;
Gdy Chryza stugłów wspaniały otrzyma,
Może gniewnego przebłagamy pana.

„Ani mię Klitemnestra, gdym ją brał dziewicą,
„Nie zczarowała taką wonią — błyskawicą,
„Jako ta, wzięta ojcu gwałtem panna biała;
„Wszakże... gdyby dziś sprawa nasza na tém stała,
„Abym ja miłośnicy téj ustąpił komu,
„Zgodzę się: niech ma ojciec! niech wraca do domu,
„Jeśli tego wymaga sprawa pospolita —
„Choć kochana, choć moja, choć mieczem zdobyta,
„Niech idzie!.. Słusznaż jednak jest rzecz, mówcie sami,
„Abym ja jeden, pierwszy wódz i król nad wami,
„Miał utratę? i wszemu panując ludowi,
„Sam jeden próżne serce miał — i namiot wdowi?..
„Byćże to może, aby bez żadnéj nagrody
„Król został — i ponosił wszystkie wasze szkody?
„Krew wylewał — i królem był — a tak jak sługą?..
„Nie, za tę brankę — Grecya musi mi dać drugą!..
— Nienasycony! krzyknął Achilles, zgłodniały
Na łup! a więcéj branek łakomy, niż chwały!
Zajęty ciągle tylko zuchwałą grabieżą!
Myślałby kto, że wszystkie do ciebie należą
Dziewczyny i bogactwa, przez rycerzy krocie
Pojmane... wszystko twoje, co leży na flocie!
A my — sam dym łykamy tylko, paląc grody.
Słuchaj! Jeżeli jakiéj, królu, chcesz nagrody
Od wolnych... bo ja wolny tu przed tobą stoję —
Jeśli więc chcesz, to czekaj, aż weźmiemy Troję.
Wtenczas i ty pożywisz się, miast obdzieraczu,
Wśród płomieni, posoki, i wrzasku i płaczu...
Na to zaś król: „To ja się mam obedrzeć z łyka,
„A ty nic nie dasz?.. patrzcie tego wojownika!

„Że silny, to już myśli, że jakie półboże,
„Nad Greki Pan — nademną królem — wszystko może!
„Nie, mówię wam, a próżnych słów nie będę tracić,
„Za brankę mi musicie po królewsku spłacić,
„Odliczywszy mi za nią złota góry spore...
„A nie — to pójdę i sam któremu odbiorę
„Jego brankę!.. nie patrzę, na którego przyjdzie,
„Czy Ajax — czy Ulisses — czy ty sam, Pelidzie!
„Choćbyście się wściekali, nic to nie pomoże...
„Z resztą czas to pokaże... A teraz na morze
„Spuśćmy łódź i wybierzmy sprawniejszych wioślarzy,
„A potém tę dziewicę przecudownéj twarzy
„Który z was książąt przez fal poprowadzi grzbiety.
„Ulisses mi to zrobi — albo też król Krety,
„Albo Ajax... a może też lepiéj przystoi,
„Że sam Pelid — i siebie razem uspokoi,
„Podjąwszy się poselstwa, i bogi ubłaga...“
Na to Achilles — stokroć chmurniejszy, niż plaga
Niebieska — do zachwianéj podobny kolumny,
„Tyranie! krzyknął, żółcią zaprawny i dumny!
Niewolniku łakomstwa własnego i zbytku,
Wiecznie tylko swojego patrzący pożytku,
Podły — a nam rycerzom włażący na plecy!
Nie wiem prawdziwie, za co my się bijem Grecy,
Dla czego ja sam twoje wypełniam rozkazy?
Wszak mi Trojanie żadnéj dalekiéj obrazy
Nie zadali... w spokojne mi państwo nie wpadli,
Żyt nie palili — koni na łąkach nie kradli...
Daleko stąd się pasły moje tłuste stada —
W cichym kraju, gdzie jedno sam brzeg odpowiada

Grzmotowi śrebrnéj fali, złote żniwa stoją...
Dziś — ja sam nie wiem, za co szalony pod Troją
Ja — i wojska, krzywdami tylko tutaj płatne,
Nie za obelgi kraju, ale za prywatne
Krzywdy, zjechaliśmy się tu całe pół świata
Walczyć — za jakąś ot tam krzywdę twego brata;
Dotychczas nie zyskawszy nic dla siebie sami,
Tylko guzy i ciała okryte ranami,
Lub podłe fraszki, które trzeba było kupić
Krwią własną... I ty jeszcze i z tych mię chcesz złupić,
Z tych jeszcze?.. to, com dostał, całe ludu hordy
Wyrąbawszy — przez ogień i szable i mordy —
Tę okruszynę, co tak wygląda nikczemnie,
Tak mniejsza od twych łupów, jak ty sam odemnie,
Chcesz splądrować?.. Więc złoto do twego namiotu
Płynie — a ze mnie tylko morze krwi i potu?
Albo mi to oddają, czego wszyscy nie chcą,
I miłość własną próżném kadzidłem podłechcą,
Bo sam wyznaj, tak ze mną czyniliście długo...
Ale odtąd ja waszym niewolnikiem, sługą
Nie będę! Mnie do kraju flota odprowadzi,
A z Trojanami sobie Atryd sam poradzi."
— Na to rzekł król: „Uciekaj... z serca tobie życzę,
„Uciekaj, ja na ciebie bynajmniéj nie liczę,
„A na groźby też nie dbam, sercem się nie trwożę.
„Patrz, ile tu rycerzy — Pan Bóg sam pomoże,
„A królestwu szwankować nie da i osobie!
„Nikomu tak nie cięży wyższość — ile tobie.
„Gdzie kłótnie—gdzie krew tryska, gdzie pożar wybucha,
„Tam ty — tam kąpiesz twego okropnego ducha!

„Silniejszyś jest od wielu ludzi — sam wyznaję,
„Ale i siłę — to Bóg człowiekowi daje;
„Więc uciekaj! — więc łodzie swoje kładź na wałach!—
„Więc panuj tam gdzieś sobie spokojnie na skałach!
„Ja ciebie zatrzymywać i prosić nie każę,
„Tyle twój gniew, jak sobie twoję przyjaźń ważę:
„Jedź więc i Mirmidony twe trzymaj w pokorze!
„Ale tu — ja król — rządzę, panuję i trwożę,
„Ty ulegasz! i to wiédz, że gdy Chryzeidę
„Poślę, wnet do namiotu twego prosto idę,
„A choćby gwałtem — jeśli opór kto utrzyma —
„Wezmę ci błyskającą ciemnemi oczyma
„Bryskę twoję... Wtenczas to przeklniesz po sto razy
„Dumę twoję i skore do obelg wyrazy,
„I pokażesz w osobie swojéj pełnéj sromu,
„Że nad króla nikt wyższy — jedno Pan, Bóg gromu...“
— Słyszący taką mowę Achilles skamieniał,
Drżał cały — na przemiany potniał i czerwieniał,
Pierś mu się podnosiła — wściekłość i rozwaga
Walczą w nim, jak dwie wiedźmy... Gdy pierwsza przemaga,
To oczyma jak ognia pieczęciami piecze,
Już już na króla leci, zda się, że rozsiecze —
I znowu go rozsądek gdy zimny zatrzyma,
Stoi... i tylko błyska po Grekach oczyma.
W takich burzach gdy lewą prawicę zacisnął,
A prawą dobył miecza wpół z pochwy — i błysnął,
Gdy już miał biéc, a cały zdawał się szalony,
Zbiegła z niebios Minerwa — z rozkazu Junony —
Równo sobie ważąca dwóch rycerzy losy.
Zbiegła i Achillesa porwawszy za włosy

Złote i rozwichrzone, wstrzymała w zamachu.
Nikt jéj nie widział — stała ciemnościami strachu
Otoczona, sam tylko patrzy się w anioła
Achil i widzi oczu płomieniste koła
Świécące na powietrzu ogniście, i woła:
—„Przychodź Minerwo — ręce do ciebie podnoszę!
Patrz, co ja cierpię... patrzaj, co od ludzi znoszę!
Patrz na tego Atryda bez czci i bez wiary!
Przychodź, świadkiem bądź razem obelgi i kary.“
— Na to Minerwa: „Na to mię widzisz zjawioną,
Abym ci uciszyła gniewu pełne łono.
Poddaj się rozsądkowi i spuść się na Boga,
Juno każe... A to wiédz, że zarówno droga
Niebiosom gwiazda twoja, jak gwiazda Atryda.
Mów łagodnie, miecz schowaj — na Trojan się przyda—
A zawierz mi niebieskiéj, która mą źrenicę
Niebieską wtrącam w złotą przyszłości świetlicę
I czytam jasno w przyszłéj życia twego zorzy;
Zawierz, że ci Atryda tego upokorzy
Czas i wypadki same — tak że przed namiotem
Ujrzysz go z pokłonami dla ciebie i złotem.“
— Na to Pelid: — „Łagodność mi wlałaś do ucha,
O Minerwo! gniew ciebie serdeczny posłucha,
A krzywdę swoję ludzką wam Bogom zostawi.
Kto Bogu, temu także Pan Bóg błogosławi...“
Rzekł; i pośród zdziwionych Greków — jak z kamienia —
Stał, patrząc ciągle w oczy miesięczne zjawienia,
Aż się cień boski w kręgi tysiączne rozprysnął
I wrócił w niebo. Wtenczas miecz do pochwy cisnął,
A sam ostatkiem gniewu wrząc, rzekł do Atryda:

— „Greków to wstyd i ziemi téj całéj ohyda,
Że cię nosi, straszydło z różnych jędz uwite!
Ty psie na twarzy, serce masz tchórzem podszyte!
Bo kiedyż cię widziano, podły, czego wartym
Gdziekolwiek — czy w zasadzkach, czy w boju otwartym?
Za tyłem zawsze wojska, jak szatan się wiłasz,
My giniem, a ty na śmierć rycerzy posyłasz;
Bo też to łatwiéj włóczyć po obozie nogi,
Łatwiéj okradać swoich — niż obdzierać wrogi!
I gdyby nie to, że cię nam na karki wwiodły
Losy... i gniew Jowisza, o łakomco podły,
Gdybym w Grekach swobodę znał i miłość bratnią:
To ta twoja obelga byłaby ostatnią.
Bo już... lecz zatrzymany tu byłem przez zmorę.
Słuchaj więc, oto berło na świadectwo biorę:
Na to martwe w niém drewno, na tę gałąź suchą
Przysięgam, że na jęki greckie zamknę ucho,
Że tak jako ta gałąź umarła zostanę
Wiecznie! na Styxu ognie przysięgam rumiane,
Na Jowisza tron złoty — na Olimpu chmury,
Że choćby tu z ciał waszych Hektor walił góry,
A z żył waszych lał morze i rzeki czerwone:
Nie przyjdę — choć wołany, na waszę obronę
Nie przyjdę! — a poznasz to wtedy gwałcicielu,
Że człowiek jeden taki, jak ja, waży wielu;
Poznasz — w Trojańskich ci się to tarczach pokaże,
Ile ty wart, i wiele ja na polu ważę!“
— Rzekł; i z największym gniewem rzucił pośród Greków
Na ziemię berło, złote tysiącami ćwieków.

Rzekłbyś, że z garści rzucił złotemi gwiazdami —
I siadł — nie dbając, że nań król namarszczył brwiami.
A wtém dźwignął się z krzesła zwolna Nestor stary,
Pylijski król — szanowny i mądry bez miary,
Hamujący od dawna te rycerze szybkie.
Słowa mu z ust płynęły, jak miód, słodkie — lipkie —
Wnikające. Przy szmerze téj słodkiéj wymowy
Dwa pokolenia przeszły — on zaś Nestorowy
Żył wiek, a swe pylijskie dobrze rządził Greki
Przez dwa (i coś na trzeci zachodząc) półwieki.
Ten w obozie przez wszystkich starzec poważany
Wstał i zaczął z powagą, przez wszystkich słuchany:
„O! jaki wstyd dla Greków — pociecha dla Troi,
„Gdy tu pomiędzy wami rzecz publiczna stoi
„Od kłóteń rozerwana... O! jakże to smutnie,
„Że nam przeciwne duchy wsiały takie kłótnie!..
„Wy młodzi — wy najpierwsi — we wszystkiém na czele,
„Na Boga ten wasz ogień zagaście w popiele!
„Nie ważcie sobie lekce, co wam Nestor gada —
„Wielkim ja kiedyś królom byłem za sąsiada!
„Takich już nie obaczy ziemia... Któż dziś śmiało
„Z dawną Pirotousza porówna się chwałą?
„Z Dryjantesem odwagą, wziętością z Kneuszem,
„A cóż rzéc z cudownikiem owym Tezeuszem,
„Albo choć z Polyfemem?.. Tych ja wyliczyłem,
„Z którymi niegdyś ściśle i przyjaźnie żyłem,
„Będąc młody — palący się ogniem krwi żywéj
„I uczciwą zazdrością, ku sławie uczciwéj.
„Straszni to byli ludzie — straszne wojowniki
„I łowce, czy to poszli z oszczepem na dziki,

„Czy na potworne jakie w pustyni straszydła
„Wpadli, tnąc łby centaurom, smokom z ognia skrzydła.
„Straszni ludzie! a często jednak radę brali
„Odemnie — nawet mądrość pewną przyznawali
„Mnie młodemu... Bywało, ci bohaterowie
„Nieraz mówią: słuchajmy, co nam Nestor powie.
„Tożby się i wam także posłuchać mnie zdało...
„Królu, nie bierz mu branki! wojsko mu ją dało.
„A ty też Achillesie, spuść nieco z téj dumy,
„Niech król będzie nad nasze serca i rozumy!
„Ty piérwszy — tam gdzie człowiek sprawę mieczem czyni,
„Bogom podobny siłą — urodzon z bogini;
„On — powagą wzniesiony i godnością trwoży
„Nad wszelkie syny boże — nad wszelki lud boży.
„Złączcie więc razem, złączcie niezgodne umysły!
„Niech siła i powaga wejdą w związek ścisły.
„Ty królu pozwól, że ja Achilla złagodzę,
„A ty sam swego gniewu sobie ukróć wodze.
„A Boże broń — takiego nam stracić rycerza,
„Jak Achil, piorun wojska naszego i wieża...“
Skończył i usiadł. — Na to król ludów odrzecze:
„Lata twoje sędziwe, z ust miód słodki ciecze.
Ale powiédz, kto tego uhamuje ducha?
Królami on pogardza, nawet praw nie słucha!
Mają mu wszyscy starsi uderzać kolanem —
On ma być prawodawcą — i wszechwładnym panem?
Jemu wojsko — wodzowie — ja sam się pokłonię?
Któż zniesie taką dumę siedzącą przy tronie?
Czyliż mu tutaj siła za przywilej stanie,
Gdy — —“

Przerwał mu Achilles i krzyknął:— „Tyranie!
Mam za to, żem ci służył — żem wkładał na szyję
Twój łańcuch — nie zapomnę tego, póki żyję!
Żem dekretom bezprawnym ulegał, mam za to!
Idź i rozkazuj sługom — nie mnie, autokrato!
Weź Bryzejdę — choć mieczem zdobyta na wojnie
I przez naród przyznana — weźmiesz ją spokojnie...
Co do mnie, od spraw greckich ręce mam umyte.
Odtąd — walczyć nie będę za żadną kobiétę.
Tę oddam — bogi każą zapomnieć urazy.
Ale ty się nie skuszaj na gwałty dwa razy,
Bo drugi raz ci tytuł króla nie posłuży
I twoja krew się na tym ot mieczu zakurzy!“
Na tém ustała kłótnia — zakończona rada —
I rozeszła się wodzów poważna gromada.
Achilles z Patroklusem do swoich namiotów,
Atryd zaś na brzeg idzie... Tam wkrótce był gotów
Okręt o licznych wiosłach — na nim posadzona
Piękna Chryzeis — przydan od Agamemnona
Ulisses w przenajświętszym posła charakterze,
I cielce złotorogie w błagalnéj ofierze
Ofiarowane, niższe zaległy pokłady.
Więc rozwinięto żagle i przez błękit blady
Poszła łódź...
Agamemnon zaś sam przedsiębierze
Oczyścić wojsko — święte zaczęto pacierze,
Wotywy, wodozlania, opłókania boże.
Myje się lud — wylewa czarne męty w morze.
Skróś, jak brzeg długi, leżą poświęcone w darze
Cielce, byki — kamienne Apolla ołtarze —

Na nich ogień — i wstęga dymu czarnowłosa
Wonności miłe bogom unosi w niebiosa.
Gdy tak wojsko zajęte za świętymi prosi,
W Agamemnonie gniew się na nowo podnosi.
Przy nim dwaj heroldowie stali do posługi,
Eurybates zwan jeden, a Taltybiusz drugi.
Do nich obu król krzyczy: „Wraz mi do namiotów
Achillowych po brankę, jeśli dać ją gotów!
Jeśliby się zaś wahał — człowiek niespokojny,
Powiédzcie mu, że przyjdę ja sam po nią zbrojny...“
Z niechęcią wypełniając srogi rozkaz pana,
Idzie brzegiem heroldów para zadumana —
Przychodzą. Namiot widzą do głębi otwarty —
Rycerz siedzi ponury, cichy, o broń wsparty —
Oba stanęli cicho w milczeniu na boku,
Nie śmieją ust otworzyć, ani pomknąć kroku —
Spuścili laski — niby zgaszone pochodnie —
O! piękny wstyd... Achilles wstawszy, rzekł łagodnie:
„Przecz nie wchodzicie? czemu stoicie u proga,
Święci posłowie ludzi, a czasem od Boga.
Wchodźcie! z czcią i pokojem będziecie przyjęci.
Do was ja, starce, żadnéj nieczuję niechęci,
Wiém, co poselstwo wasze od króla mi niesie,
Wyście temu niewinni. — Spieszaj Patroklesie,
Przyprowadź Bryzeidę! — Wy zaś ludzie święci,
Zapiszcie to, co powiém, głęboko w pamięci,
A z branką razem, rzućcie to królowi w oczy,
Ten ślub: Że niech się Grecya krwią zraniona broczy,
Niech ginie, niech z całego obędzie się ciała,
Z krwi wysączy — to Achil tu jak trup, jak skała,

Tu... I ten król wścieczony — ten ohydny zdzierca,
W przestrachu, bez rozumu nad wojskiem — bez serca,
Niezdolny sobie w żadnéj zaradzić potrzebie,
Zlęknie się i zrozpacza — wściekły sam na siebie..."
Rzekł. —A Patrokles brankę przyprowadził — Ona
Żałosna, w uciszonym smutku pogrążona —
Idzie — pod ręce starzy heroldowie wiodą
Żałosne dziéwczę, brzegiem kręconym nad wodą.
Achilles także w próżnym nie został namiocie.
Idzie na brzeg najdzikszy — siada przy fal grzmocie,
W błękit oczy utapia i siedzi, jak skała...
Z tych to błękitów niegdyś jego matka wstała.
On też nad niemi — we łzach — w serdecznéj goryczy
Siedzi i do krzyczących fal tę skargę krzyczy:
„O Matko, o Bogini rządząca tą wodą!
Oto ja syn twój, umrzéć przeznaczony młodo,
Pod takim smętnym losem miałem przecie prawo
Żywot mieć krótki, ale otoczony sławą!..
I patrz, co ze mną czynią bogowie — co czyni
Ciskacz gromu — patrz, matko moja, o Bogini!
Także to dotrzymuje Jowisz obietnicy?
Otom zhańbion wydarciem miłéj niewolnicy,
Zelżony przez Atryda, pod obelgą jęczę..."
Słyszy to biała Tetys, gdzieś w podwodne tęcze
Zanurzona w pałacach boga Oceana,
Słyszy i z fal wytryska tak niespodziewana,
Jak widmo z mgły; do syna po fali przybiega,
Pyta o troskę — prosi — miłośnie nalega.
„Zwierz mi się, mówi, bożku prześrebrnego lica!
Ja matka — ja najlepsza twoja powiernica."

Na to Achil westchnąwszy:— „Wiadomo ci pewnie
Wszystko wiedzącéj Boży, Olimpu królewnie,
Żeśmy tu przypływając z naszą grecką flotą,
Zdobyli gród Apolla jasny — Tebę złotą,
Skąd zdobycz krwią żołnierzy i Greków czerwona
Była równo pomiędzy wodze podzielona.
W tym podziele dla Agi naszego Memnona
Przypadła, jak powszechna była na to zgoda.
Najcudniejsza dziewczyna — panna — Chryze młoda,
Boskie stworzenie, bogom ulana do miary...
O to się dziéwczę zgłosił ojciec — kapłan stary;
Z podarunkiem i królów téż ufając łasce,
Kapłan o złotém berle, w laurowéj przepasce
Przyszedł — starzec kurzawą okryty podróżną;
Chciał płacić — błagał — jęczał: lecz wszystko naprożno.
Choć za nim brat królewski mówił — choć zdaleka
Za tym ojcem przemawiał głos każdego Greka:
Wszystko naprożno! Atryd był na prośby głuchy...
Wtenczas ojciec ów, Boga swojego i duchy
Zakląwszy, to uczynił, że bóg słońca mściwy
Szelestem strzał i jękiem powietrznéj cięciwy
W słońcu zaćmioném stanął, i wypuścił mory.
Wnet to odgadli nasze obożne znachory —
Wnet kapłan pojął krzywdę bogom uczynioną.
Rósł gwar — ja sam kapłanom stanąłem obroną,
Zwołałem radę. — Na niéj nasz kapłan proroczy
Królowi jego winę prosto oczy w oczy
Wypowiedział. Wtenczas to ten monarcha w gniewie
Niehamowny, przez chuci spalony żarzewie,
Cóż czyni?.. Oto Chryzę oddaje, a za to

Bryzeidę, co była moich ran zapłatą,
Moich namiotow światłem — porywa mi w złości
Przeciwko wszelkiéj wierze i sprawiedliwości
W obliczu Greków!.. I gwałt taki krwi nie zrodzi?..
O! nie — Ty Matko, któréj białe skrzydło chodzi
Po niebieskich błękitach, gdzie jest gwiazdom droga,
Ty leć, ty nieś tę krzywdę syna przed tron Boga!
Wszak mi często mówiłaś, że bóstwo czerwone
Piorunami... raz tobie winno swą obronę,
Gdy się przeciwko niemu — pod Olimp wysoki
Podniosły zbuntowanych aniołów obłoki;
Gdy sama Juno pawie skrzydła przeciw Panu,
I Duch mądrości — i bóg straszny Oceanu
Podnieśli — zapalone straszną dumą duchy —
Gdy szli i Boga chcieli już okuć w łańcuchy:
Ty jedna, jeśli dobrze pamiętam... z otchłani,
Kędy leżeli twórce skał spiorunowani,
Wywołałaś straszydło dawno niewidziane,
Sturęczne, Bryjarejem na Olimpie zwane,
U nas zaś Egeonem... i duchów potopem
Pochwycony tron Boga, onymto Cyklopem
Podparłaś. Sam się Neptun cofnął przed tym chłopem,
Sama Juno — gdy on przez obłok różnotęczny
Zaczął swój ruch okropny, wichrowy, sturęczny, *)
Cofnęła się — ukorzył się wnet Olimp cały,
Duchy się zlękły, Boga jednego wyznały,

---

*) Ruch ducha, który broni Bóstwa, straszniejszy w siłach, niż Morze i Powietrze, Neptun i Juno.
Przypisek Autora.

Łańcuchy upuściły... To, matko, z zapałem
Powtórz klęcząc przed Boga wielkim trybunałem;
Tą usługą — u kolan Boga położoną --
Skrusz go! niechaj na Greki spojrzy brwią zmarszczoną.
Niech je uciśnie!.. Niech się ginącymi widzą!
Niech sobie tego króla, sprawcę nieszczęść, zbrzydzą!
Niech go samego wreszcie przymusi niedola
Spuścić głowę nad smętnią przegranego pola!
Niechaj krwawe — żałobne myśli go przymuszą
Wyznać się względem ducha mego — niższym duszą!.."
Na to Tetys:— „O! dziecię moje nieszczęśliwe,
Rzekła, a mówiąc, z oczu sypała łzy żywe,
Perły oceanowe — bogdajbym ja była
Nigdy cię przeciw sądom losów nie rodziła!..
Bo i krótko żyć tobie! i żyć taki smutek!..
Albo przynajmniéj, gdyby jakikolwiek skutek
Miały matki pacierze — a ty był na wojnę
Nie przyjechał, lecz w kraju życie wiódł spokojne,
Ani się znalazł pod tym strasznym Iljonem,
Gdzie każda prawie chwila tobie grozi zgonem!..
A teraz — cóż ja mogę?.. To jedno, uboga
Matka, że twe modlitwy zaniosę przed Boga,
Że dotrę do samego Jowisza na tronie;
A ty synu — nic nie czyń! czekaj, stój na stronie!..
Jowisz teraz z bogami odszedł nieba stropów,
I udał się na ucztę — aż do Etyjopów,
Aż na kraniec ostatni gorącego świata,
Gdzie zwykle na dwanaście dni co roku lata
I widzialnie z duchami między ludźmi gości
Dla niesłychanéj tego ludu niewinności,

W któréj się dziwnie kocha... Czekaj więc, aż z onych
Puszcz złotych — ludów czarnych — granitów czerwonych
Bogi wrócą na śnieżną Olimpu fortecę;
A wtenczas ja z prośbami twojemi polecę,
I one Jowiszowi samemu przełożę."
To rzekłszy, odstąpiła cokolwiek na morze
Piękna Tetys — na miejsce, skąd wybłysła była,
I w otwarte się fale zielone wrzuciła;
A one ją wieńcami kapiącego śniegu
Zarzuciły. Sam Achil został się na brzegu
Zrozpaczony — —
Tymczasem Ulisses przybywa
Do Chryzy — dna złotego kotwicą zarywa,
Żagle powiązać każe; potém ofiar stada
Wychodzą na brzeg — Chryzys ostatnia wysiada,
Wygnanka — w swe rodzinne wraca okolice...
Sam Ulisses przecudną prowadzi dziewicę —
Prosto z nią do świątyni Feba... gdzie ją stawia
Przed ojcem i w te słowa do starca przemawia:
„Witaj święty kapłanie! w kościoł poświęcony
Wchodzę jako suplikant od Atryda strony.
Nietylkoć bez okupu dziéwczę twoje hoże
Wracam — ofiarę jeszcze na ołtarz przywożę.
Bóg daj, aby się anioł tém ubłagał biały
A przestał na nas ciskać morowemi strzały."
Rzekł; a ojciec przyciskał już dzieweczkę oną
Próżno odszukiwaną, boleśnie straconą —
Rozradowany. Greki zaś już ołtarz święty
Otoczyli tłustymi byki i skopięty,
Na ręce zlali wody przeczyste, lustralne,

Przygotowali słone placki ubłagalne,
Kapłan nareszcie w strasznéj wystąpił powadze,
Wzniósł ręce i niebieskie tak upraszał władze:
„Boże śrebrnego łuku! o ty, który złotą
Cyllę napełniasz twoją świécącą istotą,
A na Tenedu fali zachodzisz i wracasz
I wyspę moję Chryzę cudownie ozłacasz:
Jeśli się to starego kapłana obrazy
Mściłeś, o Panie, takiéj rozsianiem zarazy:
Bądźże mu teraz łaskaw, gdy twéj łaski szuka
Prosząc za ludźmi, a spuść twą cięciwę z łuka.“
Tak Chryzes prosił — wnet go usłuchał Apollo.
Tymczasem Greki zboże pomięszane z solą
Sypią owdzie, gdzie rogi nosi byk wspaniały;
Bydłu głowy podnoszą, rzną — i tną w kawały,
Ze skóry łupią, cząstki najlepsze z łopatek
Oczyszczone, w słoniny śrebrny liść i kwiatek
Ubrane, bogom święcą — składają na stronie;
Kapłan staje nad ogniem świętym, wznosi dłonie,
Poświęca Bogu jadło woniące — ofiarne,
Obrzędy święte pełni — wino leje czarne;
Ogień za modlitwami w niebo czyste goni,
W około młódź w złocone instrumenta dzwoni.
A gdy się zadość stało przez człowieka ręce
I ogień, gdy łopatki i wnętrza bydlęce
Poszły ofiarą bogom będącym daleko:
Resztę mięsiwa Greki rozdzielają — pieką,
Na stołach kładą, równo między sobą dzielą,
Sycą głód — potém winem swe duchy weselą.
Stokroć czara obchodzi młodzieńców gromadę

I wraca. Pieśń nareszcie zakończa biesiadę.
Już słońce zaszło w mroczne, mgliste oceany,
A oni jeszcze ciągną długie swe peany
I wyciągają długie smętne nuty z ducha —
Brzmi powietrze, Apollo przyzwala — i słucha.
Tę noc przy łodziach spali; lecz skoro różana
Jutrzenka nad błękity boga Oceana
Rozsypała swe róże, oni ze dniem wstają,
Żagle podnoszą — wiążą — łódź czyszczą, zmywają,
Wiatr pomyślny napełnia żagle i wydyma —
Płyną — morze przed łodzią grzmi, pieni się, zżyma,
Nareszcie już Tenedos piaszczysty i złoty
Widzą i pomięszane z łodziami namioty.
Przybijają do brzegu — wyciągają nawę
Na piasek — sami idą zdać z poselstwa sprawę;
Weszli w obóz, z gwarną się pomięszali zgrają...
W Pelidzie zaś okropne gniewy nie ustają.
Pod namiotami swymi bezczynny się kładzie,
Ani go w boju widać, ani też na radzie.
Żuje zemstę — na wiatr zeń idzie próżno siła,
Mgła go ognistych, czarnych duchów otoczyła...

II.

Z PIEŚNI XVII.

(od wiersza 1—151).

Gdy tak trup Patroklusa zabity na ziemi
Pomiędzy zwyczajnymi leżał umarłymi,
Menelaj — piérwszy serce poczuwszy, przypada,
Staje przy trupie, tarczą złotą go zakłada,
Broni, a kopią w ręku miedzianą pobrząka.
Tak łani zabitego gdy widzi jelonka,
Matka biédna — przybiega i łzami go rosi,
Pyszczkiem dzieciątko swoje rusza i podnosi;
Podobnież i on — gdzie nań grad pocisków leci,
Stoi — i przy tym trupie tarczą krągłą świéci.
Wtenczas syn Panteusza — ów co sławnie strzela —
I z trupa i z wiernego zwłokom przyjaciela
Urągowisko czyniąc, wybiega i mówi:
„Słuchaj! jeśli być nie chcesz podobny trupowi,
Ty coś stanął strażnikiem umarłego ciała,
Precz stąd! Jam zabił — Dla mnie z niego łup i chwała.“

W Menelaju się na to złość zagotowała,
Wzgarda wytrysła, podniósł do Jowisza dłonie;
„O! jak ty się tam musisz, krzyknął, śmiać na tronie!
Ty Boże na piorunach siedzący czerwonych,
Ilekroć się tu ludzie chełpią z dzieł kradzionych.
Lew w mocy taką dumą na kudłach nie wzbiera,
Ani się tak najeża skacząca pantera,
Ani niedźwiedź — pastérskiéj przestrach okolicy,
Nie dmie się tak, jak próżni ludzie — śmiertelnicy.
Ale nad ludzi rodzaj gorzéj się napusza —
Bóg widzi — to potomstwo nędzne Panteusza.
Wczoraj jeszcze zgładziłem i zmiotłem ze świata
Temuto samochwalcy rodzonego brata;
Wczoraj Hyperenora te skrwawione dłonie
Wydarły żywotowi i ojcu i żonie;
A ty równego losu chcesz, próżna istoto?
Ha! jeśli tak, to dobrze, idź w Stygijskie błoto!
Idź — albo mi się celem nie stawiaj na oku
I mądry — póki pora — uchroń się wyroku!“

Na to Euforb: „Strasznemiś mi przypomniał słowy,
Że mi za krew braterską trzeba twojéj głowy,
Że ojcu ona memu i brata się wdowie
Należy... Walcz, a sami osądzą bogowie,
Któremu z nas fortuna zostanie i sława!“
To mówiąc, cisnął włócznią. Ale ta niekrwawa
Po puklerzu, wydawszy brzęk, na dół zleciała.
Atrydowi Jowiszem ojcem pierś nabrzmiała,
Uderzył — w gardło trafił — od razu zabija.
Świéci się wielką raną przewiercona szyja —

Wali się na wznak ciało — z mosiężnymi grzmoty
Upada — we krwi swéj włos rozsypuje złoty,
Kamionkami i złotą przetykany nicią —
Włos, który wodne nimfy z ulotną kibicią
Prawie mogłyby za swój wpleść w pereł korony —
Teraz na ziemi — w prochu i we krwi zbroczony!..
Tak w pięknéj okolicy, gdzie oliwne drzewko
Tańcem listków i kwiatków i ptaszęcą śpiewką
Wesołe — na błękitach jak wymalowane
Stało, od źródeł w ciągłą zieloność ubrane —
Wtém wionął wiatr z północy — a oliwka ona
Leży odarta z liści i wykorzeniona,
Już nie ozdoba, ale gościńca zawada...
Tak właśnie Euforb. Atryd ku niemu przypada,
Zbroję zdziera — podnosi w górę — dumą płonie,
Pierzchają przed nim ludzi szeregi i konie.
Pierzchają, jako kiedy z gór królewskie zwiérzę,
Lew, schodzi — to zmykają przed nim psy — pastérze,
A on zwaliwszy wołu — łapami przytłoczy
I spokojnie w nim swoje białe zęby broczy
I tak bezpiecznie swoją zatrudnion zdobyczą
Ani dba, że pastérze, psy i echa krzyczą. —
Wtenczasto już Apollo sam ujrzał, że pora
Pobudzić duchy — choćby samego Hektora.
Postać więc wziąwszy na się Hektorowi znaną
Menteja, stanął z dala mgłą wymalowaną,
Niby ów wódz Cykończyk, i krzyknął z daleka:
„Nie złowisz woza, który przed tobą ucieka,
Ani dogonisz z wiatru urodzone konie,
Przyzwyczajone jeno pod Achilla dłonie

Kark schylać. Próżno biegasz przez polne błękity!
Tu wróć — Troja pierzchnęła — Euforbiusz zabity,
Euforbiusz — pełny ognia — zabity na wieki —
Spartańczyk zabił — patrzaj, tryumfują Greki!“

To rzekłszy bóg, ulotnił swe mgły piękne, blade
I wmięszał się w rycérzy walczących gromadę.
Ale w uchu ścigacza Achillowych koni
Smętnie i przeraźliwie ten głos boga dzwoni.
Spojrzał, jedném spojrzeniem obleciawszy, zoczył
Euforba ciało, który na piasku się broczył;
Spartańczyka, że zbroją zeń obdartą błyskał,
Widząc, rzucił się — Trojan szeregi pościskał,
Ogrzmił głosem — jak Wulkan z nimi szedł, i szalał
I wiódł i ogniem całe szeregi zapalał.

Na głos Hektora Atryd wielki podniósł głowę
I taką z sobą samym rozpoczął rozmowę:

„Mamże teraz odbieżeć podle tego ciała,
Które tu za mnie ta śmierć nieszczęsna spotkała?
Mamże ścierpieć, że z mego przyjaciela zbroję
Zedrą? czy wziąć na siebie Hektora i Troję?..
Nie byłoby to — gdybym tak poczynał sobie —
Kusić bogi, w Hektora stojące osobie?
Wszak zabić go nie w moim to stoi wyroku;
Przebacz mi więc, o Grecyo, jeśli cofnę kroku,
Ja, com się w boju teraz zmęczył i zadyszał...
Gdybym przynajmniej gdzie głos Ajaxa usłyszał,
Gdybym go gdzie wynalazł! Snadniejbyśmy razem
Obronili to ciało miedzią i żelazem

I Achillowym smętnym trupa łzom oddali "...
Rzekł; a już czas go naglił — Troja nakształt fali
Szła — Hektor sam na czele, za nim zbrojna tłuszcza.
Co widząc Atryd, ciało Patrokla opuszcza,
Cofa się walcząc. Tak lew z rozognioną skronią,
Gdy go krzykiem, strzelaniem od ściérwa odgonią,
Ucieka — ale oczy straszne w ludzi wraża,
Obraca niemi — strachem goniące przeraża.
Tak on... aż swe Spartany spotkawszy, na nowo
Postawił pierś ku wrogom — w krąg obrócił głową,
Przez chmurę pyłu ujrzał jak wyniosłe drzewo
Boską postać Ajaxa, szeregom na lewo
Stojącą, ociemnioną strachem, krwią zmazaną,
Pierś jego, która Grekom dzisiaj była ścianą,
Odwagę, z któréj ciągle szło w boju natchnienie.
Ku niemu król: „Ajaxie, błagam cię na cienie
Miłych, trup Patroklusa zastępuję niemy;
Chodź, zbawmy go od hańby — więcéj nie możemy —
Chodź — Achillowi wróćmy przyjaciela zwłoki!
One tam nagie — we krwi zwalone potoki
Pod Hektora nogami i urągowiskiem...
Chodź!"— Odpowiedział na to Ajax oczu błyskiem
W serce ruszony. I wnet oba wodze wściekli
Przez tłumy się walczących rycerzy przesiekli,
Nadchodzą... Hektor trupa już miał włosy krwawe,
Już go dać psom trojańskim przysięgał na strawę,
Już ciągnął, gdy ogromną tarcz Ajaxa zoczył;
Zadrżał — porzucił trupa — na wóz złoty wskoczył
I odjechał, a sługi wprzód wyprawił swoje,
By do miasta odnieśli Achillesa zbroję.

III.

Z PIEŚNI XXI.

(od wiersza 342—396).

Zaraz ją wysłuchawszy duch elementarny
Błysnął złotym płomieniem, dym wyrzucił czarny,
Biegnie, zapala trupy — zwiędniałe wywędza,
Wodę w wrątek zamienia, w koryto odpędza;
A jako pod jesiennym Boreasza tchnieniem
Srebrzą się pola letnim spalone płomieniem,
Podobnie grunt się szary i kościami biały
Świecił w ogniu, już cały żałośnie zwiędniały.
Prędko po trzcinach płomień chwyta się, przelata,
Rzekę jakoby w pierścień ognisty oplata;
Drzewa się popalone węglem, prochem walą,
Lilije więdną — czarne tamarynty palą,
Cyprys w piramidalne zamienia się zgliszcze,
Ogniem dotknięta woda burzy się, wre, świszcze,
Zajmuje się płomieniem... w roztworzone płuca
Ryba chwyta powietrze, z wody się wyrzuca —

Znów nurtuje i zimna szuka w ciemnéj skale
I wywrócona, brzuchem wychodzi nad fale.
Aż nareszcie duch rzeki sitowianą głowę
Podniósł, spojrzał ogniowi w oczy, schwycił mowę
Razem z krótkim oddechem i rzekł: „Ognia boże!
Któż twoim płomienistym skrzydłom dotrwać może?
Słabszy — mdleję. Niech będzie los, niech Troja kona!
A ty zdejm ze mnie twoje ogniste ramiona.“

Rzekł; i znowu ogniowi będący zdobyczą
Zajęczał; wrą ukropy, fale kipią, syczą.
Tak ogień, gdy miechami ofiarnymi wzmagan
Otoczy pełny wody i tłustości sagan,
Obwija go tysiącem jasnych złotych węży,
Jęczy sagan, wytryska para — w dymach cięży:
Podobnie woda ogniem Wulkana dotknięta
Huczy, wytryska, staje, zdębia się cofnięta,
Aż nie widząc ratunku sobie z żadnéj strony,
Ozwała się do boskiéj powietrznéj Junony:

„O Saturnina żono — ze łzami powiada,
Dla czego twój syn na mnie taki wściekły wpada?
Przeciwko innym bogom niech używa siły,
Jeśli chce, niech ma z Troi gruzy i mogiły!
Ja się poddam pod twoje rozkazy książęce,
Lecz każ, niech zdejmie ze mnie te ogniste ręce!
Jeśli nie wierzysz, słuchaj duchowéj przysięgi:
Niech Ilijon otoczą te pożarne kręgi,
Niechaj wieżom porobią warkocze i włosy!
Ja się temu nie oprę; choć bóg — uczczę losy.“

Ta prośba tak Junony poruszyła serce,
Że zaraz ognistego wstrzymała mordercę.
„Stój, rzekła; za śmiertelnych ty nie walcz, archanioł,
Przeciwko archaniołom!“ — Ogień zaraz stanął,
A fale w spokojniejsze powróciły życie
I znów słodko zagrały w mruczącém korycie.

Gdy tak Junony wola uśmierza rozłogi,
Większym gniewem na siebie szły duchowe bogi,
Wściekłością zapalone na siebie wzajemno.
Wichrzą się — na Eterze od wzburzonych ciemno,
Pod ciemnością posępnym chmury biją grzmotem,
Daléj ziemia grobowym odtętnia łoskotem,
Walka pełna zawichru, huku i płomieni —
Jowisz pogląda z góry i twarzy nie mieni,
Puszcza los, a tymczasem drzewce piorunowe
Podniósł straszny bóg bitew — na wojny królowę.

„Coć, rzekł, szalona wiedźmo, do tego powiodło,
Żeś między bogi nawet wniosła twoje godło?
Jestże to dziw, że twoim odurzony szałem
Człowiek na boga godził mieczem i postrzałem?
O Tydeuszu mówię, który mi za wroga
Stanął i zaczerwienił dzidę we krwi boga...“

. . . . . .

POETA I NATCHNIENIE.

FRAGMENT.

POETA I NATCHNIENIE.

FRAGMENT.

Poeta.

Atesso!

Duch.

Jestem; alem uciekała,
Bo mię ta dziwna pieśń w otchłanie niosła.
Wszak wiész, żem z tobą razem zmartwychwstała
I razem z tobą znowu razem rosła.
Wszak wiész, gdzie oliw czarny gaj i skała,
I srebrne ogniem ozłocone wiosła;
Wszak wiész, ta chata nasza bez zapory,
To falerneńskie wino i amfory

I w ścianach różne marmuru odłamy
I strumień, co tam w takt lutniowy ciecze;
Wszak ty pamiętasz — bywało czytamy,
A ja Eschyla tobie rym kaleczę;
A gdzieś daleko na onyxie bramy
Słońce, na tańca pirejskiego miecze
Wzięte, przez liście cytryn się przeciska
I w oczy nasze zamyślone błyska.

Tam chór prowadzą młodzieńce na polu,
A tam z Hymetu księżyc biały miga...

Poeta.

Dosyć, o duchu biały, bo mi z bolu
Znów serce pęka...

Duch.

O! ten sen mnie ściga!

Poeta.

O straszny boże burz, o ty Eolu,
Coś ze skał wiatry wypuścił na Fryga,
Dziś pomieściłeś wszystkie akwilony
W grobach i z mogił moich dmiesz szalony —

Duch.

Spokojnie, o mój kochanku!

Poeta.

Spokojnie!

Duch.

Jesteś jak nimfa Echo.
Ja ci mówiłam po Farsalskiéj wojnie,
Że mak, co rośnie pod Greczyna strzechą,
Nie uśpi,.. harfa, chociaż zagra strojnie,
Chociaż wesoło, nie będzie uciechą;
Że pamięć kształtów będzie w sercu brzydła.
Wtenczas wyrosły mi motyle skrzydła.

I poleciałam... gdzieś na jakąś górę,
Nad którą słońce w krwi, księżyc w zaćmieniu,
Męka, co całą męczyła naturę,
I krzyż na słońcu w czerwonym pierścieniu,
A ja... w te śmierci otchłanie ponure
Na moich skrzydeł tęczowym promieniu
Lecąca, jako dziś, patrz — upior blady,
Ja, piérwsza z różnych piękności Hellady...

Czemu nie patrzysz na mnie? o! czy żal ci
Mojego włosa... pełniejszego łona...
I ducha tego, co jak czarę kształci
Pierś... i pięknością oblecze ramiona?
Teraz patrz — wiatr mi kształt spokojny gwałci;
Gdy zadrżysz, jestem ja sama wzruszona,

Oczy się moje jak szafir krysztalą,
Rany na nogach i rękach się palą...

Poeta.

Rany twe płoną — widzę — szafir nocy
Ma z twoich strasznych ran cztéry pochodnie.
Pal się!.. nie mogę żadnéj dać pomocy.
Tylko to powiém. że przez krew i zbrodnie
Szukałem ciebie, rosnąc w piękność mocy,
Która po twojéj trzyma niezawodnie
Najpiérwsze miejsce u samego Boga...
On wié, że w moim duchu nie miał wroga.

Lecz ty aż teraz, jak krzyż zapalony,
Przyszłaś, kiedy ja wichrem nieszczęść zbity
I tak jak sztandar kulami zniszczony,
I tak jako hełm Hektora bez kity,
I tak jak harfa, co straciła tony,
I tak jako trup w grobowcu odkryty,
Na bezlitosne wystawiony wzroki
I tak widzący swój zgon, jak proroki,

Walę się w prochu... Gdzie byłaś, siostrzana
Duszo, kiedym ja cierpiał? czy pod krzyżem
Z tęczowych twoich skrzydeł oberwana
Śmiałaś się, gdym ja stutysięcznym spiżem
Na świecie imię obwoływał Pana,
A sam, spędzany zawsze skrzydłem chyżém
Śmierci, musiałem nędzny grób rozrywać
I sam przychodzić i znów odlatywać?

Gdzie byłaś, gdym tu nareszcie za karę
I za ostatni los — z potęgą słowa
Wstał, słysząc w duchu jakieś wieki stare,
Których ogromna szmerność podgrobowa...

Duch.

Przy tobie byłam; przez powietrze szare
Snułam się cicho, jak wizya tęczowa;

Obłok nas jeden tylko dzielił cienki,
Taki łagodny, jako róż jutrzenki.

W dzieciństwie twojém samotna... a potém
Musiałam z większą liczbą mar przychodzić
Cicha — gwiazdowém uwieńczona złotem,
Smętna, że duszy twojéj rozpogodzić
Nie mogłam. Przestań już pamięci lotem
W dalszych się wiekach twoją myślą rodzić...
Patrz, jak w stygmatach piękna, w górne sfery
Lecę, ran niosąc zapalonych cztéry.

POETA.

Nad tobą wyżéj...

DUCH.

Co?

POETA.

Trzy milijony
Słońc i duch jakiś...

DUCH.

Co? posłaniec boży!

POETA.

Tam głębszy szafir — z pod słońca korony
Na trzech obłokach niby lekkiéj zorzy
Jak jaka srebrna lampa zawieszony
Pali się miesiąc — liczba gwiazd się mnoży,
Wyiskrza szafir, na nim jak stal pryśnie
Coś, co od słońca jaśniejszego błyśnie.

Ach! od słońca by w oczy mi nie biła
Taka ogromna jasność, jak z tych oczu
Spuszczonych! cały świat rozweseliła
Oblana słońcem złotém po warkoczu;
Taka miłości w niéj ogromna siła,
Że gdy stanęła na ciemném przezroczu:
Słońc się girlandy — niby zawrócone
Żórawie — wiążą w ognistą koronę.

Siostro! twe rany mocniéj się płomienią,
A z twoich oczu wesołość wylata,
I szaty twoje się jak tęcza mienią,
I pierś — wzniesiona, i skrzydli się szata.
Nie leć! te słońca ciebie opierścienią,
Jak powój, który kołem się oplata;
I tam zostaniesz, statui starożytnéj
Podobna — śród słońc złotych — przy błękitnéj...

Duch.

O nie zostanę! bo w téj gwiazd powodzi
Ona się zniża, i z duchami swemi
I na miesiącu swym na ziemię schodzi,
Bo zapragniona jest znowu na ziemi.
Oto więc na swéj półmiesięcznéj łodzi
Płynie, rękami sypiąca złotemi
Litosną miłość... dawno tak widziana
Na wyspie Patmos przez świętego Jana...

Patrzaj na ciemne szmaragdowe lasy,
Zniżyła się tam i rzuca z pod siebie
Dwa wielkie tęczy rozwiniętéj pasy,
Które się od niéj zaczęły na niebie.
Przychodzą nowe na świat Pańskie czasy;
Niechaj umarły swych umarłych grzebie!
A ty, nie maż ust światowym piołunem,
Ale téj łaski Pańskiéj bądź zwiastunem!

Widzę, jak oczy twe światłami skrzą się
I za tym widem przeszły i wróciły
Bez łez... Czyć zawsze napisano w losie
Nie być miłości duchem, ale siły?
Mów do mnie! może w twoim smętnym głosie
Nie będzie echa podziemnéj mogiły.
O nie! ty cały łamiesz się w boleści,
A twoja ręka szuka rękojeści...

Poeta.

To nic — jam pobladł... duch mój jest otchłanią
Tęsknot i musi strzéc się własną mocą.
Czuję, że gdybym ja poleciał za nią
Tam, gdzie te światła całą ziemię złocą,
Byłbym jak jedna z gwiazd, co się tumanią
I przez tęczowe jéj rąbki migocą,
I już już własnéj twarzy mieć nie mogą,
A ja tu czekam w ciemności —

Duch.

Na kogo?

Poeta.

Żaden duch nie jest bez przyjaciół własnych,
Żaden głos nie jest bez ech — po za światem...
Raz ja nad Ikwą *) po mych łąkach jasnych
Błądząc, znudzony błękitem i kwiatem,
Bo mi w pamięci koral twych ust krasnych,
Co perły takim obwodzi szkarłatem,
Jaśniéj się palił; i twoje oblicze
Skrzyło jak słońce myśli tajemnicze;

Znudzony, że mój głos tu nie pomaga
Ludziom w niewoli, ogień serca pije,
A ciągłéj szczęścia ofiary wymaga
I ciągle serca mego jadłem żyje,
A tu na świecie różna jakaś waga
Waży wypadki... człek podłością tyje
I spity winem, pieśń, co Aniołowie
Dają, za pościel kładzie i wezgłowie:—

Siadłem pod chatą kobiéty cmentarnéj,
Co odmykała trumnom kołowroty;
I pełny byłem wtenczas myśli czarnéj
Jak Brutus... który na twarz białą cnoty

*) Rzeka płynąca pod Krzemieńcem, miejscem urodzenia poety. P. W.

Krwią swoją rzucił — a u gospodarnéj
Kobiéty były z malw ogromne płoty,
I z nędzą piękność tak złączona sielska,
Że chata się ta zdawała anielska.

Wszystko mi jakiś wzrok duchowy blady,
Przemieniał w dziwy: zda się — różdżką trącę,
A te malwowe z tęczy kolumnady
Dostaną nieba; a te pałające
Cynowe miski to jakby na składy
Rusałki swoje oddały miesiące,
A te na półce girlandami świecą
I gdy kur nocny zapieje, wylecą.

Ja byłem wtenczas dziécię — lecz do gliny
Kiedy wejdziemy, my straszniejsi z duchów,
To mamy straszne w dzieciństwie godziny,
Gdzie duch bez żadnych więzów i łańcuchów
Ma ostrzeżenie. W mogilne doliny
Chodzimy chętnie... niby dla podsłuchów.
A duchy wtenczas rozmawiają z nami
Same, lub tylko natury ustami.

Otóż i wtenczas w myślach moich zamęt,
Zwątpienie było — rozpacz nad ubitą
Polską... Gdzież, rzekłem, jest taki sakrament,
Coby w niéj martwéj chodził siłą skrytą,
Jak krew żyjąca?... taki był mój lament,
Który me oczy wnet zamienił w sito
Siejące perły łez. A wtém od Boga
Przyszła nauka wielka i przestroga.

Skrzypnęła czegoś jedna stara belka
I poruszyła gniazdo jaskółczychy;
Z gniazda wypadła ptaszyna niewielka
Bez piérza, mały zimny trupek, lichy;

Więc potém tego dziecka rodzicielka
I ojciec w domek przylecieli cichy
Prosto do gniazda, do swojego kątka
I nie znalazłszy swojego dzieciątka,

Wyszli oboje — Boże! z jaką wrzawą?
Wié matka, któréj ludzie dziecko skradli...
Wreszcie ujrzeli go pod moją ławą —
Oboje z nieba jak martwi upadli,
Ojciec na lewo, a matka na prawo;
Usiedli przy niém, a skrzydła tak kładli
I tak włóczyli biédaczki za sobą,
Jak płaczki ciężką okryte żałobą.

Lecz śmierć ptaszęcia taka była świeża,
Tak niespodziana, taką zda się zdradą
Niebios, że ojciec matce nie dowierza —
Oboje w dzióbek żér mu jeszcze kładą,
Dzióbkami ciałka próbują i piérza.
A ono z główką wyciągniętą, bladą,
Z początkiem tylko dziécięcych skrzydełek
Leży, jak srebrny na herbie orzełek.

Więc — o! niewiaro cudna, rodzicielska,
O! długie, piękne tych serc niepokoje,
O cudna myśli w ptaszkach, już anielska! —
Za skrzydła wzięli dzieciątko oboje,
I wyżéj niż tam brzoza, nimfa sielska,
Rozrzuca swoje girlandowe zwoje,
Podnieśli... myśląc że w niém lot roznieci
Życie, że z dzióbków puszczone... poleci!

Tak połączone przez biały dyjament
Stało nademną w niebie biédne stadło.
Potém je może zdjął rozpaczy zamęt,
Bo upuścili dziecko... a to spadło;

A oni siedli nad niém znów i lament
Taki podnieśli, że mi lice bladło,
Serce bolało, tak jak dzisiaj boli,
Bo coś tam dla mnie jest w téj paraboli...

O tak! nim ja w śmierć ojczyzny uwierzę,
Chociażby jak trup leżąc w grobie zbrzydła:
Potargam wprzódy ją pieśnią za piérze,
Położę wprzódy na pieśniane skrzydła,
Porwę ją z ziemi, tak jak wicher bierze,
Stargam łańcuchy wszystkie, wszystkie sidła,
Podniosę w niebo, aż gdzie Pan Bóg świéci,
Puszczę... jeżeli żywa, to poleci...

Dziecinna to myśl, duma to dziecinna!
Jam się sam rozbił piersią o granity,
Ale głos ani téż lutnia — niewinna...
Cóż ty mi teraz pokazujesz świty,
Gdzie inna matka, ta królowa gminna,
Dzieciątka swoje podnosi w błękity,
Tak lekko duchy podnosząca wolne,
Jakby z łąk brała piękne kwiaty polne.

Cóż ty mi wróżysz tym pięknym widokiem
Tęcz i błękitów? za mną inna strona
I duchy, co się na pieśń zbiegły tłokiem,
Od których była już ogniem czerwona,
Ich tchem trująca, tętniąca ich krokiem...
Dobranoc! — harfiarz wasz posępnie kona!
Klnie wam i kona... precz straszydła stare!
O siostro! odpędź odemnie tę marę!

Duch.

W powietrzu widzę trzy...

Poeta.

Trzy przyszły razem?

Duch.

Twój włos zjéżony operlił się potem!

Poeta.

Patrz! za cerkiewnym, o! tym — bohomazem
Powietrze całe się wydaje złotem...
Zapewneś przyszedł od duchów z rozkazem?
Albo mi lirą powstać — albo grzmotem!
Tak zwykle gadał — gdy mu się podoba,
To w jęku głosy te połączy oba.

Teraz nie mówi nic; lecz stoi srogi
I zda się, twarz mi swoję w pamięć wraża.
A tamten — patrzaj, tak piękny, jak bogi —
Który wygląda także na harfiarza,
Ale instrument ma bardzo ubogi,
Sam widać był téj harfie za stolarza —
Dziwna!.. rybie w niéj srebrzą się ościenie
I labradorskie Sybiru kamienie.

Struny, podobne do starych badylów,
Pod palcem tego ducha drżą spróchniałe.
A co? czy dobrze na niéj panna Nilów
Grała, wywiodłszy ciebie gdzieś na skałę
Kamczatki, kędy jasne roje gilów
Latały słuchać, gdy jéj rączki białe
W powietrze pełne mgieł, duchów i szronów
Lały z téj harfy girlandami tonów?

O powiédz, jakie ci sny o młodości
I o twéj miłéj ojczyźnie wyjęczał
Jęk téj źle z renów ostruganéj kości
I téj dziewczyny głos, który wyręczał
Anioła stróża, a ty — o litości!
W oczy jéj patrzał czyste, u nóg klęczał,
A drugą myśli połową pieśń mijał,
Palił dom, ojca w płomieniach zabijał...

Powiédz, czy w harfie téj dziś jest żałośny
Tego dziécięcia jęk i skarga cicha?
Czyś ty pomiędzy aniołami głośny
Tą harfą? Czy ci ręka nie usycha?...
Patrz... ten duch, niegdyś tak mało litośny
Temu dziewczyny sercu, teraz wzdycha
I lirnikowi palcem pokazuje,
Jakby chciał mówić: patrzaj, on to czuje!...

Precz bladzi! — i ten trzeci, co nad głowy
Wyciąga ręce i nad wami trzyma
Swój wielki, bardzo ciężki krzyż cynowy,
Niech mię nie prosi łzawemi oczyma!
Stary świat skonał... nie zaczął się nowy.
Dla takich duchów, jak wy, miejsca niema!
Lećcie i w nową zorzę się rozpłyńcie
I bądźcie nowi duchem — albo gińcie!

Duch.

Stój! oni wszyscy z wiarą i nadzieją.
Pozwól im swojéj duszy jak kościoła,
Gdzie teraz żadne lampy nie jaśnieją!
Kto wié, przez ciebie jaki głos zawoła,
Gdy będą w tobie... Patrzaj, jak pięknieją!
Ogień im tryska z nóg i z rąk i z czoła —
To wielkie duchy i wydarte niebu!

Poeta.

Czegoż odemnie oni chcą?

Duch.

Pogrzebu...

Poeta.

O tak! pogrzebanymi będą... Ten wid złoci
Mgły méj pamięci, siostro, i twój wieniec
Z gwiazd, do ogromnych podobny stokroci,
Dziwny ci na twarz rzuca półrumieniec;
Ty jak konwalia na ziemskiéj wilgoci
Łez, dobrze kwitniesz... a ja potępieniec

Dobrze w natchnienia żyję dzikim wichrze
I serce wtenczas mam lepsze i cichsze.

I ja to widzę, że wola Jehowy
Jest, aby nowy świat stanął przed świtem.
Nie pożałuję ręki ani głowy,
Gdy przyjdzie pora. Ale pod błękitem
Gdzie jest kto świeży i zupełnie nowy,
By świat od razu jednym zbił granitem?
Duchy, co duchów oszukują, złe są.
Z błękitów do mnie, Atesso! Atesso!

Świadcz o mnie, czym ja kiedy Polski ducha
W żywotną jego część i w serce ranił?
Czym gdzie ominął pleśń, szczątki łańcucha,
Fałsz, co źrenice światłami tumanił?..
Nigdy na boży głos nie była sucha
Zrenica moja, choć mię Bóg oszklanił
W koło... jak ludzi oddziela fatalnych
Od ludzi — światłem rzeczy niewidzialnych.

Teraz już serce moje pełne śniegu,
Który tam zima uczuć napruszyła;
A przyjacioły moje już do biegu
Świat boży pędzą, jest w nich Bóg i siła.
Może też Bóg chciał, aby w tym szeregu
Z ludźmi żywymi niejedna mogiła
Raziła dziwem takiego sąsiedztwa
Nie dla pośpiechu, ale dla świadectwa

I dla przestrachu... I tak się do ruchu
Wiąże girlanda wiosennych żórawi.
W kraju tam jeszcze o tém ani słuchu,
A tu już, ducha krwią naszego krwawi,
Serce przy sercu stoim, duch przy duchu;
Bóg rozkwitnieniu w nas serc błogosławi,
Złoci widzenia Janowe zapałem
Chrystus, krwią poi i nakarmia ciałem.

I już nam widać przez oczy proroka,
Jak Polska nowa na stolicy siada
Kopułą duchów swych świętych wysoka,
A niska, kiedy przed Panem upada;
A kiedy patrzy w świat, orlego oka;
A jako hymn harf, kiedy z Panem gada,
Oblana wdzięków dziewiczych szkarłatem;
A jako tysiąc grzmotów, gdy ze światem. *)

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

A oto wyszedł, jakby Rafaela
Tarcza okryta różném malowaniem,
Księżyc i zagrał pierwszą pieśń wesela
Wyszedłszy świécić przed samém zaraniem;
A z niego wielki miecz płomienny strzela,
Nazwany w niebie niebieskiém nazwaniem,
Przed którym zadrży i fałsz i pokusa,
Lecz nikt nie dźwignie miecza — prócz Chrystusa!

On na nim ręce skrwawione położy,
Potém podniesie i trzy razy mieczem
Niebiosa całe rozetnie, otworzy;
Wtenczas my duchy pod gwiazdy ucieczem,
Bo z nieba wyjdzie na ziemię duch boży;
A my z téj ziemi mgły i chmury zwleczem,
By się spotkała jéj twarz z bożą twarzą.
Wtenczas się słońce i gwiazdy przerażą.

---

*) Tu się poemat urywa. Jest w rękopisie jeszcze kilka strof dalszych, zaczętych a niedokończonych, ale te się w całość nie wiążą; dlatego je opuszczamy. Następujące dwa dłuższe ustępy, lubo także niepołączone z całością, zdają się więcéj zasługiwać na przytoczenie.

P. W.

Świętych zobaczysz pańskich w jednéj stronie
Podobnych chmurze słonecznéj, — Maryja
Stać będzie w słońcu, na złotém wrzecionie
Kręcąc, jako ta, która tęcze zwija;
A po tych tęczach aniołowe konie
Będą latały — a szatan jak żmija
Będzie je straszył wielkim dymu kłębem
I językowym je zhuka trójzębem.

Potém to wszystko razem się zasunie
Mgłą... i by lampa zgaszona zagaśnie;
I tam na ziemię po nocy coś runie
I echa niebios tak zajęczą właśnie,
Jak kiedy piorun idzie po piorunie
A potém zagra po skałach i zaśnie;
I znów się zwali coś z odgłosem strzału
Smętniéj, jak echo piérwszego powału.

Wtenczas na niebie wyjdzie anioł blady
Z lampą olejem napełnioną smolnym
I rzeknie: gdzie są ciał i kości składy,
Abym je palił lampy ogniem wolnym?
To mówiąc, pójdzie i różne gromady
Trupów oświetli, i ogniem okolnym
Lampy stosy ciał będzie oczerwieniał
A ciągle idąc strach i miejsce zmieniał.

Miejsce, gdzie przejdzie, będzie zwane drogą
Poszukiwania, nakształt czarnéj szramy.
A idąc anioł ów nadepce nogą
Grób — i wykrzyknie: rola haludamy!
Tutaj się ludzie napaść duchem mogą,
Ale zamknięte są już srebrne bramy,
I dzień tu biały powróci nieskoro!
To mówiąc, lampę rzuci w krwi jezioro.

I znów się stanie noc i z końców obu
Świata płacz wielki pójdzie, jak z bóżnicy.
Potém aniołki od świętego żłobu,
Jak białe róże od Bogarodzicy,
Sypiąc się rzekną: czas ci wstawać z grobu!
Wstań bez korony złotéj i zbroicy,
Płomieniem serca świécąca od łona,
Wstań, jakąś była w grobie położona!

A wtenczas mgła się ze słońca usunie;
I ta, co była w słońcu, znów odkryta
Rzeknie: wy słońce w jéj znajdziecie trunie
I stratowany miesiąc przez kopyta.
Niech tak na zorzy pokaże się łunie
Piękna, jak piękna leżała zabita!
Albowiem szaty nie zdarła nikomu.
Nie okradajcież wy umarłych domu!

Lecz nim powstanie, niech z niéj będzie zdjęty
Sąd, bo zaprawdę niewinnie sądzona!
To mówiąc, przyjdzie jeden anioł święty
I poda księgę, i jedna czerwona
Karta téj księgi, jako liść pomięty,
Mokra, wydarta będzie i rzucona
W czeluść, a duchy co tam chór prowadzą,
Lecącéj, aby spadła, miejsce dadzą.

Potém umarłéj będzie podniesienie
I salutacya; a ta w takiéj sile
Roześle pierwsze pośmiertne promienie,
Że na ostatniéj aż smętnéj mogile
Końce położą. — Więc ducha nasienie
Wszędzie się ruszy, śpiące w wieków pyle.
Zaprawdę! przyjdzie do niéj z wielką chwałą
Choć dziécię, co jéj jasełka oddało.

Potém się w piérwsze bicie serca wsłucha
I rzeknie z świętym uśmiechem: o Panie!
Nie z ciała jestem wskrzeszona, lecz z ducha,
Niech mi się jako służebnicy stanie!
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Tak nieraz stojąc stary majster cechu
Z chorągwi jednéj sklepienia uczyni
Dla trzystu ludzi; albo gdy na blechu
Rozciągnie płótno dobra gospodyni:
Tysiące kwiatków nie widzi uśmiechu
Słońca i oczu Efeskiéj bogini,
Ale się muszą poddać — z tą nadzieją,
Że płótna wkrótce słońcem wysrebrnieją

I będą zdjęte. — Jestem z liczby kwiatów
Podobrusowych: często słyszę ślepy
Nademną jakieś kruszenie się światów,
Szczepienie duchów nowych w stare szczepy,
Pszczelny brzęk niby naszych antenatów
Idących pomóc. — Lecz że ja do rzepy
Płonącą świéczkę włożę, pisząc wiersze,
Nie widzę, abym widział światy szérsze.

Duch.

Zawszeż ta bojaźń o nabyte skarby
Pracami wieków? zawszeż nieugięcie
Twojéj tęczowéj myśli w żadne karby?
Zawszeż ci błoto cielesne na wstręcie?
Gdybyś mógł stopić twoje wszystkie farby
W jednym miłości bożéj dyjamencie
I zostać chwilę w czystym bezkolorze,
Miałbyś zeń potém wszystkie ognie boże.

Przedlotem ducha światy tyś wyminął,
Wiedział o niebie, nim się inny dowie.
Mrówko! nie będziesz ty przezemnie słynął,
Ja ci się strzaskam jak piorun na głowie;
Ja, z którąś dawniéj ty jak łabędź płynął,
Kiedyś był nowy i sił nie miał w słowie.
Teraz, gdyś wylał ducha, serca krzykiem,
Mam cię, niższego, moim niewolnikiem.

Nie drżyj mi jako struna, co chce pęknąć,
Bo mi nie pękniesz; lecz będziesz jak struna,
Która gdy rani, to krwią musi zmięknąć —
Lecz tobie strachu trzeba... Patrz, tam łuna
I księżyc, co chce jak umarły jęknąć,
Jaki bolesny!.. tam morze i truna,
Którą prowadzą fal czerwonych nogi —
Patrzaj!.. w trumnie ten, co prostował drogi...

Czy widzisz żagli tych trumnianych bicie
W opiekielnione złymi duchy fale?
Bo się na siarkę wy bez fal palicie,
A piekło nie jest w niebie, ani w skale;
Lecz jest to duchów do ziemi przybicie,
I krzyż — i po ciał władzy gorzkie żale,
I czas powrotu do ciał niewiadomy,
I czyn, co w piersiach grzmi, jak puste gromy...

Czasem się zbiją i prą całą ścianą
Naturę — a ich oddech mniéj tu waży,
Niż tego dziecka, co bańkę mydlaną
Uczyni tchnieniem aniołkowéj twarzy.
Rozpacz im dano, a skargi nie dano!
W niejednym... wulkan się miłostek żarzy...
Gdyby im kształtów widnych i kolorów:
Wymarlibyście z widzenia upiorów!

Szczęściem, że każdy niby śmierć ponosi,
Gdy wchodzi w ciało; i uczyć się musi
Siły — od ręki, co kamień podnosi,
Bolu — od świécy, co rączkę mu skusi...
Więcéj się złego obraca na osi
I siły, która iskrę bożą dusi,
Niźli ty myślisz. — Patrz, czy nie przeraża
W téj zorzy duchów ta trumna mocarza?..
. . . . . .

PISMA RÓŻNE

PROZĄ.

PRELIMINARYA
PEREGRYNACYI DO ZIEMI ŚWIĘTĘJ
J. O. KSIĘCIA RADZIWIŁŁA SIEROTKI.

(FRAGMENT.)

.....a nikt nie wyszedł na spotkanie moje, gdym wjechał kałamaszką na dziedziniec, oprócz ślepego żórawia, który się przechodził, jako szyldwach, przed gankiem— także trafna suka gończa księciu ulubiona zaskowytała i rozciągnęła się przedemną. Po takiéj akcepcyi w zamku zrozumiałem, że sam książę musi znajdować się, jak zwykle, u księży Bernardynów w klasztorze na rekolekcyach; — udałem się więc prosto do oficyny, gdzie mieszkał marszałek domu J. O. księcia, i byłem od niego przyjęty jak najlepiéj. Wysłał zaraz do J. O. księcia pana, który był, jak się już domyśliłem, w klasztorze, z oznajmieniem, żem przybył — a potém zaprowadził mię do komnat niewieścich, gdzie zastałem żonę i córki w. marszałka i stół nakryty do wieczerzy. Dowiedziawszy się, żem przyjechał, zaczęli się schodzić na powitanie z całego zamku dworscy

panowie, i ściskać mnie i całować. Byli pomiędzy nimi pan Haraburda, pisarz ziemski nowogrodzki, wielki przyjaciel księcia i klijent Radziwiłłowskiego domu, — pan Kos, mierniczy dóbr J. O. księcia, — pan Harmider, przełożony nad puszkarnią księcia i artyleryą prywatną domową, któréj było puszek dwanaście, człowiek wysokiego wzrostu i mówiący głośno, co było jakby w zgodzie z jego nazwiskiem; małéj nauki, ale poczciwego serca, i mocno przywiązany do domu karmazynowego księcia, który mienił być dla swoich puszek niedobytą fortecą. Przybył także pan Drzymała, szlachcic rodem, który na dworze księcia bawił bez urzędu, ale był lubiony, albowiem dostarczał zabawy z siebie, mimo wielką obraźliwość charakteru, i dosyć poważną dla wielkiéj otyłości postawę, mający więcéj nauki, niż pan Harmider, ale (nie wiém, jak się to dzieje) daleko mniéj zdrowego rozsądku, a jak powszechnie mówią, pozbawiony quintum sensum; a może téż dla wielkiéj zarozumiałości, jaką miał o sobie, ludzkim żartom będący na celu. Przez dziwne albowiem zaślepienie nie tylko swój rozum miał za bardzo ornatum wiadomościami, ale i figurę swoję, gdyby powiedział, co myśli, przyrównałby Apollinowéj — a to z każdego ruchu tak było znać po nim, że się za pięknego ma człowieka, iż wiadomo to było ledwie nie kuchcikom dworskim i cyganom, którzy uczyli tańczyć niedźwiedzie, a mówili często, że go do akademii swojéj mieć chcą i uczyć darmo, dla krotochwili i sławy własnéj. Już więc zaraz przy wieczerzy zaczął się wdzięczyć, jak miesiąc czerwony — do panny Anny, córki w. marszałka, nie tak niby zakochany, jak ją w sobie zakochaną być sądząc, co nie było do

podobieństwa — albowiem panna ta, z bogatym posagiem, i z mlecznem obliczem mogła wybierać między młodzieżą sutą i nawet karmazynową, a nie miałaby oczu, gdyby na takiego kupidyna postrzały była przystępną. Był pan rachmistrz J. O. księcia Skorubski, niegdyś professor u księży Jezuitów, gdzie uczył arytmetyki — człowiek suchy i śledziennik, jakich mało — dobry jednak w gruncie i przyjaciel wytrwały, a w uczciwości niezachwiany, jak sam tego doświadczyłem po sobie. Melancholią jego przypisywałem chorobie i temu, że był nieżonaty — a że mu ciężkie było samotne życie, widać to było i z jednego przysłowia, jakiego używał przy piciu (wodę tylko pijał). Zawsze albowiem zwyczaj miał przeżegnać ręką szklankę — a przeżegnawszy ją, mówił ponuro i z westchnieniem: „Bóg mój! wszystko moje! oprócz —“. Byłto człowiek wysokiego wzrostu, głos miał jakby jęczący i grobowy, a zwyczaj przechadzać się po komnatach, jak cień, wielkim i głucho tętniącym krokiem. Opisuję tu osoby wspomniane, albowiem towarzyszyli wszyscy, składając świtę i dwór J. O. księcia w podróży do ziemi świętéj, i miałem z nimi nieraz do czynienia. Pan marszałek sam był jakby konterfekt księcia pana, albo naśladował go w ubiorze i w piciu, z tylą tylko różnicy, ile między panem a podwładnym przyjacielem być powinno.

Już więc zaraz przy wieczerzy dowiedziałem się, że podróż odbyta ma być z wszelką wspaniałością i powagą, jaka przystoi domowi J. O. księcia; że w przejeździe odebrać mamy błogosławieństwo Ojca świętego w Rzymie, a potém ambarkować się w którym z portów włoskich, na weneckiéj lub neapolitańskiéj nawie; dalszy kierunek po-

dróży zależeć miał od wiatrów i woli samego księcia pana, a jam także myślał, że i od mojéj porady nieco zależeć będzie.

Po wieczerzy przybył zaraz posłaniec od J. O. księcia, który dowiedziawszy się, żem przyjechał, kazał mi tegoż wieczora stawić się w klasztorze księży Bernardynów. Zastałem J. O. księcia w wielkiéj tureckiéj oponie, w celi księdza gwardyana, przy kominie; albowiem chłód aprylowy i grube mury klasztorne, aurą zimową przesiękłe, czyniły ogień potrzebą. Ujrzawszy mnie zawołał: „Witaj panie Michale!“

Uniżyłem się do kolan J. O. księcia, a on, podniosłszy mnie z ziemi, ucałował w oba policzki i pytał o żonę i dzieci moje uprzejmie, a rozpytawszy się o wszystko, rzekł: „Panie kochanku“ (było to przysłowie, które po ojcu swoim J. O. książę odziedziczył i zapewne je w domu swoim zostawi do późnych wieków w puściźnie z mnogiemi dobrami, jakie posiadał) „panie kochanku, cóż myślisz o mojéj peregrynacyi?“ — „Jeszcze nie zaczęta, J. O. książę,“ odpowiedziałem, „a ja się lękam, aby to wszystko nie było snem i wizyą, albowiem Jazon, kiedy się po złote runo wybierał, to nie miał tyle baranów, co J. O. książę, więc miał po co jeździć, a świętéj pamięci Godfryd z Bullionu...“ — „W moim domu robią bulion z niedźwiedzi,“ przerwał książę, „a kto się go napije, to jak lew. Patrz, pan Armider, co tuczony bulionem z niedźwiedzi, czy nie straszny? Ja myślę, panie kochanku, pobić Turków i wziąć Jerozolimę, abym tam wypędził Żydów z Polski, — mój Josiel arendarz jedzie ze mną i weźmie dolinę Józefata w arendę, i będzie płacił koszerne.—

Że mój pradziad z królem Stefanem węgierskim nie poszedł na krucyatę, to też masz — wnuk jego biédny sierotka musi iść na goły łeb z Turkami — inaczéj dyabli wezmą ród jego, a Moskal jego majątek. — To nie są sny. Najświętsza Panna mi się pokazała trzy razy — a zawsze mi powtarza to samo, aż mnie uszy bolą, panie kochanku — jak nie posłucham, to będzie źle — a jednak jeszcze poradzę się Najświętszéj Panny Poczajowskiéj, bo mówią, że w koroniaszach serce na języku, to mnie ich Najświętsza Panna nie oszuka.“ — „Ale J. O. książę,“ rzekłem, „musisz mieć inne jakie ważniejsze powody, które go skłaniają ku téj peregrynacyi.“ — „Ja? panie kochanku, żadnych nie mam powodów... tylko, że mię świerzbi gdzieś, to chcę użyć przejażdżki — chcę zobaczyć, czy wiele durniów na świecie. Bo że Jerozolima w ręku Turków, to, jak mówi ksiądz Ryłło Jezuita, nawet dobrze, a wiész dla czego?“ — „A dla czego, J. O. książę?“ — „Bo, panie kochanku, gdyby chrześcianie katolicy grzeszyli w ziemi, gdzie Chrystus Pan poniósł mękę na krzyżu, toby się Bóg gniewał — a że Turcy grzeszą, to się nie gniewa... exemplum, panie kochanku.... jak pies podejmie nogę czwartą w pańskim pokoju, to się pan wojewoda nie obrazi — lecz gdyby człowiek jaki, choćby kolligat, popełnił taką niegrzeczność, tobym ja mu sam kazał wylizać podłogę. Czy rozumiész parabolę, panie kochanku? Turcy to psy!“ — „Ksiądz Ryłło ma racyą, J. O. książę, ma słuszną racyą.“ — „Ksiądz Ryłło nie wié, co gada, a ja wolę księdza gwardyana, co tu ze mną pił przez godzinę, choć ma reumatyzm. Ksiądz Ryłło, kiedym mu pokazywał Najświętszą Pannę na księ-

życu, to jéj nie spostrzegł; ślepy mój żóraw widział Najświętszą Pannę na księżycu i nie zadał mi kłamstwa przed ludźmi. Ksiądz Ryłło ma przysłowie: wolno wierzyć, wolno nie, a to gorsze dla moich uszu, niż kiedy Skorubski mówi: Bóg mój, wszystko moje, oprócz —, a i to także kłamstwo, bo Nieśwież nie jego, ale Radziwiłłów.“ — „To téż właśnie książę panie — Skorubski mówi: oprócz Nieświeża.“ — Może to być, panie kochanku, — więc pan Skorubski ma racyą, a nie ksiądz Ryłło. A tymczasem gotuj się w drogę i zrób testament — a furmanów moich ucz geografii, aby mię nie zawieźli do Moskwy, zamiast do Rzymu, bo ja zwykle, jak w powozie, to śpię i nic nie widzę. — Gadałbym z tobą dłużéj, ale mi ksiądz Ryłło zadał pokutę — a już późno. Jeżeli chcesz odprawić rekolekcyą w klasztorze, to powiédz księżom, niech ci dadzą celę i dyscyplinę — a jeżeli nie chcesz, to ruszaj stąd prędko, bo cię dyabli porwą, jak się przestaniesz trzymać mego pasa.“

Na te słowa, uściskawszy nogi J. O. księcia, wyniosłem się z klasztoru i wróciłem do zamku, gdzie mi pan marszałek wyznaczył pokój i dał klucze od biblioteki; tak więc zamiast rekolekcyi sposobiłem się do podróży, wszelako nie pewny jeszcze, czyli chęć peregrynacyi w J. O. księciu potrwa, i przywiedzioną będzie do skutku.

. . . . . .

. . . . . .

..... przez cały wielki tydzień, poszcząc i susząc, pokrzepiałem się jedynie łykając pył książek, które w księgarni JO. księcia, że były długo nieczytane, prochem i kurzawą leżały okryte. W Sobotę wielką, gdy pan Har-

mider z działami i puszkarzami wyruszył na rezurekcyą, udałem się także do Nieświeża, abym przytomny był letycyi i allelujom. Rezurekcya odbyła się, jak należy, — książę pan z przyjacielem swoim, JP. Abrahamem Duninem, podczaszym litewskim, klęczeli w pierwszéj ławce karmazynami wybitéj i w procesyi nieśli baldakin nad celebrantem, a dziedziniec obszerny przed kościołem wysłany makatami i liściem ajeru, wydawał się, jak łąka kwiecista. Skoro więc we drzwiach kościoła ukazał się celebrant ze złotą monstrancyą i mający nad głową karmazynowy baldakin, którego kije złociste niesione były przez JO. księcia samego, a drugi przez wojewodę Ilinicza, pana na Mirze, (który z księciem panem zrobił był układ na przeżycie, jako bezdzietny), dano ognia z dwunastu dział, a dzwonnicy na wieżach wystrzelili z moździerzy, a a całe pospólstwo strzelało z kluczów, z dubeltówek, z krucic, i był huk taki, że zwalił się pułap w domie pewnego mieszczanina, który potém rozpoczął o to proces z klasztorem, a te pretensye JO. książę aż po powrocie z ziemi świętéj zaspokoił. Było mu bowiem na sumieniu, iż armatami swojemi mieszczański dom zburzył tempore pacis,— a z drugiéj strony upodobanie mając w harmatach, cieszył się z wielkiego, jaki zrobiły, efektu; tak zaś był dumny z posiadania największych dział w prywatnéj majętności, iż obraził wiecznie JW. wojewodę trockiego Żabę, a to w taki sposób: będąc raz w Trokach w zamku JW. wojewody na obiedzie, tenże wojewoda, chcąc od księcia komplement odebrać, że miał sześć armat u swego dworu, kazał puszkarzom zatoczyć je pod same okna sali, gdzie książę Sierotka jadł obiad, i dać razem ognia ze wszyst-

kich, gdy JO. gość kielich będzie niosł do gęby, co też się i stało; lecz książę pan, pomiarkowawszy, o co rzecz idzie, nie pokazał żadnego po sobie zadziwienia, ani respektu. Zniecierpliwiony tém pan Żaba, nie mogąc już dłużéj wytrzymać, zawołał: „A to z dział strzelają, Mości książę!“ — „Z dział?“ odezwał się niedbale książę pan, „myślałem, że z kruciczek.“

Po skończonéj rezurekcyi, gdy już było około północy, a my wszyscy zebraliśmy się około księcia pana, skończywszy pacierze, obrócił się do nas i mówiąc: Christos woskres, całował się ze wszystkimi, po czém zawołał: „Mości panowie, Bernardyni tańcowali na chórze z radości i pogubili trepki, — pokażmy im, że i w radości trzeba zachować pewną prezencyą i powagę — proszę za mną do bramy, na litanie.“

Mówiąc to, piechotą udał się przez całe miasto do jednéj z bram, gdzie był obraz Matki Boskiéj. Brama była wąska i ciemna jak spelunka, a jedna tylko lampa wisiała przed obrazem; tam na gołych kamieniach klęknął JO. książę z aksamitną czapką pod pachą, a my wszyscy klęknęliśmy rzędem; wtenczas małe pacholę sierota, którego książę chował przy sobie i bardzo lubił dla tego, że mu on młodzieniec grał na lutni i pięknie śpiéwał, wystąpiło w białém ubraniu i klęknąwszy przed JO. księciem, twarzą do Matki Boskiéj, zaintonowało głosem prawie słowiczym, w którym coś niby płakania było i radości:

Regina cœli lœtare alleluja,
Quia quem meruisti portare alleluja,
Resurrexit sicut dixit alleluja.

Książę pan porwał dziecko i ucałował, a zarzuciwszy wylotów i pogłaskawszy wąsa, zaintonował bernardyńskim

głosem litanią. Lecz owoż w połowie śpiéwu, kiedyśmy w najlepsze beczeli turris eburnea, zrobił się od wejścia bramy łoskot wielki, i pomimo że była pełna nas klęczących, wjechał wóz, ciągnięty przez dwa niedźwiedzie, które szły na łapach a kijami się podpiérały jak ludzie, na wozie zaś była wielka kufa srebrnemi obręczami obita, i na niéj woźnica z czerwonymi rogami i z ogonem. Zrozumiałem to zaraz, że to być musi z księcia wiedzą i wolą uczyniona krotochwila. Już więc wszyscy powstaliśmy, aby nas wóz nie utrącił, a książę pan sam jeden klęczał, mając prawie niedźwiedzie na karku, co widząc jeden z dworzan przyskoczył do księcia i wziął go pod ramiona, ciągnąc na stronę, a książę go w pysk: „Czemu mi Acan przerywasz?“ — Potém przetarłszy oczy, jak ze snu: „A to co?“ zawołał, pokazawszy na wóz i niedźwiedzie. — Na to dyabeł siedzący na beczce odpowiedział: „Puszczaj, Mości książę, to Najświętsza Panna przysyła beczkę wody ze stopki poczajowskiéj Ojcom Bernardynom za to, że pięknie śpiéwali na rezurekcyi — bo jeżeli nie popłóczą gardeł wodą, to pomrą i skosztują jutro kiełbasy.“ — „Łżesz!“ krzyknął pan Sierotka, „to dyabli przysyłają księżom beczkę dyweldreku—chcą klasztor struć! ale ja nie pozwolę na to, jakem Sierotka;— gdyby to był prezent od Najświętszéj Panny, toby tu w dyszlu były konie Chrystusowe, a nie moje niedźwiedzie.“ — „A kiedy tu w Litwie nie ma Chrystusowych koni!“— „Są!“ krzyknął książę, „jeśli Najświętsza Panna poszuka osłów, to znajdzie, bo są w Litwie! — nieprawdaż panie kochanku?“ dodał obracając się do Dunina, „wszak każdy biskup nowo sakrowany winien pierwszéj niedzieli wjechać do ko-

ścioła na ośle; — a ksiądz biskup wileński, że nie znalazł takiego zwiérza, to się markocił, a ja mu poradziłem, aby wsiadł na swego synowca; i tak zrobił. Jakem biédny sierotka, Najświętsza Panna nigdy nie jeździła na niedźwiedziu.“ — „Mości książę,“ odezwał się Dunin, „musiała kiedyś jeździć na niedźwiedziu — a skądżeby się wziął herb z Szantyrów.“ — „Milcz Waćpan — a to widzisz, że to beczka moja z herbami — więc to kradziona rzecz — et confiscatur.“ — Tu wmięszał się ksiądz gwardyan, który po odbytéj procesyi rozebrawszy się z ornatów w trop przybył za księciem panem, a zadyszany jeszcze trafiwszy na dysputę względem beczki odezwał się: „Mości książę! już ta beczka nam destynowana, więc czy dyabła, czy nie dyabła — niechaj rusza do klasztoru, a my ją wyexorcyzmujemy.“ — „I wypijemy...“ dodał książę! — Gwardyan kiwnął głową na znak, że potwierdza, a książę: „To niech dyabeł tu rzuci beczkę, — a sam jedzie po klasztor, bo jakem sierotka, że łatwiéj przejść wielbłądowi przez uszko igielne, niż téj beczce przez bramę Najświętszéj Panny Niepokalanego Poczęcia.“

Jeszcze nieco trwała dysputa między ojcem gwardyanem, który adwokatował niby za prawami klasztoru, a księciem, który beczkę zatrzymać chciał; nareszcie skończyło się na tém, że ją odszpuntowano, a dyabli nowi nadeszli z tacą pełną kielichów, które między nas rozdane były — a po napełnieniu onych uklękliśmy wszyscy i kończyliśmy litanią, z kielichami w ręku — i twarze mając obrócone do nieba, jakby w extazie świętéj.

Skończyła się litania i zaczęła się pijatyka, a książę pan porozsyłał ludzi na wszystkie trakty i gościńce, aby

przejeżdżających łowili i gwałtem do bramy przyprowadzali. Zbierało się coraz więcéj takowych więźni, a już ich brama objąć nie mogła, aż wreszcie różowa Aurora wejrzała w bramę, gdzie wszyscy byliśmy jak ona rumiani i weseli, — a z wronami, które się już budziły, ruszyliśmy do zamku, mając już na wozie nie beczkę, ale księcia pana tryumfatora.

W zamku dopiéro czekał nas aspekt niespodziany. Skoro bowiem otworzono drzwi od pierwszéj sali, zaleciało nas powietrze i aura przesiękła zapachem Święconego, które urządził kucharz piérwszy JO. księcia, Włoch Loga ku krotochwili i zabawie; w piérwszéj bowiem sali stały trzy pasztety olbrzymiego kształtu, które ujrzawszy książę zawołał: „Mości panowie, do attaku!“ — co wymówiwszy zdjął z pierwszego pasztetu czapkę — i wyleciało z niego wielkie mnóstwo żywych kuropatw, jemiełuch, gołębi, jarząbków, ortolanów, które potłukłszy okna powylatywały na dziedziniec — gdzie jeszcze był długi ogon szlachty cisnącéj się za księciem panem, a ci, że wielu było uzbrojonych w fuzye, zaczęli owo ptactwo strzelać w lot, tak, że czasami wlatywał szrot do sali i spadał gradem od pułapu odbity na nasze łysiny, — lecz że okna były wysokie, żadnemu to z nas nie szkodziło. — Tu książę przyzwał kucharza do sali i zaczął go mocno strofować za to, że nie dopiekł zwierzyny; — kucharz się tłómaczył po włosku, a że mi ten język nie był obcym, zrozumiałem, co mówił, i byłem wielce ciekawy, co się w drugich pasztetach okaże. Albowiem pytany kucharz, co się znajdowało w wielkiéj piramidzie stojącéj na prawo, odrzekł księciu panu, iż upiekł w niéj całego Laokonta z wężami,

— a gdy to wytłómaczyłem szlachcie, a znajdowało się wielu, którzy znali historyą Eneasza przez Wirgiliusza rymem uwiecznioną, wszyscy wyglądali owego Laokonta w zadziwieniu. Wtém JO. książę, wziąwszy ze ściany buławę żelazną nabitą gwoździami, dał tak po piramidzie, że aż się rozleciała — i ujrzeliśmy siedzącego na ruinach pasztetu karła, w cielistym ubiorze, który był cały skrępowany kiełbasami, jakby ów Laokont właśnie pasujący się z gady Minerwy. — „A i ten żyje!“ krzyknął z gniewem książę. — Na to kucharz Loga niby zawstydzony odezwał się: „Decoctus erat, sed resurrexit.“ — „Może to być,“ rzekł pan Sierotka, „a w trzecim pasztecie co?“ — Na to kucharz odpowiedział po włosku, iż była tam Andromeda przykuta do skały łańcuchami, a smokowi oddana na pożarcie — jakoż i po rozbiciu trzeciego pasztetu znaleźliśmy karlicę księcia, tak nazwaną Dyannę, która święconymi salcesony przywiązana była za ręce do pasztetu, a przed nią leżał ogromny szczupak mający zamiast własnéj głowę dzika, z paszczęką otworzoną, która bez wątpienia karlicy owéj mogła być grobem. JO. książę udawał gniéw — a my wszyscy dziwiliśmy się tym pięknym inwencyom Włocha, które niby oszukując nas w zawieszeniu trzymały ranny apetyt. Tu wystąpił ksiądz Ryłło Jezuita, już nie udając gniewu, ale prawdziwie rozsierdzony, i rzekł: „Niegodzi się, książę panie, z tworów boskich czynić takie igraszki! — oto ja, nie wiedząc, co było w tych pasztetach, poświęciłem je, więc i te stworzenia poświęcone zostały, jako rzeczy na jadło przeznaczone, a teraz mam skrupuł i grzech na sumieniu.“ — „Ja to sam wymyślił,“ rzekł książę, „więc będę pokutował

w Jeruzalem, a te karły wczoraj spowiadały się i jadły komunikanta, więc woda święta nie spadła na dyabła; a żałuję teraz, że zamiast tych trzech pasztetów nie kazałem zrobić jednego i nie wsadzić weń Drzymałę — bo nie bywa na nabożeństwie, toby choć raz napił się święconéj wody — możeby schudł; — ale to rzecz nie stracona — bo go znajdziemy siedzącego w holenderskim sérze w drugim pokoju. Wlazł sam na prośbę panny Anny marszałkówny, w któréj się kocha.“ — Pan Drzymała, który stał przy mnie, zczerwieniał od gniewu, ale nic powiedzieć nie śmiał, aby uczty nie stracił, więc tylko mruczał pod nosem.

Nie mając co robić w pierwszéj owéj sali, gdzie już tylko smok i owe salcesony, którymi były skrępowane karły, mogły być ku pożywieniu, weszliśmy za księciem panem do sali drugiéj, gdzie już czekały na nas niewiasty i małżonki owych panów, którzy byli do księcia na święcone sproszeni. — Książę oddał głęboki pokłon i zaczął wszystkie w ręce całować, co trwało długo, ile że połączone było z komplementami; po czém, kazawszy sobie podać jaje, obchodził wszystkich książę pan i każdemu podając jaje, składał życzenia pełne affektu — a nareszcie i piastunce swojéj, która w kącie stojąc, płakała z rozczulenia, podał talerz i pocałował w chude ręce staruszkę, która go wzięła za głowę i uścisnęła jak dziecko swoje.

„Babko,“ rzekł JO. książę, „na przyszłe święcone twój piastun będzie gdzieś na morzach, jak na chuśtawce, a ty mi tu rób co roku święcone i czekaj — i z kucyą mnie czekaj co rok, aż zejdą gwiazdy — bo może ja po-

wrócę głodny, zjadłszy w tłusty czwartek Drzymałę — a odbywszy cały post Skorubskim, co ma skórę jak sztokfisz. Lecz powrócę, jeżeli mnie samego nie zjé pan Harmider z wielkim Turkiem, albo jeżeli mnie pan Dunin na śmierć nie zagryzie złą konduitą, albo jeżeli mi pan Jezus nie każe zostać królem w Jerozolimie na złość księdzu Ryłło, co mnie ma za dyabła gorszego od Zygwulskiego starosty.“ — Staruszka zajęczała i wyszła z pokoju — a książę pan, sam nieco rozczulony, rzekł do nas: „M.panowie, może to ostatnie święcone, które będę pożywał z wami — a że inni moi krewni bambizami, a mój brat Grzegorz ad cardinalatum strychuje, to może już nigdy więcéj Radziwiłłowskiego święconego nie zobaczycie; ale niech to was, miłościwi panowie, nie pozbawia apetytu... proszę się rozgościć.“

Obróciliśmy wtenczas oczy na święcone, a było na co patrzeć, albowiem i tu pod prezydencyą księcia kucharz wszystko tak urządził, że nie tylko apetytowi, ale i myśli było przyjemném. W sali téj albowiem śród mnóstwa drzew, z miodu lipcowego była sadzawka, z wyspą zielonym owsem pokrytą, na któréj się pasł święty baranek z chorągwią, mający oczy z dwóch karbunkułów ze skarbcu JO. księcia wyjętych, które błyszczały niezmiernie. Na tego baranka godziło cztérech dzików okropnéj wielkości, upieczonych całkowicie, a dwanaście jeleni ze złoconymi rogami w różnych pozyturach wyskakiwało z lasu, który był z drzew pomarańczowych, różnymi konfektami obrodzony. Gdy tu same mięsiwa, to w przyległéj komnacie były ciasta i napoje niemniéj misternie ułożone. Nie lasy tam, ale baby podobne skałom, nosiły na głowach z mi-

gdałowych murów grody i fortece; coś nawet podobnego Jerozolimie było, albowiem śród cukrowych domów ukryte ananasy koronami szaremi naśladowały palmowe drzewa, a w bramach zaś figurki cukrowe w szmelcowanych pancerzach i z krzyżami czerwonymi na piersiach, jako Jerozolimscy rycérze za czasów Godfreda, stali na straży. — A jam pożałował, że nie miałem przy sobie małego Michasia, abym mu te wszystkie jasełka pokazał i wytłómaczył, boby w pamięci dziecka przynajmniéj zostały, nim ruinie ulegną.

Nie będę tu opisywał mnogości różnéj konwi, rostruchanów, czar złotych i srebrnych i krzyształowych, i win różnych i miodów, i małmazyów, które się tam obficie znajdowały — a żem się i tak nadto długo nad opisaniem rzeczy tych zastanowił, to może dlatego, iż nieraz późniéj w pustyniach głód cierpiąc, wspomniało się na owo święcone z niejakim żalem i z chciwością nieprzystojną filozofowi.

Książę pan, który konceptom swoim nigdy nie ucinał ogona, przystąpiwszy z nożem do ogromnego séra holenderskiego, rozciął go na poły i zapytał: „A gdzie pan Drzymała?.. Panno Anno,“ dodał, obracając się do panny marszałkównéj, „myślałem, że twój więzień tu — chciałem uwolnić.“ — „Pan Drzymała jest w sérze,“ zawołał pan Dunin, „ale ja mu włożyłem kamień do kieszeni, co sprawia, że jest niewidzialny — więc teraz może już z otworzonego séra wyszedł i stoi między nami, a my go nie widzimy.“ — Książę pan mrugnął na nas, a myśmy zrozumieli, o co rzecz idzie, ile że pan Dunin pierwéj już szepnął niektórym na ucho, co mają czynić. Więc ci nawet, co najbliżéj stali pana Drzymały, udawali, że

go nie widzą, pytając jedni drugich: „Gdzie jest wielmożny Drzymała? gdzie pan regent Drzymała? gdzie poważny pan szlachcic Drzymała, nasz wielki przyjaciel.“ — „Ja tu jestem!“ odezwał się jak z beczki sam Drzymała — „a panom wolne żarty.“ — „Panie!“ odezwał się pan Sierotka — „słyszymy twój głos — ale wacpana ani śladu — wyjm kamień z kieszeni, panie, bo strzelę na wiatr z fuzyi w stronę, gdzie słychać ciebie po zapachu séra holenderskiego. Zamknąć podwoje, bo gotów nam figla spłatać i wynieść się niepostrzeżny. Panie Drzymała, prosimy na miłość Boga, nie zrób z siebie fantazma. W imię Ojca i Syna i Ducha — panie Drzymała, pokaż się!“ — „Panie Drzymała, pokaż się!“ krzyknęła szlachta, patrząc na pana Drzymałę, który stał wtenczas wszystkim na widoku, gdyby rak ugotowany na farfurce, albowiem i twarz i żupan miał z karmazynu.

„Mości podczaszy,“ rzekł JO. książę do Dunina, „więc przepraszam waści, żem ci wczoraj uchybił, mówiąc: łżesz, kiedyś mi waść o tym kamieniu bajdurzył, — a teraz widzę, że to prawda. Lecz mam do ciebie, panie kochanku, ansę, żeś twego kamienia na panu Drzymale spróbował, bo ja na niego lubił patrzeć — on piękny człowiek — i panna Anna będzie się smucić, że go nie widzi. Już to się ja nie lękam, aby nas pan Drzymała okradł, bo to człowiek uczciwy. Ale panna Anna dla niewidzialności jego teraźniejszéj może szwankować, — a w statucie litewskim nie ma jeszcze artykułu „*si quis incarnatione invisibilis factus, pater fit.*“ — Tu w. pan Dunin widząc, że książę pan żart zadaleko posuwa, ile że sam w. marszałek, ojciec panny Anny, marszczył się na wspomnienie samo

dyshonoru, jaki córka jego ponieśćby mogła, odezwał się: „Mości książę, mnie się zdaje, że pana Drzymały wcale tu nie ma, bom ja go sam zostawił w bramie Najświętszéj Panny we śnie głębokim pogrążonego — a tu sobie tylko zrobiłem żart i krotochwilę, mówiąc, że jest między nami.“ — „A kiedy tak — rzekł książę pan — to mi lżéj na sumieniu; — niech się wyśpi pan Drzymała — a nie mówcie mu o tém, co się stało, boby się gniewał — to człowiek obraźliwy.“

Na znak księcia pana szlachta się znów wzięła do półmisków i kielichów, czyniąc tak, jak gdyby pana Drzymały w istocie nie było. Nieraz więc dostawał w łeb kielichem albo farfurką, albo też łokciem w bok, a zawsze się usuwał, lecz nic nie mówiąc; był bowiem obżarty i przez wzgląd na żołądek wiele przebaczał. Znalazł nareszcie wolne miejsce przy stole, i usadowiwszy się złożył na farfurce mnóstwo wielkie zwierzyny, kielich węgrzynem napełnił, a niedbając więcéj na żarty, w zupełnéj spokojności dary boskie pożywał.

Po niejakim czasie książę pan pokazując digito na farfurkę pana Drzymały, zawołał niby z przestrachem: „Księże Ryłło, weź waćpan stułę i kropidło i poświęć stół — bo tu dyabli siedzą i łykają święcone. Ja nie widziałem nigdy, aby jaki człowiek tak jadł, jak ta farfurka: — więc to musi być dyabeł, którego Chrystus Pan wpędził w świnię nad Genezaretańskiém morzem. — Wszelki duch Boga chwali! — panie kochanku, ta farfura wychodzi sama od stołu.“

I w istocie pan Drzymała zniecierpliwiony wynosił się za drzwi, niosąc talerz z pieczywem przed sobą; — ale

książę pan, który nieraz i po pijanemu korki u trzewika niewiastom strzelał, chwyciwszy za sztuciec nabity kulą, przymierzył się, i przy drzwiach już będącemu panu Drzymale talerz z ręki kulą wytrzasnął. — Nieszczęśliwy pan regent zmięszał się niepospolicie i osłupiał — lecz nie mogąc już znieść dłużéj owych afrontow, ze łzami w oczach obróciwszy się do towarzystwa, rzekł: „Mości panowie, w przytomności waszéj uskarzam się na w. pana podczaszego Dunina, że z człowieka cichego i urodzonego szlachcica taki żart czyni: — domagam się więc satysfakcyi.“ — Na to pan Dunin: „Cieniu człowieka, głosie niewidzialny, jeżeli, jak się spodziéwam, masz brzuch ludzki i łeb okrągły, i ciało człowieka, bić się z tobą będę, choć miałbym przyjść na ów los nieszczęśliwego Ajaxa, co mając na oczach chmurę przez zagniewane Bogi rozciągniętą, zamiast rycerzy bydło i owce porąbał; choćby ten pojedynek równie smutną jak Sofoklesa urodził tragedyą. Dobądź więc szerpentyny i objaw głosem, gdzie jesteś — a jeżeli mam pójść do Erebu, upraszam tu JO. księcia, aby na intencyą moję tysiąc cztérdzieści cztéry msze zakupił, ile, że od zaczarowanego człowieka polec mam nie po katolicku.“

Przychodziło już do bitwy, gdy ksiądz Ryłło wystąpiwszy naprzód rzekł poważnie: „Książę panie, wybierasz się na wędrówkę do grobu świętego — a dopuszczasz tu, aby dla żartu krew się lała; — ani to na twoję uczoność przystoi, mości Duninie, żartować tak z tego grzésznika, który się nie spowiadał i nie kommunikował w dni Boskiego umęczenia, a teraz brzuchowi swemu dogadza i gniewowi cugle popuścił tak, że się na azard żywota

naraża..." — „Milcz klecho! — krzyknął książę — to nie wielki post, abyś tu nam kazał, jak z ambony, — a że pójdą na szerpentyny, to nie żaden grzech; — gorzéj zrobił pan Samuel Zborowski, co Włocha Candiana, namazanego miodem, oponował niedźwiedziowi rozjuszonemu, a sam na pojedynek nie wyszedł. — Za to by nie był wpuszczony do nieba, tylko że głowę ściętą wrzucił pierwéj, a sam wszedł niby szukając swego czerepa, z czego się Najświętsza Panna zabawiła i pozwoliła mu zostać — a może téż i dla tego, że to był męczennik szlacheckiéj sprawy, i zagryziony był przez wilcze zęby królewskie, za którą to rzeczą ja sam będę u Chrystusowego grobu patronował, aby znów Zborowskiemu głowę in excelsis nosić pozwolił na karku, a nie pod pachą, jak niemiecki kapelusz. Panie Dunin, włóż aspan szablę do pochwy, i ty, panie Drzymało, nie gniewaj się;—a pojedynku nie trzeba, bo i tak mało szlachty — a jak mniéj będzie, to więcéj pójdzie pod miecz katowski na głowie pana Samuela zaprawiony — a póki nas wiele i zgodnych, to i sam pan Zamojski ogląda się, czy ma głowę. A wiécie wy, że konsylium jego było, abym ja jechał do Ziemi świętéj przez Turcyą — i sam król Stefan ofiarował mi glejt turecki od Sułtana;— ba, ale ja nie głupi, panie kochanku, a nie chcę tego honoru, aby za mną pan Jan Kochanowski stawał, jak za Podlodowskim, co był w Turczech zarzezany. Chybaby mi pan Drzymała swego kamienia pożyczył, tobym się odważył jeść obiad z samym Sułtanem; lecz pan Drzymała nigdy nikomu tynfa nie pożyczył, więc o kamieniu ani gadać. Trzymaj, panie Drzymała, coś znalazł, bo skarb znalazłeś — a ja ci zazdroszczę. Ale że ty piękny

i przystojny, więc tobie ten kamień więcéj szkodzi, niż pomaga: — więc może go się pozbędziesz i zamieniasz się ze mną na ten sygnet.“ (Tu książę zdjął z palca wielki sygnet, brylantami osadzony, z szafirem pośrodku i dał go wyciągającemu ręce Drzymale.) „Kupuję ci kamień twój; — nie biorę go teraz, bo nie chcę zniknąć z przed oczu JW. panów, którzy przytomnością swoją mój dom zaszczycają, ale żem twój kamień kupił, to go złożysz w skarbcu moim.“ — „Jeżeli JO. książę — rzekł udobruchany Drzymała — będziesz tak kupował te niewidzialne kamienie, to i skarbiec JO. księcia stanie się niewidzialnym.“ —

Na tém skończyła się krotochwila z panem Drzymałą, który jednakże panu Duninowi séra nie przebaczył — jak tego w dalszéj podróży dał tysiączne dowody.

Opisawszy te krotochwile, nie będę się dłużéj rozciągał nad uroczystościami zamkowemi, ale przystąpię do rzeczy, mających bliższy związek z podróżą naszą i t. d.

(Z poznańskiego Tygodnika Literackiego, tom III. i IV.)

WZMIANKA
O Z. KRASIŃSKIEGO NOCY LETNIÉJ.

Chcecie, ażebym wam napisał fejleton o Nocy Letniéj, lekko, zgrabnie i stylem brylantowym. Niestety! niestety! myśl moja zajęta jest pewną nocą zimową, gorzéj, dotkliwiéj, kwaśniéj, niżby na poetę przystało, a właśnie tak, jak przystoi na fejletonistę, który radby się dziennie ściérać i wygrywać bitwy — a ilekroć ukolą go fałszerze, rzuca się jak lew.— Słyszeliście zapewne o jednéj sławnéj nocy zimowéj, o improwizujących dwóch poetach—o łzach słuchaczy, o mdleniu krytyków, o ściskaniach się wieszczów; długo rozdwojeni okolicznościami, zbliżyli się duszą nareszcie... a których dusze były tak białe, jak Anhelego cień idący po sybirskich jeziorach. Miała nawet rozlać się w sali woń konwalii i rozpromienić salę jutrzenką dusz, różaném światłem... Kłamstwo! Wiécież wy, co się działo téj nocy? — Oto Adam powiedział Juliuszowi wręcz, że nie jest poetą; oto pismo jedno powtórzyło głośno słowa Adama i to nazwano improwizacyą.—Na Boga!..

jeżeli tak było, to przynajmniéj wyrok ów improwizacyą nie jest — ale długo i dobrze pomyślanym poematem. — Cieszmy się, że taka wielka fantazya przewodniczy tworzeniu się kłamstw; cieszmy się, że improwizacye są, jak owe historyczne wypadki, w których Schiller kazał wyszukiwać poezyi — to jest, że zaginąwszy w rzeczywistości, już nie mogą zmartwychwstać — ani się bronić — i są jak trupy bez mowy... Cieszmy się, bo zapewne o tego Juliusza nikt dbać nie będzie. A gdyby powiedziano: że owéj nocy zimowéj—Adam oskarżył go o brak honoru w grze — albo o jaki nałóg haniebny, albo o inszą rzecz jaką podłą — równieby kłamstwo korespondenta przyjęło owo pismo — równeby echo rozeszło się między czytającymi—wielkie, niezaprzeczone, twarde, kończące się tém: Adam powiedział. O! jakże więc lepiéj, że go tylko w osobie poety zabito! —

Taki jest poemat o nocy zimowéj: — gwiazdy skrzyły się nad Sekwaną — księżyc świécił — stanęliśmy na mostach nad Sekwaną— rzuciliśmy z bladością Lary, trupa do wody; — tyle razy zmartwychwstał — może teraz ostatecznie zabity — może już nigdy nie pokaże się na świata widowni;—jeżeli nie, jeżeli wstanie — mamy w ręku kamienie kłamstwa, rzucimy wszyscy na niego głazy czerwone:—a kysz! a kysz! poco przychodzisz na Dziady?...

O! nie przyjdzie już więcéj — przysięgam!... Nigdy kawałkami serca swego nie będzie was karmił; nigdy za karm dany, nie odbierze od was puharu nalanego goryczą i przykrytego kłamstwa pokrywą — nigdy więcéj, przysięgam. — Oto ujrzał nową krainę poezyi rosnącéj — piękną, szlachetną, wzniosłą: więc usiędzie w cieniu pię-

knych posągów; ten który je budował i krzesał, wielki jest; jeżeli improwizuje, to nie w gronie pół pijanych zwolenników szkoły — ale wśród starych, siwych rycerzy... Wojewodowie zbrojami okryci — z Chrystusowymi wizerunkami na puklerzach, słuchają słów jego — a kiedy śpiewa, to nie mdleją, to nie padają na kolana, ale tylko wychylają czary, dobywają mieczów, i wstając—idą walczyć za ojczyznę... Niektórzy tylko, młodsi i dziksi, porwani wirem szału i młodości — słysząc o zdradzie kochanek — zatrzymują się — dostają błyskawic w oczach — w tych błyskawicach ginie im z oczu tłum ludzi, sława — wszystko... a maluje się jedynie widmo śmierci, szybkie, gwałtowne, porywające jak potok... konieczne jak los — a dobre jak anioł zbawienia. Ci giną z kochankami razem — i któż ich potępi?

A teraz patrzcie, jak stary wojewoda, któremu się córki śmierć przyśniła — podczas owéj ciężkiéj bezsennéj, długiéj letniéj nocy... (a nie dziw, bo zamek był owiany parą, wyziewem krwawego czynu, i gotyckie jego filary rysowały się na księżycu, w kłębach promienistéj krwi — piękniéj i okropniéj, niż oddalona grupa posągów w sofoklesowskiéj tragedyi)— patrzcie, jak ten stary człowiek— obudzony i senny, idzie po zamku — córkę widzi zabitą, lecz oczom nie wierzy. — *Nie — córka poszła na ranną przechadzkę — idźmy na jéj spotkanie*... I wyszedł... za nim gromada zamkowéj czeladzi. On ich wiedzie po murawach — i pomiędzy różami... Zwaryowany, jak Lear — większy od Leara i straszniejszy — większy król, choć jest tylko polskim szlachcicem — wzruszający, jak cudowna Byrońska waryatka, do końca panujący sza-

leństwem, do ostatniéj chwili pan zamku... Kazał, i łódź mu podano — już przeczuł, że córki znaleść nie można na ziemi — już mu trzeba szérszych błękitów. Pływa po zwierciadłowém jeziorze i szuka... i coraz niespokojniejszy, coraz bardziéj obłąkany przestronnością błękitu, i rozszérzającym się kręgiem rozpaczy... Nareszcie zapatrzył się w wodę — poszedł na dno ze swoim snem — za swoją córką straconą. Jakie go tam widma porwały? co mu pokazała woda szklistego stawu? — czy grób tylko wyciągający do niego ramiona z płomieni piekielnych? czy ujrzał oczy błękitne córki, jako dwie gwiazdy na dnie jeziora przybite? — Ja nie wiém... wszystko to jest — nad szczytem poematu; a poemat wysoki — jak piérwsza wieża gotyckiéj, staropolskiéj epoki. — Czekajmy, a ten wielki poeta, w którym dotychczas więcéj było ducha, niż ciało pieśni zmieścić mogło, teraz odbywa wielką walkę— pasuje się z marmurem, jak Michał Anioł — już utwory zrobił prawie zupełnie doskonałymi, a jednak jeszcze mu zarzucić można, że większe robi serca posągom — niż cały rozmiar ludzkich piersi wymaga.

Niestety — chcieliście fejletonu — oto go macie... Wszystko, co o serce trąciło, wydało dźwięk — skargi, albo zachwycenia... W spokojniejszéj chwili wykazałbym z *Nocy Letniéj*, jak się rodzi nowa cudowność — różna od dawnéj greckiéj i włoskiéj, bardziéj duchowa — która kiedyś owionie całe poemata tęczami przeczuć dziwnych... Oddech nadzmysłowego świata już jest ujęty w słowa... szmer niewidzialnego wpływu już gra w harfie poety... i wtóruje mu tak, że mimowolnie włosy na głowie powstają. I nie jest to próżna fantazmagorya umysłu; ale wszy-

stkowidzenie serca ognistszego nad inne, ale przedarcie się śmielszego poety w świat duchów... ale przejęcie harmonii najfatalniejszych naszych czynów z myślą Boga o świecie. Takie anielskie granie lutni człowieczéj musi nareszcie ludziom ohydzić podłość i małość — takie zwierciadła na ludzi rzęsistą piękność odbiją.

Noc Letnia przekonała mię o świéżości odkwitu i o życiu naszéj poezyi. Serce wielkie, dumne i szlachetne wstrząsa piórem poety, nagli go i wybija ciągłe tętno rytmu — czasem pokazuje się nam postać jego blada i przerażona, nad przepaściami ducha wisząca — czasem zdaje się, że ręce jego otwarte cały świat uścisnąć chcą i mogą.—Szylleryzm w nim, ale rozumniejszy, liryzm dziwnie zlany z plastyczną twórczością — a każdy jego pomysł oderwany, widać, jak się wiąże z całym światem. Dusza— z jakim krzykiem boleści wyrywa się na świat stworzenia, jak się krwawi, odstając od słońc na wysokościach — do których była piérwszymi ćwiekami poczęcia przybita!

(Z dziennika Trzeci Maj, 1841 r.)

DO KSIĘCIA A. C.

Lay aside the wretched formalities of a King, and speak to your subjects with the spirit of a man, and in the language of a gentelman. Tell them you have been fatally deceived. The acknowledgment will be no disgrace, but rather an honour to your understanding.

Junius.

Mości Książę!

Cytując te słowa Juniusa do króla angielskiego niegdyś zaadresowane... nie sądzę, abym Waszéj Książęcéj Mości w poszanowaniu ubliżył; wyraz zaś *subjects* przemieniając na *countrymen*... uczynię zadosyć własnemu sumnieniu, które mi jeszcze z całym narodem uznać się poddanym Waszéj Książęcéj Mości nie pozwala. Tak przemieniony epigraf będzie mi tarczą, za którą ukryty poważę się kilka słów do W. Ks. M. powiedzieć.

Szlachetna postać Księcia, wiek Jego, długie cierpienie wygnania i smutek na obliczu spokojném wyryty... schylają mnie przed Waszéj Ks. Mości powagą.— Niepodobna też wierzyć: iżby szlachetny i zasmucony Naród był dłu-

go na te uroki nieczuły i ku podparciu Waszéj Ks. Mości nie pośpieszył. Nie zostawi Cię długo, Mości Książę, lud polski — wojewody swego na drążkowém krześle wygnania — nam zaś wyrzuci: żeśmy Ci z ramion naszych nie uczynili poręczy i tak długo zostawili na nogach strudzonych.

A jednak my niewinni.—Czynność W. Ks. Mości ubrała się w formy tak duchowi narodowemu nienawistne, że mimowolnie wszystkie wielkie duchy musiały Księcia opuścić i — w celach swoich albo w pracowniach swoich zamknąwszy się— przemyślają o sprawie narodowéj... podobni małym strumykom, które ze szmerem i z szelestem małych przewróconych kamyczków drogę sobie nową torują — nie oglądając się, czy bóg Neptun idzie za niemi... pewni: że prawo rządzące wodami wszystkie rzek koryta wkrótce w tę samą z niemi drogę nakieruje. Dlatego to— pomimo W. Ks. Mości usiłowania — tyle małych strumyków, praw bożych słuchających, innemi niż W. Ks. Mość drogami pobiegło; a każdy z nich znalazł drogę i wyprzedził — że tak powiem — ciężki sześciokonny ekwipaż W. Ks. Mości.

Jeden z tych wprzód biegnących strumyków zatrzymuje się na chwilę — nie przez chęć odpoczynku, bo go schyłek i spadzistość góry, z któréj leci, coraz daléj prowadzą — zatrzymuje się owszem przez złamanie prawa materyi, wiodącego d u c h a naprzód, próbując, ażali mu się nie uda *usiłowanie* W. Ks. Mości zamienić w prawdziwą wskrzesitelną *Siłę Narodową* i — oczyściwszy je z przeciwnych duchowi polskiemu pierwiastków — miłość ku niéj w Ojczyźnie wywołać.

Zastanów się Mości Książę nad charakterem narodu polskiego i pomyśl: jaką sprawę poleconą ma sobie ten naród od Boga... a potém przystosuj usiłowania swoje do téj wielkości *formy form*... i uważ dobrze: czyliś już zajął w uczuciach narodowych miejsce pochodni i przewodnika.

Rasy sąto urny nowe dla starych duchów. — Gdy się ciało jakiego narodu zestarzeje i wielkości duchowéj nie odpowiada, duchy zaczynają wielką migracyą, szukają domów lepszych, jaśniejszych, lepszymi organami obdarzonych. Gdyby twój duch, Mości Książę, widzący dziś zaledwo podług zwyczajnego prawa natury, dowiedział się, że gdzieś exystuje ciało obdarzone oczyma, które — podług Brewstera soczewek zrobione — teleskopiczny wzrok mu zaręczają, to Książę prosiłbyś modlitwą Boga o takie ciało teleskopowym wzrokiem obdarzone, abyś snadniéj mógł przeciwko narodowi czynione kroki wyprzedzać, dojrzewać zdrad i tymże zdradom opierać się.

Wystaw sobie Mości Książę: że słowiańska rasa jest jedną z ras późniejszych, na przyszłość przez Boga przygotowanych. Choć w zmysłach jéj nie pokazuje się jeszcze ta doskonałość, to wszakże w rozumowaniu, w pojęciu — co mówię — w saméj nawet szybkości materyalnéj języka ta wyższość spostrzegać się daje. Polak we wszystkiém tém, co Francuz uczyni, najpiérwszemu frankońskiéj rasy człowiekowi nie ustąpi; Francuz zaś — choćby w tysiącznych rozumowych logogryfach był nadeń silniejszym — to w rzeczach, które natura sama daje, ustąpić musi; — więcéj powiem! — liter nawet niektórych słowiańskich nie wymówi; zda się, że murem chińskim przedzielony od

naszéj wszystko-mogącéj natury. A cóż dopiéro w umysłowości i potędze ducha! — Francuzów zatém czynność: szwędanie się ciągłe za niskiemi dociekaniami praw postępu — może być dla nas doskonałą igraszką, ale nie wzorem przyszłości — nie formą — nie nadzieją dla ducha takiego, jakim jest duch W. Ks. Mości: polski duch wytrawiony, stuletni, zda się, dąb!— a jeszcze dla nas młody, bośmy go nie poznali, a o twardości jego rdzennéj nie wiemy.

Ta piérwsza więc rasa świata, rasa piérwsza w Słowiańszczyznie, ta Polska, chciałaby się wyrazić dziś przez liczbę i wymiar; szuka przeto osoby, chce się uczynić widzialną, poddać się pod *miarę i czas;* Ona—która jest nieśmiertelną bez *miary i czasu*, wielką jak bóstwo jakie o przyszłości zamyślone — chce teraz abdykować: z nieskończoności przemienić się w skończoność i widzialność!.. A Wasza Ks. Mość, niby ptasznik na usadce, czekasz na Nią z konstytucyjną francuską siateczką, abyś Ją z głową nakrył jako szczygiełka i do życia konstytucyjnie klatkowego przymusił.

Któż winien? — Czy my, którzyśmy Księcia ptasznika odbiegli? — czy Książę, któryś się nam z klatką francuską i ze zwierciadłem, jakiego używają na ptaszki, pokazał, sądząc, że nas samych ułowisz na dawną naszę półfrancuską karykaturę i mimowoli naszéj szczęśliwymi w ptaszkarni swojéj uczynisz. Lecz my, Mości Książę, ani patyków do skakania ani prosa złoconego nie chcemy. A *ludzie* wielcy *nasi* nie potrzebują dowodzić talentów i mocy — ciągnąc wodę ze studzien artezyjskich w łupinach orzechowych albo (jako mopsy uczo-

ne) zgadując i pisząc myśli francuskie słowiańskiemi abecadłami; ale chcą zająć prawdziwie miejsce potrzebne na świecie i czynić to, czego inne rasy pomimo najlepszéj woli uczynić nie mogą.

Widzę, iż te słowa moje przyjmujesz Książę z dobrym i pobłażającym uśmiéchem — pozwalasz mi niby błędnéj drogi i wysokiego latania — tworzysz mnie urzędnikiem dworu swego z prawem utopii — a nawet... obracając się do dworzan twoich, powiadasz: iż radbyś mię gubernatorem wyspy *Barataryi* uczynił. A gdzie ja *tam* — przez doradce twoje znudzon, przez doktory twoje ogłodzony — musiałbym wyrzéc się wszelkich Atlantyd, a zażądać wieku złotego Saturna albo konstytucyjnego wreszcie w Polsce królestwa.

Powinienem zatém dowód położyć: że utopistą nie jestem, ale chcę: aby Waszéj Ks. Mości miłość ku duchowi narodowemu panowała, a moje małe gubernatorstwo na wyspie *Barataryi* zniszczyła — nie szkodząc wszakże duchowi mojemu, który przeciwnéj sobie materyalnéj sile poddać się nie chce i nie może. Jeżeli zaś Książę nie uszanujesz wolności ducha mojego, to dodasz jeszcze jeden grzéch do grzechów, które Polska w ostatnich czasach popełniała przez urąganie ciągłe duchowi, połączone z zamiłowaniem wytrawionych niby doświadczeniem małych ludzi, powiatowych orakułów, którzy wydawali się ludźmi czynu, a w istocie byli tylko stróżami własnéj godności; którzy— żadnéj narodowéj myśli pojąć nie zdolni — jeźli pozwalali się na chwilę przez kogo ułowić, to tylko na haczyk interesu, osłodzony miodem miłości własnéj.

Takich ludzi masz Wasza Książęca Mość w emigra-

cyi; uczyniłeś nawet cud nad nimi, to jest: wpoiłeś w nich przekonanie, aby się podsędkowskiéj sławy powiatowéj i nieomylności prowincyonalnéj wyrzekli a zgodzili się na to, że konstytucyjny rząd wszystkie je przerastać będzie i do jednego celu nagnie retoryczne i wojskowe talenta. Zwycięstwo to nad indywidualnością otrzymane — do którego także Waszéj Ks. Mości nędza i smutek wygnańców wiele pomogły — zapisane będzie *w księgach brązowych czasu*—nie pod rubryką jednak zwycięstw ostatecznych. Czynność ta wszelako Księcia — jako względne do czasu dobro — powali się przed polską ideą, a usiłowania Księcia na wspak duchowi narodowemu idące, choćby posągiem brązowym gdzieś na placu Warszawy uwieńczone, — nie śmiém wymówić słowa prawdy — będą przez naród (choćbyś go W. Ks. Mość na czas zgalwanizował) zrzucone, jako szaty krojem i lekkością ciału i klimatowi polskiemu nieprzyzwoite. Książę bowiem cofasz Polskę!.. A żaden naród jeszcze—od stworzenia świata— nie był wdzięczny za wsteczną impulsyę, ale owszem zacierał wszelkie ślady podwójnie wybitych kroków swoich i wstydził się, jeżeli przeszłość swoję znów przed sobą w przyszłości zobaczył!.. Narody bowiem—podług słów Pawła św. — mają ducha, a duch niewymownemi wzdychaniami modli się za nie: one więc, jako ciała, nie wiedząc czego pragną, poruczają żądanie swoje ducha modlitwom; pozbawione więc nawet myśli i woli, chcą jednak zawsze *cel własny i myśl własną* modlitwą niby wzdychającego ducha *wyrwać niebiosom.* Kto przeto na powierzchowną bezmyślność i bezwolę czyli niewolę narodu rachuje, sądząc, iż nową myśl i nowe pożądanie w sercu

narodu obudzi: — spotka się ze snem, z mimowolną a serdeczną narodu żądzą — i tak, jak Wasza Ks. Mość, dziwić się będzie, że ani snu rozprószyć ani niewyrażonéj w słowach żądzy pokonać i zniszczyć nie był w stanie.

Tu zapewne W. Ks. Mość zechcesz spojrzeć w oczy listu tego pisarzowi, a mając go przed oczyma, zapytać zarazem: jaka jest idea Polski? — Pisarz zaś zapytaniem takiém zmięszany — do muru niby przyparty — pomyśli: że się w wieku Sasa odrodził, w którym zwykle się działo, że — jeżeli na sejmie lub sejmiku człowiek który o wyższém pojęciu ducha narodowego przemawiał — to z kąta gdzieś najciemniejszéj sejmowéj ławki wydobywał się głos wołający: „jeżeli co masz, to w trzech słowach jasno nam wytłómacz, a nie czmuć oczu.“ — Raz drugi i trzeci przed takim matematykiem, Euklidesem politycznym, usiadłem był ze spuszczonemi oczyma; a obejrzawszy się na trudność syntetyczną idei, rzeczy się saméj wyrzekłem. Teraz jednak — i czas mając po temu i zapytanie od większéj, niż moja jest, mocy i szerszéj oględności zadane, a głęboką dobrocią poparte — odważę się bronić przed W. Ks. Mością *Ducha* ojczyzny mojéj:

Słowianie są czynnikami wolności duchowéj. Oddawna już systemat w. kniaziów moskiewskich zaczął tę wolność charakterową Słowian spędzać z ziemi oblicza. W pierwszych więc czasach słowianizmu Polska pokazuje się — jako wielkie słoneczne *Wolności morze*, a dwie *odeń* gwiazdy (niby tego samego koloru, a piękniejszéj może jasności, bo ku ciemnym stronom idące) Nowogród i Psków, świécą na północy. Jako zaś w świecie materyal-

nym nic nie ginie, ale wszystko przemienia się: tak téż podobnie i w świecie ducha. Nowogrodzkie przeto i Pskowskie pierwiastki jeszcze aż dotąd są w Słowianizmie do odkrycia, jeszcze gdzieś pod grobami i popiołem palą się niezgaszone. Dziś przeto jeszcze są Duchy, z których Książę wyciągnąłbyś łzy rzęsiste wspomnieniem dnia tego, w którym dzwon wielki sejmowy w Pskowie zdejmowano. A ktoby usty ludzkiemi ostatni jęk tego dzwonu naśladować potrafił, usłyszałby echo płaczu z różnych kątów Rosyi przylatujące. Dziś jeszcze — pewien jestem, że człowiek gdzieś nad Wołgą ziemię orzący... pług zatrzymawszy, zapłakałby i spojrzał w dzwoniące skowronkami niebiosa, gdyby mu kto powiedział owe słowa kronikarza po zgubionéj wolności stan duszy jego malujące: *Patrzaliśmy na ziemię: — ona się nie rozstąpiła. Patrzaliśmy na niebiosa: — nie można było ulecieć bez skrzydeł!..*

Mości Książę, jestto krzyk polski: bo Nowogrodzianie i Pskowianie to potém wykradli się z ciał niewolniczych i Polakami zostali. A tam w puste kościoły weszły duchy Czengiskańskiéj urody, sprzeciwiając się prawu wielkiemu *migracyi duchów*, która jest z południa ku północy. Cząstki więc te wolności duchowéj zebrały się siłą niby wzajemnéj atrakcyi ściągnięte w jedno — w jeden naród polski — i zbite mocą zejścia wybuchnęły prawdziwie szaloną siłą *złotéj wolności*.

Wolność ta wszakże była duchową w pierwotném pojęciu, a stąd pozbawiona téj obrzydliwości, która na dzisiejsze *cielesne komunizmy i purpurowe demokracye* upada. Szło tam o *rząd*, w którymby duch wyższy nie służył niższemu — nie zaś o *postawienie cielesne* wszystkich

pod jedną miarą podług średniéj ludzkiéj urody zrobioną, do któréj niedorosłych żadna ludzka siła nie dociągnie... a wyższych — chyba ucięciem głów — zrównać i przystósować potrafi. O *równości* więc *cielesnéj* mowy nawet nie było. Nikt nie myślał wyciągać z za pieca pijanego chłopa i stawiać go w jednéj parze z pięknym i szlachetnym rycerzem. Starano się jedynie o wolność jak największą w formach rządu, tak aby rosnący w piękność Duch nie miał żadnéj przeszkody. Jakoż wkrótce dusze się niektóre — choć w nieurzędniczych ciałach — do swojéj wielkości poczuły i z krajem się całym zrównały. Gdyby wielka miłość rządowa i rosnący Duch kraju przerósł je był... i wielkością swoją, niby kopułą ogromną, przycisnął: stanęłaby prawdziwa *Hierarchia* na świecie *podług zasługi i mocy duchowéj* zbudowana... w kryształ ścięta... porządkiem prawdziwym cielesnym objawiająca się: gdzie wszelka Rewolucya ze zwierzęcych samolubnych pasyi musiałaby pochodzić... a wszelki Rząd z miłosnego ducha i z porządku wypływać.

Taki był *ideał duchowy* Republiki, do którego Polska — pobrawszy wszystkie Słowianizmu wolnego cząstki — dążyła.

Na takąto przyszłego rzeczy porządku Rodzicę szedł ze Wschodu Mongolizm... a z Zachodu straszniejsza odeń *Forma* przez Rzym dawny pogański na Chrystyanizm włożona, *forma nie podbicia, ale oporu*. Straszniejsza więc od mongolskiéj, bo pozbawiona ruchu... mająca za hasło *stój!*... za naukę *nie buduj, ale poprawiaj!* Gdzie ona weszła, tam wszystko stare przyjęto: kodex Justyniana — filozofią Arystotelesa — panowania spadkiem krwi idące — niewolę Ludu. I Ewangelia (która jest cała nauką ducha) tak różna od Mitologii (która jest pojęć o świecie fizy-

cznym i duchowym krystalizacyą) pogodziły się z sobą w cywilnym rzeczy porządku. Ewangelia nawet zgodziła się, jako służebnica Ruth, indywidua zbawiać i kłosów samotnych na polu narodów wyszukiwać; gdy tymczasem *ogółem ruchu* zajął się Jowisz z całą olympijską gromadą. Tento straszny mocarz (przywoławszy sobie raz na pomoc dawne rzymskie duchy), Syllę ubrał w Marata kaftan i czerwoną kamizelkę... nawet chorobą podobną do Syllańskiéj zaraził; Maryuszowi pozwolił wdziać jedwabne pończochy i pokazać się ze srebrnemi klamrami na trzewikach; mnóstwo retorów wsadził w ptasie ciała francuskie; z mownic porobił dziwne gestów telegrafy, republikanizm cały rzymski na mownicy objawił, potém przyzwał Cezara w grzybkowym kapeluszu i kazał mu to wszystko wymieść *z widzialności pałacu;* albowiem Jowiszowa myśl o świecie była już dopełnioną ogłoszeniem *des droits de l'homme*... to jest praw cielesnych... które ma wszelki człowiek do pokarmu, do wody i do lasu.

Teraz, Mości Książę, racz porównać dzieło Jowisza ostateczne z początkiem sprawy ducha Chrystusowego w Polsce... i wyznaj: czyli nas pod obcego narodu formy poddawać się godzi?

A list ten odczytawszy z uśmiéchem, pozwól, że Ci pisarz rozjaśni którą z godzin wygnania... o *wolności duchowéj* mówiąc jako rewolucyonista, a szanując ducha W. Ks. Mości, który jest jeden z wolnych i szlachetnych...

REPUBLIKANIN Z DUCHA.*)

*) List ten, drukowany „we Wydawni polskiéj Radwańskiego“ w Paryżu, był ogłoszony jako ulotne pisemko, bez wyrażenia roku.

GŁOS

BRATA JULIUSZA SŁOWACKIEGO

DO ZGROMADZONYCH I W KLUB ZAWIĄZAĆ SIĘ CHCĄCYCH POLAKÓW, PRZEDSTAWIAJĄCY POTRZEBĘ PRZYJĘCIA NOWÉJ FORMY KONFEDERACYJNÉJ.

(19 marca 1848 r.)

Wezwany i z miłością tu zaproszony przez kilku braci moich, abym myśl moję, w sprawie przyszłego powstania narodowego objawił: pozwólcie, że zapytam naprzód: czy już jako *klub* zebrani tu jesteście? bo w takim razie, przeciwny klubowi, zgody zaś waszéj mięszać nie chcąc, żadnego nie miałbym prawa, z myślą nową, na naradę prywatną i nie przy drzwiach otwartych odbywającą się, przychodzić.

(Tu jeden z członków zebrania oświadczył, że chociaż istotnie zamiarem zebranych jest zawiązanie klubu; wszakże nieprzeszkadza to proponowaniu nowych opinii, których zgromadzenie chętnie wysłucha. A wtenczas brat nasz tak daléj mówił.)

Wiadomo wam wszystkim, M. Panowie, że w formowaniu się kryształu piérwszy atom i zawiązek, z którego kryształ powstać ma, już ten kształt i tę formę zachowuje, która następnie kształtem i formą całego kryształu staje

się, i we wszystkich się częściach jego powtarza. Prawo to, z natury wzięte, przewodniczyć powinno wszelkim organizowaniom się ducha w ludzkości. Ani forma, ani nawet nazwisko téj formy, nie może być obojętném. Widzieliście sami w ostatnich wypadkach Francyi, jak lud w tém słowie *republika* rozmiłowany i do najwyższego stanu exaltacyi magicznym jego wdziękiem prowadzony, na ratuszu o republikę dopominał się. Widzieliście, jak wyrobnik do zgromadzonego rządu przez bagnety przedziérał się, pierś obnażał, nóż podawał, i wołał: albo mię zabij, albo mi daj republikę. Forma więc dawna, przed kilkudziesięciu laty użyta, teraz wywołana — a taki czar wywiérała, chociaż sami to wiécie, że przez cały czas trwania Restauracyi i konstytucyjnego królestwa formę tę umyślnie hańbą okryć, krwią ohydzić i z oczu usunąć, wszędzie, a nawet w edukacyi publicznéj rządu staraniem było.

Taksamo działo się w Polsce przed powstaniem 1830 r. Nauczyciele, którzy młodzież wychowywali, może bezwinnie, lecz systematowi Caryzmu, który na zjednoczeniu cielesném stoi, usługując — a może téż z powodu przygasłego na czas ducha polskiego — od myśli republikańskiéj polskiéj młodzież odstręczali — nazywając ją anarchią, jéj przypisując wszystkie nieszczęścia kraju. Natomiast zaś wpajali w młodzież potrzebę zgody, przez zgodę nie rozumiejąc — tak jak być powinno — godzenia się na jedno w duchu miłości i prawdy — lecz wystawiali zgodę jako bezwarunkowe poddanie się woli jednego człowieka, niepomni na to, że Ewangelia sama od każdego poddania się błyskawicami sądu ostatecznego odstrasza; że sama natura święta i wysoka ducha polskiego nigdy na takie poddaństwo zgodzić

się nie powinna. Jakoż wyexaltowana temi naukami młodzież, zawsze nad cel ofiarami swojemi wylatująca, zaprzysięgła w duchu, że w pierwszéj chwili, gdy ją wskrzeszenie Polski do ofiary zawoła, myśli moich, ani uczuć rozsądzać nie będzie, ale któremukolwiek i jakiemubądź na czoło stającemu człowiekowi bezwarunkowo się podda.

Gdy więc wybuchnęło w kraju powstanie, nietylko że o formach polskich żadnéj mowy nie było, ale nawet wydobycie tych form uważanoby wtenczas za zdradę sprawy narodu. — Próżno duch wielki polski czuł to powstanie z całą straszną potęgą jakiéjś niebieskiéj i zagrobowéj sprawy podnoszące się; próżno lud, przepełniony wróżbami, patrzył na te czerwone, ogniste zorza i światła, które nad Warszawę przybiegły i zdawało się, że świętego ducha Ojców wywoływały: Przeciwko temu duchowi wyszedł *rozum* nie z siebie, ale ze źródeł obcych czerpany i cztérma przeciwnemi sobie formami wytrysnął.

A naprzód, jak wiécie, wywlokła się z ciemności drżąca o przyszłość zgrzybiała starość, i w postaci *Rady Administracyjnéj* pod kopułą banku usiadła — zagładzić chcąc dzień wczorajszy, jako dzień przelotnego zapału i grzechu, który następstwami swemi rozsądnie i dobrze myślących ludzi o jutro zatrważał.

Z drugiéj strony element szkolny, jak mówiłem, do strasznych ofiar przygotowany, po formę i po nazwisko téj formy aż do szkolnych nauk, aż do Greków i Rzymian poszedłszy, postawił *Dyktaturę*, gotów jéj bronić z całym zapałem i pedantyzmem młodości.

Inny nareszcie Duch z książek już nowych i niby głębszych czerpany, duch niemiecko-francuski, tworzyć rozpo-

czął *Kluby*, i na różnych pryncypiach w Europie na onczas kursujących nadzieje swoje budował. Mochnacki, wyobraziciel téj trzeciéj ówczesnéj potęgi, był, jak sami wiécie, niepospolitym człowiekiem, wszakże elementu mu polskiego zupełnie brakowało; a że tak jest, świadczy to ono godło sentymentalne, wzięte przezeń z wątpliwości Szekspira i na świętą Polskę gwałtem wtłoczone. Dewiza ta, przezeń przyjęta: *być albo nie być*, przeciwna jest wręcz wierze powstającego Polaka, który ma za hasło *jestem bo jestem*, jako duch, który się czyni żywym, nieśmiertelnym i od cielesnych potęg niezależącym. Człowiek, któryby z pierwszém godłem przed wami wystąpił, otrzymałby może oklask, jako młodzieniec rozpaczny ostatnie swoje siły na hazard stawiający, ale nie powierzylibyście takiemu sprawy narodu, anibyście się o pierś taką niespokojną z ufnością, jako o pierś narodu oparli.

Czwarty nareszcie element, naśladujący podówczas Francyą konstytucyjną, *Sejmem*, a raczéj powiem, *Izbami deputowanych*, zamek królewski napełnił. I tak cztéry duchy w cztérech sobie przeciwnych formach stanęły i zdaje się, że o upadek narodu aż do końca walczyły.

A tu, abym wam dowiódł, M. Panowie, że formy polskie nie dla słabości swojéj obcym rewolucyjnym formom miejsca ustąpiły, przypomnę ten tylko fakt: że kiedy już wszystko ginęło, gdy wojsko już z kraju wychodziło. to X. Czartoryski, jeden z ówczesnych rządu wyobrazicieli, rzucił się i krzyknął na *pospolite ruszenie*. Zaprawdę, to pospolite ruszenie — będąc w gruncie témsamém, czém są dziś gwardye narodowe *stałe i zmobilizowane* dla Francyi, z taką w tenczas rozpaczą na pomoc wezwane, o potędze

nieśmiertelnych form, przez wolność polską wynalezionych, daje świadectwo. Są to nawet za mocne i niby heroiczne lekarstwa, które tylko sama silna polskiego ducha organizacya wytrzymać mogła.

Tak było w kraju.

Gdyśmy na Emigracyą przybyli, duchem francuskim już całkowicie owładnięci, zaczęliśmy tworzyć *Komisye*, *Komitety* i *Towarzystwa*. — Formy te, krajowi zupełnie obce, żadnego już wpływu na kraj nie miały, żadnego entuzyazmu w sercach naszych wzbudzić nie mogły.— Jakoż rozpadły się przerdzawione nudą i smutkiem: tak że następnie jedno tylko *Towarzystwo demokratyczne*, ponieważ o wolności mówiło, stało się dla młodzieży naszéj obudzającym i ponętnym żywiołem. Wszakże tęsknocie jakiejś ducha polskiego, za wielką duchową wolnością utęsknionego, wystarczyć i odpowiedzieć nie mogło.

Teraz tworzy znów Emigracya Komisye; a wy, jak widzę, *Kluby* zawiązać chcecie; pozwólcie więc, że o potędze działalnéj, która z saméj formy rodzi się, a częstokroć natury jéj przekroczyć nie może, cokolwiek powiém.

Kluby — pominę to, że w kraju smutną pamiątkę zostawiły i dotąd żadnéj ufności wzbudzić nie mogą — Kluby, M. Panowie! w naturze to swojéj mają, że z różnorodnych osób złożone, w nocy najczęściej przy latarniach, przy szczęku broni i bagnetów ognistą i krwawą mową rozexaltowane, na zewnątrz wylać się umieją i sprawę już zaczętą popchnąć są zdolne. Mają one siłę wsparcia. Nabijaniu broni podobne, dopóki radzą; nabite — działać mogą siłą wystrzału. Lecz uorganizować ani walki pro-

wadzić z wewnętrznym i zewnętrznym wrogiem, długiéj, zaciętéj, nie umieją.

Komiteta, jako formy, zamykają tylko w sobie *Rozrząd* i *Reprezentacyą*.

Komisye, formami są ducha *usługi* i *wykonania*.

Żadna z tych form, jak widzicie, nie jest taką, ażeby w sobie zarazem *ruch*, *wiązanie się* i *zarząd* wyobrażała.

A my jednak, jako Polacy, za cel to dziś sobie wziąć powinniśmy, żeby nietylko liczbową pomocą być dla kraju, ale umodelowanym, że tak powiem, na wolnéj ziemi posągiem Ojczyzny, w którymby już pierwsze zarysy i pierwsze światła swéj świętéj i wolnéj przyszłości zobaczyła. Mówiąc to, przeciw pokorze nic nie występuję. Do nas należy w ruchach i w czynnościach naszych przedstawić krajowi takie formy, któreby mu w olbrzymiéj walce o wolność szybko zjednoczyć się i zorganizować się dopomogły. Cierpieniom wygnania długiego winniśmy, że nam w ten sposób przewodniczyć nie wzbronno.

Jest forma przez wielkie i czujne Przodki nasze ku obronie wolności wystawiona, która wielokrotnie Narodowi naszemu w walce z postronnym wrogiem i z wewnętrznym intrygantem lub cudzoziemcem posłużyła— forma, któréj wewnętrzną naturą jest ruch i ciągłe działanie— forma, która nie wyklucza miłości, bo zwykle się zdarzało, że zwyciężywszy zło panujące w narodzie, forma ta uniżyła się sama, rachunek z czynów swoich przed istniejącą władzą składała, i z pocałowaniem rąk od przebłaganego Ojca i Króla narodu odchodziła— forma, któréj naturą jest *jedność;* bo gdziekolwiek stanęła, tam wszystko przed

jéj potężną władzą zamilknąć i ustąpić musiało. Jak jest straszną ta forma, tém tylko dowiodę: że kiedy w Emigracyi pozwolono nam formować Komisye, Komiteta, Towarzystwa; kiedy wszystkie te igraszki naszéj chęci urzędowania rządy tolerowały: to forma, o któréj mówię, raz jakimś instynktem w Emigracyi wywołana i postanowiona, skoro tylko zabłysła, wnet wywołała prześladowanie. Car, znawca prawdziwy rzeczy rzetelnie niebezpiecznych, upomniał się wnet przez swoje ambasadory, aby tę garstkę ludzi, którzy mu strasznego upiora wskrzeszali, z Paryża wypędzono. Tu już wszyscy zapewne, Mości Panowie, domyślicie się, że ta forma, o któréj mówię, jest to:

KONFEDERACYA!

Zaprawdę! przyszedłem tu z tą myślą długo w duchu noszoną, abyśmy teraz te formę, a potém wszystkie inne polskiéj wolności kształty do ludu rozszerzyli, do czasu zastósowali i tychże form do odbudowania kraju naszego użyli. Potrzeba więc, abym się nieco jaśniéj, mówiąc o formie konfederackiéj, wytłómaczył.

Jeżeli to jest prawdą, że doskonałość form ludzkich rośnie, o ile się coraz bardziéj do pojęcia i do naśladowania form niebieskich zbliżamy — jeżeli już konstytucyjne rządy pokazują się nam jako zrealizowanie politeizmu, jako sprowadzenie Olimpu na ziemię — jeżeli istotnie król konstytucyjny pod swoją zaprzysiężoną kartą siedzący, wygląda coś na Jowisza pod księgą losów; a sejm rozdzielony na dwoje, Bogi nam na dwie strony rozdzielone wyobraża: to teraz nowe przeczucie i wpół ujrzana, a na Trójcy oparta, *Nieba Chrześcijańskiego* budowa, powinnaby nam w wybudowaniu najwyższéj ziemskiéj doskonałości

przewodniczyć. Sądzę, że tak położonéj rządów zasadzie *forma konfederacyi* odpowiada.

Wiécie wszyscy, że żadna konfederacya powstać i zawiązać się nie mogła bez uprzednio wprzód, a często z hazardem życia położonego *veto*. Istotnie więc, jak to widzicie, że naczelną *osobą* konfederacyi była *idea* czyli duch i myśl tego zaprzeczenia, które potém w sercach wszystkich powszechny odzew znajdowało i naród cały w téj jednéj myśli kojarzyło. Pod tą *osobą* — którą dziś, jak sądzę, uwidzialnić i w człowieku postawić będzie potrzeba, — stawały dwie drugie osoby, przez zapał idei wybrane i okrzyknione za równe sobie, w trzecim duchu onego to zaprzeczyciela i *ojca* konfederacyi stojące i połączone. W istocie więc każdy urząd konfederacki był *trójcą;* a władza jego w *jedności* rządząca, chociaż samowładna i dyktatorską prawie miecza potęgą obdarzona: przez dziwny czar jakiś — a tylko samym duchowym rządom właściwy, indywidualnéj wolności nie obrażała. Trójce te i to w sobie miały, że po wszystkich prowincyach, na jedności zaprzeczenia, lecz według różnego ducha tychże prowincyi w chwili jednéj zrodzone, Trójcy najwyższéj poddawały się i za rozkazem jéj w oka mgnieniu niknęły.

A tegoż nam potrzeba, M.Panowie, w naszéj konfederackiéj robocie. Bo byłoby to z hańbą naszą i z obrazą wielkiego majestatu narodowego, gdybyśmy formę jaką stworzyli, którąby się w mgnieniu oka, przed krwią ochrzconą, przed najwyższą Trójcą Narodu, z wielkiego uszanowania i miłości w proch nie rozpadła. Konfederujmy się więc tu na wygnaniu z całą pokorą doczesną wygnańców. Niech się ręce nasze tysiącami wiążą i rozle-

wają miłość i braterstwo po Emigracyi. Konfederujmy potém przyległe do kraju prowincye, aż duchem skonfederuje się ojczyzna nasza, i w jednéj chwili, cała skonfederowana, tysiącem trójc konfederackich w oczach nieprzyjaciołom zaświeci. Mam to ufanie, że zadrży potęga cielesnéj jedności na strasznym tronie siedząca — noc tę widząc, teraźniejszą, nagle słońcem Trójcy Warszawskiéj i słońcami Trójc Wojewódzkich ogniście rozświeconą. Bo nie potrzeba na to ani spisków na papierze spisanych, ani znaków na piersi noszonych, aby się związać w duchu, oczyma porozumieć, wodze wspólne w sercu ponaznaczać i zegara bijącego najwyższą godzinę wysłuchać.

Oto jest wszystko, co wam z miłości przynoszę na tę naradę, bracia moi! a gdym to uczynił, o to jedno upraszać będę, abyście mi z dalszych narad dnia dzisiejszego ofiarę złożyli-- a myśli tu wniesionéj pod dyskusyą nie oddawali. Raczcie pamiętać, że formy nasze dawne, sąto żywe i zaczarowane, a snem do trupów podobne olbrzymy, które długo w trumnach leżały. Trącając je nieuważnie i bez należytego uszanowania, wstałyby nie ciała, ale prochy i popioły z tych szat, które są prawem ziemi nadpsute i już nieco spróchniałe. Z miłością więc proszę was, zatrzymajcie się z sądem i z dyskusyą, aż się ta forma z żywotem wskrzeszonym obezna, sił dostanie i gotowa bronić się będzie.

W skutek tego głosu niektórzy z braci przystąpili do związku i podpisali akt zawiązania się w konfederacyą.*)

---

*) Głos ten był ogłoszony jako osobna broszura, odbita w Paryżu w drukarni L. Martinet, przy ulicy Jacob, 30.

SPIS RZECZY W TOMIE PIERWSZYM.

str.

Poezye liryczne i ulotne. Część piérwsza . . 5
Duma ukraińska 7
Sonety 13
Szanfary, ułamki poematu arabskiego . . 16
Rozłączenie 26
Przekleństwo 27
Stokrotki 28
Chmury 29
Ostatnie wspomnienie do Laury . . . 31
Rzym 33
Sumienie 34
Ułamki 35
Hymn o zachodzie słońca na morzu . . 36
Do Teofila Januszewskiego 38
Odwiedziny Piramid 42
Pieśń na Nilu 46
Rozmowa z Piramidami 49
Z listu do księgarza 50
Do Anieli M. 52
Na sprowadzenie zwłok Napoleona . . 53
Pogrzeb kapitana M. 55
Do Matki 56
Do Ludwiki Bobrówny 57
Do Pastereczki siedzącéj na Druidów kamieniach 58

str.
W pamiętniku Zofii *** 59
Wspomnienie pani de St. Marcel . . 60
Testament mój 62
Poezye liryczne i ulotne. Część druga . . . 65
I. Radujcie się 67
II. Los mnie już żaden nie może zatrwożyć . 68
III. Proroctwo 69
IV. Wierzę 70
V. Góry się ozłociły 71
VI. Do Autora Skarg Jeremiego . . . 73
VII. Do Ludwika ~~Nabielaka~~ *Norwida* . . 75
VIII. Do tegoż — w braterstwie Idei świętéj 76
IX. Uspokojenie 82
X. Matecznik 85
XI. Panie! jeżeli zamkniesz słuch narodu . 86
XII. Krzyczeli: „Polska!“ 87
XIII. Kiedy prawdziwie Polacy powstaną . —
XIV. Jeżeli ci Pan nie zbuduje domu . . 89
XV. Mój król, mój Pan—to nie mocarz żadny 90
XVI. Jeżeli kiedy w téj mojéj krainie . —
XVII. Zakończył śpiewak — a my zasłuchani 91
XVIII. Przy kościołku 92
XIX. Baranki moje 93
XX. Pośród niesnasek Pan Bóg uderza. . —
XXI. Ty głos cierpiący podnieś — i niech w tobie 95
XXII. Do Franciszka Szemiotha . . . 97
XXIII. Niedawno jeszcze, kiedym spoczywał 98
XXIV. W ostatni dzień . . . . . —
XXV. Na drzewie zawisł wąż . . . 99
XXVI. Wielcyśmy byli i śmieszniśmy byli . 100
XXVII. Narodzie mój 101
XXVIII. Dusza się moja zamyśla głęboko . 102
XXIX. Prawo Mojżesza w globie wyryte . 103
XXX. Chcesz wiedzieć, czém dziś byłby nasz kraj odzyskany? . . . . . —
XXXI. Córka Cerery 105

str.

XXXII. Karty się dają wszystkie wytłómaczyć tuzem 105
XXXIII. Otrzymawszy wprzód na to jednomyślną zgodę . . . . . —
XXXIV. Możnemu, który dzisiaj dom upięknia sobie 106
Do Autora trzech Psalmów 107
Podróż na Wschód, poemat niedokończony . . 121
Pieśń pierwsza — Wyjazd z Neapolu . . 123
Pieśń druga — Statek parowy . . . 133
Pieśń trzecia — Grecya 141
Pieśń czwarta — Podróż konna . . . 153
Pieśń piąta — Nocleg w Vostizy . . 162
Pieśń szósta — Megaspileon klasztor . . 170
Grób Agamemnona 178
Wschód słońca nad Salaminą . . . 183
Rozmowa z Matką Mokryną Mieczysławską . . 185
Ustępy z przekładu Iliady Homera . . . 217
I. Z pieśni pierwszéj 219
II. Z pieśni siedmnastéj 242
III. Z pieśni dwudziestéj pierwszéj . . 247
Poeta i Natchnienie, fragment 251
Pisma różne prozą 271
Preliminarya peregrynacyi do Ziemi św. . 273
O Z. Krasińskiego Nocy Letniéj . . . 293
List do księcia A. Cz. 298
Głos brata J. Słowackiego do zgromadzonych Polaków, na dniu 19 marca 1848 r. . 308